

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Informacje	6–10, 33, 47
Mobilność – wyzwanie w czasie zamkniętych granic – Agnieszka Stefaniak-Hrycko	12
Kształcenie online w warunkach epidemii... – Maciej Kolański	14
Twarzą w twarz z epidemią	
Homo deus poznaje zarazę – Anna Brzezińska	18
Uratuje nas normalność? – Arkadiusz Jabłoński	19
Nie tylko Dekameron – Aleksander Wójtowicz	20
Czy nie przewidzieliśmy pandemii? – Piotr Tryjanowski	22
Wyjaśnić i zrozumieć, czyli filozof w czasach zarazy – Sebastian T. Kołodziejczyk	23
Psycholog niezbędny – Krzysztof Małyszczak	25

ROZMOWA FORUM

Nie produkujemy absolutentów – z prof. Adamem Myjakiem, rektorem ASP w Warszawie, rozmawia Krystyna Matuszewska	26
---	----

CO WIEMY O NASZYCH STUDENTACH?

Spotkajmy się w pół drogi... – Aleksandra Ziemińska-Buczyńska	31
W sumie to ja zadowolony jestem – Radosław Rybkowski	34
Jakie są nasze Maleństwo? – Anna Sajdak-Burska	37
Cisi bohaterowie – Piotr Maszczyk	40

ŻYCIE NAUKOWE

Wolność i odpowiedzialność – Marcin Nowotny, Natalia Letki, Barbara Klajnert-Maculewicz	42
Z archiwum nieuczciwości naukowej (184)	
Toruński doktorat „na źródłach” – Marek Wroński	51
Sprostowanie – Mariusz Cygnar	54

Odpowiedź autora – Marek Wroński	55
Z laboratoriów	
Mysz komputerowa zamiast laboratoryjnej – Mariusz Karwowski	59
Pamięci działające jak ludzki mózg – Joanna Kosmalska	62
Neuroroznorodność – nowe spojrzenie na autyzm – Kinga Ferenc	64

ŻYCIE AKADEMICKIE

Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	44, 58
Nauka w okresie pandemii – Zbigniew Drozdowicz	45
Jak wdrażać kompetencje społeczne? – Ewa Chmielecka	48
Publikuj lub giń	
Na czym się nie znają redaktorzy i autorzy – Marek Misiak	56

W STRONĘ HISTORII

Uniwersytet Stefana Batorego w Warszawie i Poznaniu. Cz. 1 – Anna Supruniuk, Mirosław Supruniuk	66
--	----

Rody uczone (256)

Nusbaumowie-Hilarowicze – Magdalena Bajer	71
--	----

Kartki z dziejów nauki w Polsce (225)

Twierdza za trzy grosze – Piotr Hübner	74
---	----

OKOLICE NAUKI

Książki	77
---------------	----

FELIETONY

Pochwała przeciętności – Henryk Grabowski	75
--	----

Szkiełko w oku

Kilka uwag o dialogu w czasach zarazy – Piotr Müldner-Nieckowski	76
---	----

Na marginesach nauki

Nie tylko punktoza – Leszek Szaruga	80
--	----

Projekt okładki – Sławomir Makal

FORUM AKADEMICKIE Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXVII Nr 4 (317) Kwiecień 2020

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. Rada Patronacka 2017-2020: prof. dr hab. Wiesław Banyś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźniak – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieraciński@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Joanna Kosmalska, Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Doktorat h.c. – prof. Lech Borowiec

OPOLE Prof. Lech Borowiec z Katedry Bioróżnorodności i Taksonomii Ewolucyjnej Uniwersytetu Wrocławskiego został 47 doktorem honoris causa Uniwersytetu Opolskiego (na fot. z prawej obok rektora UO, prof. Marka Masnyka). Jest kontynuatorem tradycji wrocławskiej szkoły taksonomii bezkręgowców i propagatorem kladystyki jako naukowej podstawy filogenetyki i klasyfikacji organizmów. Zakładał i był pierwszym prezesem Polskiego Towarzystwa Taksonomicznego. Opublikował 362 oryginalne prace, w których opisał 534 nowe dla nauki taksony. Prowadzi interaktywne katalogi tarczyczków świata, stonkowatych Europy i Basenu Morza Śródziemnego oraz polskich chrząszczy. Ten ostatni liczy 5130 ilustracji. Zgromadził także największy w Europie zbiór mrówek śródziemnomorskich. Uroczystość nadania tytułu odbyła się 10 marca, w 26. rocznicę powstania UO.



Fot. UO

Polskie Produkty Przyszłości

WARSZAWA Otoimplant – proteza ucha środkowego o działaniu bakteriobójczym, która zapewnia pacjentom krótszy okres rekonwalescencji, ogranicza ryzyko związane z powikłaniami w przebiegu infekcji i zakażeń



Fot. Otoimplant

bakteryjnych oraz umożliwiała odtworzenie budowy i funkcji struktur kostnych ucha środkowego, została Polskim Produktem Przyszłości w konkursie organizowanym przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości oraz Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.

Jej autorami są naukowcy z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie pracujący pod kierunkiem dr hab. inż. Magdaleny Ząbki z Wydziału Inżynierii Materiałowej i Ceramiki. W nagrodę otrzymali 100 tys. zł. Wyróżniono (po 25 tys. zł) Instytut Włókien Naturalnych i Roślin Zielarskich za unikatową w skali świata odmianę konopi przemysłowych HENOLA oraz Fundację Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu za ILAGRO – innowacyjny produkt stymulujący odporność roślin. Do 22 konkursu, inauguracyjnego 20-lecie PARP, zgłoszono 96 projektów.

Skatalogują biurokrację

WARSZAWA Projekt „Katalogi Administracji Publicznej”, którego celem jest udostępnienie aktualnych i kompletnych danych o instytucjach i usługach publicznych oraz wzorach dokumentów, będzie realizowany przez należące do Sieci Badawczej Łukasiewicz: Instytut Logistyki i Magazynowania oraz Instytut Technik Innowacyjnych EMAG. Wdrożenie KAP ma usprawnić pracę urzędów, które zyskają narzędzie pozwalające im na uporządkowanie wiedzy dotyczącej spraw, usług publicznych, wzorów dokumentów i rejestrów publicznych. Obywatele i przedsiębiorcy otrzymają jednolite w skali kraju opisy spraw oraz wzory dokumentów elektronicznych i nieelektronicznych. Załatwianie spraw urzędowych będzie dzięki temu łatwiejsze i szybsze. System KAP ma być zintegrowany z serwisem biznes.gov.pl oraz dostosowany do ePUAP. Budżet trzyletniego projektu to ok. 44,5 mln zł.

WARSZAWA/GENEWA Dr hab. Agata Różańska, prof. Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika PAN, została wybrana do Rady Europejskiego Towarzystwa Astronomicznego w kadencji 2020-2024. Elitarne,



Fot. Arch. prywatne

10-osobowe gremium zarządza działalnością założonego w 1990 roku Towarzystwa. Prof. Różańska zajmuje się modelowaniem emisji promieniowania z atmosfer dysków akrecyjnych w aktywnych jądrach galaktyk i rentgenowskich układach podwójnych. Ukończyła Wydział Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Od 2014 roku koordynuje prace polskich naukowców nad czterema podzespołami – dwoma optomechanicznymi i dwoma elektronicznymi – dla satelity rentgenowskiego ATHENA (Advanced Telescope for High ENergy Astrophysics). Start misji, realizowanej przez Europejską Agencję Kosmiczną, zaplanowano na 2028 rok. Jej koszt szacowany jest na prawie 1 mld euro.

Kolejny Polak w EASA

TORUŃ/SALZBURG Prof. Bogusław Buszewski z Wydziału Chemii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika został członkiem Europejskiej Akademii Nauki i Sztuki. Jest 31 Polakiem w składzie tego gremium. To uznany w kraju i za granicą specjalista z zakresu chemii analitycznej, a zwłaszcza metod separacyjnych (chromatografia i techniki elektromigracyjne, przygotowanie próbek, spektrometria mas, adsorpcja). Jest twórcą tzw.



Fot. Andrzej Romaniński

Toruńskiej Szkoły Chemii Analitycznej, autorem 18 książek i opracowań monograficznych, ponad 600 publikacji, 56 patentów i zgłoszeń patentowych. Kieruje Katedrą Chemii Środowiska i Bioanalitiky oraz Centrum Metod Separacyjnych i Bioanalitycznych (BioSep) Interdyscyplinarnego Centrum Nowoczesnych Technologii. Do EASA należy ponad 2 tys. naukowców, ludzi kultury i religii, w tym 34 noblistów. Od roku 2015 wiceprezydentem Akademii jest prof. Michał Kleiber.

Gotowi do (samo)obrony

PRZEMYŚL Walizka kryminalistyczna, pałki typu TONFA, kajdanki, rękawice bokserskie, tarcze treningowe oraz atrapy broni – to sprzęt, z którego będą korzystał studenci kierunku bezpieczeństwo transgra-



Fot. Andrzej Kawecki

niczne w Państwowej Wyższej Szkole Wschodnioeuropejskiej w Przemyslu. Przyda się w trakcie realizacji praktycznych zajęć z zakresu samoobrony i technik interwencji oraz kryminalistyki i kryminologii. Prowadzone będą przez instruktora posiadającego wieloletnie doświadczenie zawodowe w policji. Ich celem jest nauka technik uderzeń, bloków, kopnięć, rzutów, padów i dźwigni, przydatnych w obronie przed różnymi atakami. Mają również rozwijać u studentów umiejętność właściwego i bezpiecznego przeprowadzania interwencji z użyciem siły fizycznej i innych środków przymusu bezpośredniego.

Studenci w studio

KIELCE Uniwersytet Jana Kochanowskiego wzbogacił się o profesjonalne studio telewizyjne. Kosztowało 560 tys. zł. Mieści się na Wydziale Humanistycznym i wyposażone jest w kamery stacjonarne w rozdzielczości



Fot. UJK

4K sterowane joystickiem, dwie kamery reporterskie, prompter, greenbox, cztery stanowiska w pomieszczeniu reżyserskim, profesjonalne oświetlenie. Na razie produkcje dostępne będą na kanale YouTube. Studio będzie służyć głównie adeptom dziennikarstwa. W planach jest stworzenie magazynu informacyjnego, w którym znajdą się relacje z najważniejszych imprez odbywających się na uczelni. Powstawać też będą projekty autorskie studentów i pracowników UJK. W tym samym budynku, lecz na drugim końcu korytarza, swoje nowe studio radiowe ma Studenckie Radio Fraszka.

Centrum materii

CHORZÓW Na Uniwersytecie Śląskim powstanie Centrum Mikroskopowego Badania Materii. Przedsięwzięcie obejmuje budowę nowego obiektu w kampusie chorzowskim i zakłada wyposażenie go w kilka nowoczesnych mikroskopów elektronowych umożliwiających korelacyjne badania materii, w tym transmisyjny mikroskop kriogeniczny i mikroskopy skaningowe sprzężone z technikami spektroskopowymi oraz mikroskop konfokalny i sił atomowych. Stworzenie CMBM SPIN-Lab ma doprowadzić do konsolidacji i rozwoju badań prowadzonych w regionie m.in. nad: fizykochemicznymi właściwościami nowoczesnych materiałów i nanomateriałów znajdujących zastosowanie w medycynie, farmacji, lotnictwie i motoryzacji. Całkowita wartość inwestycji wynosi ponad 31,5 mln zł. Część stanowić będzie dofinansowanie z RPO Województwa Śląskiego. Centrum ma zacząć działalność w 2022 roku.

Dookoła świata po nagrodę

GDAŃSK Komendanci „Daru Młodzieży” kpt. ż.w. Rafał Szymański oraz kpt. ż.w. Ireneusz Lewandowski odebrali w Europejskim Centrum Solidarności nagrodę specjalną „Rejsu Roku” za wyprawę „Daru Młodzieży” dookoła świata. W dziesięciomiesięcznym Rejsie Niepodległości wzięło udział m.in. 539 studentów Uniwersytetu Morskiego w Gdyni, realizujących praktykę morską. Żaglowiec, którego armatorem jest gdyńska uczelnia, wypłynął 20 maja ub.r. z portu w Gdyni, a zmierzając na Światowe Dni Młodzieży w Panamie i w drodze powrotnej pokonał 38 tys. mil morskich, zawijając do 23 portów na 5 kontynentach. Wymieniająca się na różnych etapach stała załoga liczyła 77 członków. W sumie w ciągu 313 dni przez pokład przewinęło się 948 młodych ludzi. Rejs Niepodległości



Fot. UMG

był trzecim, podczas którego żaglowce gdyńskiej szkoły opłynęły świat. Opisywaliśmy go w numerze 7-8/2019.

Polecieli na podium

WROCŁAW/POZNAŃ/LAKELAND Studenci z Akademickiego Klubu Lotniczego Politechniki Wrocławskiej (na fot.) zajęli drugie miejsce w konkursie SAE Aero Design East 2020. Zaprojektowane przez nich samoloty startowały w kategorii Advanced, w której ustąpili miejsca jedynie zespołowi z Georgia Institute of Technology (USA). Zadaniem było możliwie najbardziej precyzyjne zrzuć ładunków z wysokości około 30 m do celu o promieniu 15 m. Namierzanie odbywa się za pomocą systemu składającego się z kamery i nadajników, które wysyłają obraz w czasie rzeczywistym oraz dane telemetryczne lotu do naziemnej stacji kon-



Fot. JetStream

trolu. W zawodach startowała też ekipa studentów z AKL Politechniki Poznańskiej, którzy za prezentację techniczną w klasie Regular (start z obciążeniem i ładunkiem wielkogabarytowym – w sumie ok. 5,5 kg, zrobienie kręgu nad lotniskiem i lądowanie) sklasyfikowani zostali na 3 miejscu. Na Florydzie rywalizowało ponad 60 zespołów z całego świata.

Medycy w 3D

GDAŃSK Na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym zainicjowano uniikatowy w skali kraju fakultet: wydruki 3D w medycynie – zastosowanie i metody wytwarzania. Adresowany jest do studentów Wydziału Lekarskiego i English Division z IV, V i VI roku. Naukowcy z Katedry i Kliniki Kardiologii Dziecięcej i Wad Wrodzonych Serca GUMed od



Fot. Paweł Sudara

ponad 3 lat prowadzą intensywne prace nad projektem wykorzystania wydruku 3D w kardiologii dziecięcej. Zdobyte doświadczenie postanowili wykorzystać w edukacji pacjentów i studentów medycyny. Program fakultetu napisali specjalnie z myślą o przyszłych lekarzach, którzy samodzielnie, pod nadzorem prowadzącego, dokonują wstępnej analizy otrzymanego obrazowania, wykonują segmentację obrazu, inspekcję otrzymanego modelu i jego przygotowanie do wydruku. Ostatnie zajęcia służą oczyszczeniu wcześniej przygotowanych przez nich i wydrukowanych modeli. Dzięki tej innowacyj-



nej technice w klinice powstało dotąd kilkadziesiąt indywidualnych modeli serc pacjentów.

„Cen-Tech” prawie gotowe

LUBLIN W przyszłym roku infrastruktura Politechniki Lubelskiej powiększy się o Centrum Technologii Informatycznych i Lingwistyki Technicznej. Jego budowa rozpoczęła się w 2018 r. Obiekt powstał w północnej części kampusu PL. W tym miesiącu planowane jest wyposażenie pięciokondygnacyjnego budynku. „Cen-Tech” podzielono na trzy strefy funkcjonalne: podstawową dla studentów i pracowników naukowo-dydaktycznych wszystkich wydziałów, w której znajdują się sale wykładowe, ćwiczeniowe, laboratoria językowe, oraz techniczną i administracyjną. Specjalnie dla studentów kierunku informatyka i pokrewnych na trzecim piętrze utworzono salę audio-wideo, która ma rozwijać ich zainteresowania w obszarze technologii informatycznych wykorzystywanych przy produkcji filmowej i telewizyjnej. Inwestycja kosztowała niemal 17,5 mln zł, z czego blisko połowę dołożyło Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Doradzi w nawigacji

OLSZTYN Prof. Paweł Wielgosz z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego został członkiem Komitetu Doradczego ds. Naukowych Globalnych Systemów Nawigacji Satelitarnej Europejskiej Agencji Kosmicznej. Do jego zadań będzie należało m.in. opracowanie koncepcji i opiniowanie projektu drugiej generacji europejskiego systemu Galileo oraz opiniowanie nowych programów naukowych, dotyczących systemów GNSS (globalne systemy nawigacji satelitarnej), w szczególności związanych z nawigacją w telefonach komórkowych oraz z badaniami nad ograniczeniem wpływu pogody kosmicznej na nawigację satelitarną. Jest drugim Polakiem, po prof. Stanisławie Oszczaku, również z UWM, powołanym w skład GSAC. Gremium to liczy 12 członków, a ich kadencja trwa 3 lata.



Fot. UWM

Energetyka i medycyna

CZĘSTOCHOWA Laboratorium Badań Środowiskowych i Nowych Materiałów powstanie na Uniwersytecie Humanistyczno-Przyrodniczym im. Jana Długosza w Częstochowie. Mieścić się będzie na Wydziale Nauk Ścisłych, Przyrodniczych i Technicznych. Naukowcy skupią się na kompleksowych badaniach podstawowych i stosowanych w zakresie energetyki, ze szczególnym naciskiem na odnawialne źródła energii, innowacyjne technologie związane z usuwaniem zanieczyszczeń stałych i gazowych ze środowiska oraz prowadzenie zintegrowanego monitoringu środowiska. Prowadzone będą także prace nad nowymi materiałami organicznymi dla medycyny. Celem badań jest opracowanie nowych technologii i produktów oraz ich wdrożeń we współpracy z przedsiębiorcami, głównie z województwa śląskiego. Koszt inwestycji oszacowano na ponad 5,3 mln zł, z czego 4,4 mln zł uczelnia otrzyma z RPO Województwa Śląskiego na lata 2014–2020.

Polsko-szwajcarska kooperacja

WARSZAWA Prof. Janusz Hołyst z Politechniki Warszawskiej, dr hab. Anna Olga Michalska z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, prof. Wiesław Ostachowicz z Instytutu Maszyn Przepływowych im. Roberta Szwalskiego PAN, prof. Zbigniew Łodziana z Instytutu Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego PAN oraz dr Magdalena Marta Szubiel-ska z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II zostali laureatami konkursu ALPHORN organizowanego przez Narodowe Centrum Nauki. Otrzymają w sumie ponad 5 mln zł na badania z zakresu nauk humanistycznych, społecznych i o sztuce, ścisłych i technicznych oraz o życiu prowadzone ze szwajcarskimi partnerami. Najwięcej – ponad 1,5 mln zł – trafi na PW, gdzie z wykorzystaniem metody fizyki statystycznej i eksploracji danych, stworzone zostaną nowe modele, których połączenie pozwoli na lepsze zrozumienie, jak interakcje między ludźmi przekładają się na relacje między nimi i na odwrót, oraz jak te relacje zmieniają się w czasie.

Pomogą pupilom

SIEDLCE W Instytucie Zootechniki i Rybactwa Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach otwarto Pracownię Rehabilitacji i Sensoryki Zwierząt. Stanowi ona nowoczesną bazę naukowo-dydaktyczną,



Fot. Roman Niczkoła

z której korzystają studenci kierunków zoopsychologia z animaloterapią oraz zootechnika, doskonaląc swoją wiedzę i umiejętności. Na wyposażeniu pracowni, której opiekunem jest mgr inż. Anna Jakubczak, są m.in.: bieżnia umożliwiająca rehabilitację i treningi nawet bardzo dużych zwierząt, pole magnetyczne wykorzystywane m.in. w leczeniu schorzeń ortopedycznych, aparat do laseroterapii stosowany np. w poprawie mikrokrążenia, aparat do klasycznej sonoterapii i fonoforezy o działaniu przeciwbólowym, zmniejszający napięcie mięśni. Jest także ścieżka sensoryczna do terapii behawioralnej. Pracownia nawiązała współpracę z lekarzami weterynarii, którzy psom, kotom i innym domowym zwierzętom po wypadkach lub z problemami neurologicznymi pomogą wrócić do zdrowia.

Centrum dla weterynarzy

TORUŃ Po uruchomieniu półtora roku temu studiów weterynaryjnych Uniwersytet Mikołaja Kopernika przystępuje do budowy zaplecza badawczego, klinicznego i dydaktycznego dla tego kierunku. Cen-



trum Medycyny Weterynaryjnej ma być gotowe pod koniec 2021 r. Budynek o powierzchni 6412 m² stanie przy Szosie Bydgoskiej. W podziemiu znajdzie się część kliniczna dla trzody chlewnej. Na parterze zaplanowano część kliniczną dla koni i bydła rогatego, izbę przyjęć i poczekalnię dla właścicieli zwierząt. Na I piętrze działać będzie klinika dla zwierząt małych z 4 salami operacyjnymi. Pomieszczenia dydaktyczne, sale seminaryjne, aula oraz pomieszczenia dla pracowników naukowych i administracji umieszczone będą na II piętrze. Na dachu zaprojektowano otwarty taras widokowy. Zgodnie z planem ma to być najlepiej w kraju wyposażony budynek służący kształceniu i usługom weterynaryjnym. Znajdzie się w nim m.in. tomograf komputerowy, rezonans magnetyczny, ultrasonograf, a także unikatowy system transportu wewnętrznego zwierząt. Inwestycja pochłonie prawie 31 mln zł.

Pieniądze dla klinicystów

WARSZAWA Ponad 460 mln zł przekaże Agencja Badań Medycznych na 28 projektów z obszaru kardiologii, onkologii, pediatrii, neurologii oraz hematologii. To pierwsze tak duże wsparcie dla niekomercyjnych badań klinicznych w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Złożono 78 wniosków o łącznej wartości blisko 1,5 mld zł. Badania zrealizuje 14 podmiotów. Najwięcej beneficjentów – po 5 – wywodzi się z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego oraz Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Najwyżej oceniono projekt koordynowany przez prof. Wojciecha Młynarskiego z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Ma on na celu ułatwienie dostępu do zaawansowanych terapii polskim dzieciom cierpiącym na ostrą białaczkę limfoblastyczną oraz identyfikację opcji leczniczych przy użyciu zaawansowanej diagnostyki molekularnej całego genomu dla pacjentów, którzy nie zareagowali na standardową strategię terapeutyczną.

Nagrody dla matematyków

WARSZAWA Polskie Towarzystwo Matematyczne przyznało jedno z najbardziej prestiżowych polskich nagród w tej dziedzinie. Laureatem Nagrody Głównej PTM im. Hugona Steinhausa został prof. Adam Bobrowski, kierownik Katedry Matematyki Politechniki Lubelskiej. Jego badania związane są z zastosowaniami matematyki w genetyce populacyjnej, ekspresji genów i dyfuzji wewnątrzkomórkowej, a ostatnio także w agrofizyce. Nagrodę Główną PTM im. Stefana Banacha za głębokie i szeroko cytowane wyniki w zakresie teorii operatorów i półgrup operatorów na przestrzeniach Banacha oraz ich zastosowania w teorii równań różniczkowych i teorii ergodycznej otrzymał prof. Yuriy Tomilov z Zakładu Analizy Funkcjonalnej Instytutu Matematycznego PAN. Trzecia z nagród – im. Samuela Dicksteina za osiągnięcia w dziedzi-



Fot. Arch. prywatne

nie edukacji matematycznej, popularyzacji i historii matematyki – przyznawana jest co dwa lata.

Przełom w rehabilitacji

KIELCE Inżynierowie z Politechniki Świętokrzyskiej pod kierunkiem prof. Stanisława Deniziaka pracują nad innowacyjnym systemem informatycznym wspomagającym rehabilitację pacjentów z mózgowym porażeniem dziecięcym za pomocą nowoczesnych urządzeń, takich jak roboty, bieżnie, platformy. Konstruowany egzoskielet wykona za pacjentów każdy krok. Urządzenie ma być przełomem w leczeniu pacjentów. Rehabilitacja obejmie wspomaganie edukacji chodu jako kompleksowego leczenia usprawniającego, skorelowanego z terapią spasmolityczną bądź leczeniem ortopedycznym i/lub operacyjnym. Efektem końcowym projektu będzie prototyp systemu informatycznego wspierający lekarzy i rehabilitantów w optymalnym doborze treningów oraz umożliwiający ocenę ich skutecz-



Fot. PSK

ności na podstawie pomiarów biometrycznych. Całkowity koszt projektu przekracza 4 mln zł, z czego 3,4 mln zł stanowi dofinansowanie z NCBR. Prace potrwają do końca 2022 roku.

Prezes z WUM

WARSZAWA Dr hab. Filip M. Szymański z I Katedry i Kliniki Kariologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego został prezesem Polskiego Towarzystwa Chorób Cywilizacyjnych. Jest kardiologiem specjalizującym się w nieinwazyjnej diagnostyce z uwzględnieniem nieklasycznych czynników ryzyka chorób układu krążenia, tj. obturacyjnego bezdechu sennego, zaburzeń funkcji seksualnych czy chorób przyzębia. Jest współredaktorem pierwszych na skalę europejską podręczników dotyczących nieklasycznych czynników ryzyka sercowo-naczyniowego oraz hipertensjoonkologii. Należy do Polskiego i Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego oraz Europejskiego Towarzystwa Oddechowego. PTChC działa na rzecz profilaktyki i zwalczania chorób cywilizacyjnych, promocji i ochrony zdrowia w ich zakresie oraz inicjowaniu i wspieraniu badań naukowych. Kadencja prezesa trwa 6 lat.



Fot. WUM

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Adam Bobryk, Piotr Burda, Andrzej Charytoniuk, Wojciech Ciesielski, Iwona Czajkowska-Deneka, Marcin Czyżniewski, Kamil Dziewit, Andrzej Kawecki, Maciej Kochański, Joanna Kosmańska, Lech Kryszalowicz, Jacek Szymik-Kozaczko, Joanna Śliwińska, Marta Wojtach

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Gowin odchodzi, Murdzek przychodzi

Dr Jarosław Gowin, wicepremier i minister nauki i szkolnictwa wyższego, podał się do dymisji. Została ona przyjęta przez premiera Mateusza Morawieckiego 9 kwietnia. Decyzja min. Gowina związana była z brakiem poparcia przez opozycję jego propozycji zmian w konstytucji zakładających przedłużenie kadencji prezydenta Andrzeja Dudy o 2 lata. Ostatnią decyzją min. Gowina na stanowisku szefa resortu nauki było przekazanie Instytutowi Chemii Bioorganicznej PAN środków na produkcję pierwszych 100 tys. polskich testów na obecność koronawirusa.

Jarosław Gowin stał na czele Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego od listopada 2015 roku. W tym czasie przeprowadził reformę szkolnictwa wyższego i nauki. W jej efekcie wzmocniono autonomię uczelni, zmieniono model kształcenia doktorantów, a ocenę działalności naukowej przeniesiono z jednostek na dyscypliny. Konstytucja dla Nauki kładzie nacisk na to, by naukowcy publikowali w czasopiśmie znajdujących się w międzynarodowych bazach, które ułatwiają badaczom z całego świata docieranie do tych treści. W wyniku reformy uczelnie zyskały też większą swobodę w decydowaniu o swoich strukturach i działaniach. Dotychczasowe dotacje celowe zastąpiła subwencja, co oznacza, że jednostki naukowe same decydują na co przeznaczają przyznane im środki budżetowe, a pieniądze, których nie wykorzystają w danym roku nie muszą zwracać do budżetu, ale mogą je wydać w kolejnych latach. Reforma była szeroko konsultowana ze środowiskiem akademickim, m.in. w formie konferencji programowych i Narodowego Kongresu Nauki.

Okres kierownictwa J. Gowina w resorcie nauki zaowocował też zmianami instytucjonalnymi. Powołał on Narodową Agencję Wymiany Akademickiej – instytucję, o której utworzenie środowisko akademickie zabiegało od wielu lat. Stworzył też Radę Doskonałości Naukowej, która zastępuje krytykowaną Centralną Komisję ds. Stopni i Tytułów. Z kolei Komisja Ewaluacji Nauki, która zastąpiła Komitet Ewaluacji Jed-

nostek Naukowych, przygotowuje zasady oceny dyscyplin naukowych. Także dyskutowaną od lat w środowisku akademickim ideę uczelni wiodących, czy flagowych odważył się zrealizować min. Gowin w formie konkursu Inicjatywa Doskonałości Uczelnia Badawcza.

W ostatnim wywiadzie dla „Forum Akademickiego” w lutym J. Gowin mówił: „Uważam, że wdrażanie reformy przebiega harmonijnie, nie rodzi większych napięć ani perturbacji dla uczelni. Obserwujemy jednak, że uczelnie, jeśli chodzi o rozwiązania statutowe, na ogół bardzo zachowawczo podchodzą do możliwości skorzystania z szerszej autonomii”.

Przyznawał, że poziom finansowania, jaki udało się zapewnić tej reformie, w tym nakładów na B+R, jest wciąż za niski, ale wyliczał: „W 2019 roku uzyskaliśmy ze środków budżetowych dodatkowe 5 miliardów złotych, a w roku 2020 projekt budżetu przewiduje wzrost nakładów o kolejne 4,2 miliarda. Z tej kwoty 800 milionów zostanie przeznaczonych na wzrost płac w szkolnictwie wyższym – jest to 6% funduszu wynagrodzeń uczelni”.

Za najważniejsze zadanie resortu w tej kadencji uznał reformę Polskiej Akademii Nauk.

Następcą Gowina ma być Wojciech Murdzek, pełniący obecnie funkcję sekretarza stanu w Ministerstwie Rozwoju. Jest inżynierem elektronikiem, wieloletnim prezydentem Świdnicy, posłem z listy PiS na Sejm VIII i IX kadencji. W listopadzie 2017 roku przystąpił do powstałej z przekształcenia Polski Razem partii Porozumienie, której liderem jest Jarosław Gowin. W grudniu 2019 r. został powołany na sekretarza stanu w Ministerstwie Rozwoju. Zasiada w Radzie Sieci Badawczej Łukasiewicz. Gdy oddawaliśmy to wydanie FA do druku wniosek premiera Mateusza Morawieckiego o powołanie Murdka na stanowisko ministra nauki i szkolnictwa wyższego leżał już na biurku prezydenta Andrzeja Dudy.

MK

Rezygnacja dyrektora NAWA

Łukasz Wojdyga zrezygnował ze stanowiska dyrektora Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej. Jego dymisję przyjął 31 marca premier Mateusz Morawiecki. To właśnie Łukasz Wojdyga tworzył od podstaw nową agencję grantową, która zaczęła działalność w 2017 roku. Był jej pierwszym dyrektorem, wcześniej pełnił funkcję zastępcy dyrektora Departamentu Współpracy Międzynarodowej MNiSW i zarazem pełnomocnika ministra nauki i szkolnictwa wyższego ds. utworzenia NAWA.

Już w pierwszym roku funkcjonowania NAWA uruchomiono ponad dwadzieścia programów w kilku obszarach: indywidualnej mobilności naukowców, wsparcia instytucji w umiędzynarodowieniu, mobilności studenckiej, promowania nauczania języka polskiego. Agencja operowała wówczas budżetem na poziomie blisko 120 milionów złotych, a baza ekspertów liczyła blisko 2 tys. osób. Od tego czasu programy im. Stanisława Ulama, im. prof. Franciszka Walczaka czy im. Mieczysława Bekkera stały się sztandarowymi pozycjami w corocznej ofercie. Sukcesem zakończyły się też pierwsze dwie edycje programu „Polskie Powroty”, w ramach którego do pracy na polskich uczelniach i w instytutach powróciło 42 naukowców z ośrodków m.in. w: Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Danii, Hiszpanii, Niemczech, Austrii, Szwajcarii oraz Japonii, Singapurze, Korei Południowej.

– Pełną zdolność operacyjną NAWA osiągnie w ciągu 2-3 lat – zapowiedział Wojdyga na naszych łamach pod koniec 2018 roku (wywiad w FA

nr 11/2018). I dodawał: – Najważniejszym, co się nam udało, jest zespół ludzi. To specjaliści z różnych obszarów, kompetentni, którzy zdobywali doświadczenie w najlepszych „siostrzanych” wobec NAWA instytucjach.

Nie wiadomo jeszcze, kto zastąpi Łukasza Wojdygę na stanowisku dyrektora NAWA. Do czasu mianowania nowego dyrektora, funkcję p.o. dyrektora pełnić będzie Agnieszka Stefaniak-Hrycko, od momentu powstania NAWA odpowiedzialna za tworzenie oferty programowej dla doktorantów i naukowców. Jest absolwentką Wydziału Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji oraz Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, a także studiów podyplomowych z zakresu administracji i zarządzania realizowanych na Uniwersytecie Warszawskim, Akademii Leona Koźmińskiego i Collegium Civitas. W latach 2003–2017 pracowała w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, początkowo na stanowiskach eksperckich, a następnie kierowniczych, w tym jako zastępca dyrektora Departamentu Nauki w MNiSW. Jest autorką bądź współautorką programów ministra wspierających młodych naukowców, naukowców prowadzących badania z zakresu nauk humanistycznych i społecznych, współpracy międzynarodowej oraz związanych ze społeczną odpowiedzialnością nauki. W 2017 r. była stypendystką Departamentu Stanu USA w ramach International Visitor Leadership Program.

karma

W Europie patentują, ale mniej

Uniwersytet Jagielloński z ośmioma wynalazkami i Politechnika Śląska z siedmioma wiodły w 2019 roku prym wśród polskich uczelni pod względem liczby zgłoszeń do Europejskiego Urzędu Patentowego.

Innowatorzy znad Wisły zgłosili w sumie 469 wniosków, czyli o 9,6% mniej niż w roku 2018. Daje to Polsce 26 miejsce w europejskim zestawieniu. Podobną sytuację – słabszy rok po dwóch latach zdecydowanego wzrostu – można było zaobserwować w tej dekadzie już trzykrotnie.

Spadkowemu trendowi nie oparły się uczelnie. Można przypuszczać, że biorąc na siebie koszty całego przedsięwzięcia, podchodzą do tematu z coraz większym rozmysłem i na podstawie wiarygodnych przesłanek biznesowych. Czasem jednak bywa tak, że patent europejski jest jedynym wyjściem, bo na wdrożenie technologii w Polsce nie ma żadnych szans.

Zgłoszeniowym liderem pozostał Uniwersytet Jagielloński, który osiem (czyli o 1/3 mniej niż przed rokiem) z 21 swoich zagranicznych wniosków skierował do EPO. Wśród nich były molekularne materiały magnetyczne. Z reguły większość z nich nie wykazuje właściwości ferromagnetycznych powyżej 0°C. Opracowane na Wydziale Chemii UJ materiały wykazały ferromagnetyzm w temperaturach pokojowych. Oferowane nie tylko w formie ciała stałego, ale również w postaci jednorodnej cieczy, mogą być stosowane jako nowe powłoki magnetyczne w produkcji dysków komputerowych, nośniki pamięci w systemach bezpieczeństwa (z możliwością szybkiego i całkowicie nieodwracalnego usuwania z pamięci danych poprzez wzrost temperatury lub fotolizę), przełączniki magnetyczne o szybkim czasie działania, super silne magnesy stałe, farby i płyny magnetyczne, fotoczułe magnetyki.

Wśród ośmiu zgłoszonych przez naukowców z UJ wynalazków znalazły się także m.in.: skojarzona terapia nowotworu czerniaka ludzkiego z użyciem innowacyjnej kombinacji znanych i leków – taksanów i statyn (Wydział Lekarski/Wydział Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii UJ), proteza ucha środkowego (Wydział Lekarski UJ/AGH), a także urządzenie i sposób wytwarzania warstw polimerowych o zadanej strukturze przestrzennej oraz metoda syntezy wysokiej jakości grafenu na powierzchni węgla krzemu (oba Wydział Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UJ).

W TOP5 polskich zgłoszeniodawców jest jeszcze jedna uczelnia – Politechnika Śląska, której inżynierowie wysłali 7 wniosków. Poprzednim razem były trzy: UJ, Akademia Górniczo-Hutnicza i Politechnika Gdańska. O ile w poprzednich latach liderami polskiej działalności patentowej były uczelnie wyższe i instytuty naukowe, o tyle w ubiegłym roku – zgodnie w europejskim trendem – pałeczkę najaktywniejszych przejęły firmy. Ale i w nich nie brak naukowych akcentów. Współlider zestawienia – Rywu Therapeutics – to polska firma biotechnologiczna rozwijająca innowacyjne małowcząsteczkowe związki o potencjale terapeutycznym w onkologii. Zatrudnia 150 naukowców, z których połowa posiada stopień naukowy doktora. Z kolei Adamed (5 zgłoszeń), firma

farmaceutyczno-biotechnologiczna o polskim kapitale, lider na rynku leków nowej generacji, chwali się współpracą z blisko 250 naukowcami, m.in. z Uniwersytetu Gdańskiego, Uniwersytetu Warszawskiego, Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego i UJ. W czołówce jest jeszcze 3DGence (7 zgłoszeń) – producent przemysłowych, wysokowydajnych drukarek 3D, którego współzałożycielem jest prof. Damian Gąsiorek, obecny prodziekan ds. współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym Wydziału Mechanicznego Technologicznego Politechniki Śląskiej.

Najwięcej aplikacji z Polski dotyczyło farmaceutyków i transportu (po 38). Substancje lecznicze zanotowały najwyższy wzrost – aż o 58,3%. Z kolei sektor „procesy termiczne”, z którego przed rokiem pochodziło najwięcej polskich zgłoszeń, spadł na 3 miejsce (36). Na ogólnoeuropejskim tle najbardziej w polskich statystykach rzuca się w oczy brak w czołówce zgłoszeń z obszaru komunikacji cyfrowej i technologii komputerowych. To najdynamiczniej rosnący sektor na starym kontynencie.

Do European Patent Office wpłynęła w 2019 roku rekordowa liczba ponad 181 tys. zgłoszeń. W zestawieniu r/r nastąpił wzrost o 4%. Około 45% wniosków pochodziło z 38 państw członkowskich Europejskiej Organizacji Patentowej. Do liderów należały: Stany Zjednoczone (25% ogólnej liczby zgłoszeń), Niemcy (15%), Japonia (12%), Chiny (7%) i Francja (6%). Istotny wzrost zgłoszeń zanotowano ze Szwecji (+8%), Wielkiej Brytanii (+6,9%) i Hiszpanii (+6%). Poza Polską spadek odnotowała również Francja (-2,9%), Niderlandy (-2,6%) i Finlandia (-1,4%).

Korzystniej wypadamy w perspektywie długoterminowej. W ciągu minionych 10 lat liczba składanych przez naszych wynalazców wniosków do EPO wzrosła z 205 do 469 (+129%).

EPO jest jedną z największych instytucji usług publicznych w Europie. W ramach scentralizowanej procedury przyznawania patentów EPO wynalazcy mogą uzyskać wysokiej jakości ochronę patentową w 44 krajach, uzyskując dostęp do rynku liczącego około 700 mln mieszkańców.

MK



Pogromcy wirusa

Do batalii z wirusem SARS-CoV-2, wywołującym ostrą chorobę zakaźną układu oddechowego, stanęli również polscy naukowcy.

Zespół prof. Marcina Drąga z Politechniki Wrocławskiej pracuje nad enzymem, którego zahamowanie powoduje śmierć koronawirusa. Proteaza SARS-CoV-2 Mpro, tnąc jego białka, pozwala mu bowiem przeżyć. Trafiała do nich na początku lutego za sprawą prof. Rolfa Hilgenfelda z Uniwersytetu w Lubece, z którym współpracują od lat. Opublikowanie przez niego trójwymiarowej struktury proteazy wirusa SARS i jej pierwszego inhibitora przyczyniło się w dużej mierze do wygaszenia poprzedniej epidemii w 2002 r. Proteaza „wirusa z Wuhan” jest bardzo podobna do tamtej. To enzym, który nie występuje u ludzi. Dlatego można się spodziewać, że jeśli powstaną leki w niego uderzające, będą szkodzić tylko wirusowi, a nie człowiekowi.

– Pokazaliśmy, z jakimi aminokwasami enzym może się wiązać w kluczowych pozycjach: czy to aminokwasy duże, małe, hydrofobowe czy zasadowe. Jesteśmy też w stanie stworzyć mapę najważniejszego miejsca tego enzymu i dopasowywać do niego choćby leki, które już znajdują się na rynku – wyjaśnia prof. Drąg, który uzyskanymi wynikami podzielił się nieodpłatnie z naukowcami z całego świata.

Mogą z nich korzystać firmy tworzące nowe związki bioaktywne dla wirusa SARS-CoV-2 albo opracowujące testy diagnostyczne, które pozwalałyby szybciej ustalić, czy ktoś jest zakażony.

Tak szybkiemu tempu prac uitorowała droga stworzona przez prof. Drąg platforma technologiczna, umożliwiająca otrzymywanie związków biologicznie aktywnych, w szczególności inhibitorów enzymów proteolitycznych. Hybrydowa Kombinatoryczna Biblioteka Substratów (HyCoSuL) wykorzystuje do tego szeroką gamę aminokwasów, które nie występują w naturze.

– Za jej pomocą szukamy kluczy do enzymowych zamków – metaforycznie ujmuje laureat ubiegłorocznej Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Poszukiwania leku – również wśród tych już znanych – który inhibitowałby działanie enzymu, będą prowadzone we współpracy z Siecią Badawczą Łukasiewicz – Instytutem Biotechnologii i Antybiotyków.

Nowatorski pomysł zgłosiło konsorcjum Narodowego Instytutu Onkologii, Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN i Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

– Chcemy wykorzystać nanoprzeciwiało, które umieszczone zostanie na główce bakteriofaga. Będzie ono w stanie rozpoznać wirus SARS-CoV-2 i uniemożliwi mu wniknięcie do komórek ludzkich. Bakteriofagi są wykorzystywane w terapii od dziesięcioleci i są bezpieczne dla człowieka. Natomiast nanoprzeciwiała są od niedawna testowane jako potencjalne leki. Dotychczas nikt jeszcze nie wykorzystał połączenia bakteriofag-nanoprzeciwiało do walki z wirusami ludzkimi. Jesteśmy pionierami – podkreśla prof. Jan Walewski, dyrektor NIO-PIB.

Po tym, jak we Wrocławiu stwierdzono pozytywne efekty stosowania leków na HIV i malarię u osoby zakażonej koronawirusem, eksperci w dziedzinie badań klinicznych i specjaliści chorób zakaźnych z Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich zbadają zastosowanie chlorochininy u chorych z potwierdzoną infekcją COVID-19 z łagodnymi objawami, aby zapobiec ciężkim powikłaniom płucnym.

Na każdy z tych trzech projektów Agencja Badań Medycznych przeznaczy po 5 mln zł, ale z możliwością zwiększenia tej kwoty. Do pomocy zaangażowane zostaną także zagraniczne ośrodki naukowe.

Pięciokrotnie większą sumę od Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego otrzymało Małopolskie Centrum Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Krakowski ośrodek badań wirusologicznych stworzony został w roku 2007. Dysponuje nowoczesnym laboratorium klasy trzeciej plus.

– Prowadzimy w nim prace mające na celu zrozumienie, w jaki sposób dochodzi do zakażenia, co determinuje patogenność koronawirusa już na wczesnych etapach zakażenia oraz jak się on replikuje i dostaje do narządów – tłumaczy prof. Krzysztof Pyrc, szef Pracowni Wirusologii.

Krakowscy naukowcy chcą zidentyfikować cząsteczki wywołujące nieprawidłową odpowiedź organizmu w momencie zakażenia. Jak podkreślają, wśród śmiertelnych przypadków zakażenia koronawirusem obserwowano spadek poziomu limfocytów: komórki odpornościowe napływały w wielkich ilościach do płuc i wyłączały funkcje tego organu. W takiej sytuacji nie pomaga ani krążenie pozaustrojowe, ani dotychczas stosowane leki czy terapie podtrzymujące. Jedynym wyjściem jest stworzenie leków na bazie nowych substancji czynnych. Narzędzia do ich testowania są już w rękach badaczy z UJ.

W poszukiwaniu skutecznego leku na COVID-19 bierze udział także dr hab. Marcin Nowotny, kierownik Laboratorium Struktury Białek w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej. Jego zespół jest jednym z 18 beneficjentów grantu Exscalate-4CoV o wartości 3 mln euro, którego celem jest wykorzystanie najpotężniejszych w Europie zasobów obliczeniowych do projektowania leków in-silico. Za pomocą najmocniejszej inteligentnej platformy superkomputerowej na świecie Exscalate, wykorzystującej „bibliotekę chemiczną” złożoną z 500 mld cząsteczek i przetwarzającej ponad 3 mln na sekundę, naukowcy wytypują substancje potencjalnie skuteczne w leczeniu. Chodzi o takie, które mogą wiązać się z białkami wirusa i je hamować. Prof. Nowotny odpowiada za określenie trójwymiarowych struktur atomowych białek wirusa metodami krystalogra-



Materiały prasowe © CePT

fii rentgenowskiej oraz mikroskopii elektronowej. Pozwoli to zoptymalizować budowę chemiczną zidentyfikowanych substancji i poprawić własności cząsteczek.

– Cząsteczka leku musi dokładnie pasować swoim kształtem do cząsteczki białka wirusowego, dzięki czemu może je skutecznie hamować, trochę jak klin wbity w skomplikowany mechanizm. Jednocześnie nie może przyczepiać się do białek ludzkich. Ich hamowanie może bowiem zaburzać funkcjonowanie komórek i mieć efekt toksyczny – tłumaczy prof. Nowotny.

Dodaje, że dzięki wirtualnej identyfikacji znanych leków, dla których potwierdzono bezpieczeństwo stosowania u ludzi, dana cząsteczka może być szybko wprowadzona do terapii. Zespół z Warszawy otrzyma na swoje badania ponad 70 tys. euro.

Prace nad nowego typu szczepionką RNA skierowaną przeciw wirusowi COVID-19 rozpoczęli także prof. Jacek Jemielity z Uniwersytetu Warszawskiego oraz prof. Jakub Gołąb z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Badania będą prowadzone na bazie unikalnej technologii wytwarzania trwałych cząsteczek mRNA opracowanej przez zespół prof. Jemielitego.

Z kolei w Centrum Zaawansowanych Technologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza podjęto próbę wytworzenia niezbędnych komponentów testu immunologicznego do diagnostyki SARS-CoV-2. Obecnie stosowane bazują na metodzie PCR i nie dają odpowiedzi na pytanie, czy pacjent ma odporność na koronawirusa, np. po wcze-

śniejszym kontakcie z patogenem. Jest to istotne nie tylko dla osób, które przeszły chorobę bezobjawowo, ale także tych, które zostały źle zdiagnozowane.

– Podstawą testu wykrywającego odpowiedź immunologiczną są dwa białka wirusowe, które wiążą się specyficznie do odpowiednich przeciwciał, obecnych w krwi pacjenta. Taki czuły i specyficzny test pozwala na przebadanie ogromnej ilości próbek w stosunkowo krótkim czasie – mówi dr hab. inż. Jakub Rybka, prof. UAM, któremu pomagają naukowcy z Instytutu Biologii Molekularnej i Biotechnologii Wydziału Biologii UAM.

W warunkach pandemii, gdy przybywa zachorowań przebiegających z ostrą niewydolnością oddechową, w placówkach medycznych może pojawić się problem niedoboru potrzebnej aparatury. W tej sytuacji przyda się urządzenie skonstruowane w Instytucie Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej im. M. Nałęczka PAN. Może ono być wykorzystane do niezależnej wentylacji dwóch pacjentów za pomocą jednego respiratora.

– Aparat Vetil pozwala na niezależną regulację podstawowych parametrów procesu wentylacji mechanicznej dla obu pacjentów – tłumaczy autor rozwiązania, prof. Marek Darowski.

Na wyprodukowanie przez Sieć Badawczą Łukasiewicz – Instytut Techniki i Aparatury Medycznej stu takich urządzeń resort nauki przeznaczył 5 mln zł.

MK

Grant na protokoły

Prof. Stefan Dziembowski z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego jest jednym ze 185 naukowców z całego świata, którym Europejska Rada ds. Badań Naukowych przyznała Advanced Grant. Wart 2,4 mln euro projekt PROCONTRA dotyczy protokołów kryptograficznych.

Pojęcie to pojawiło się pod koniec ubiegłego wieku, a ostatnio zyskało na popularności, głównie dzięki rozwojowi tzw. technologii blockchain, która dostarcza narzędzi do zapisywania i wykonywania tych kontraktów. Protokoły kryptograficzne to nic innego, jak algorytmy wchodzące w interakcję z inteligentnymi kontraktami (z ang. smart contracts), czyli z „informatycznymi odpowiednikami” umów prawnych. Przykładem może być gra w szachy, w której inteligentny kontrakt odpowiada za uczciwość rozgrywki, a więc np. za to, żeby nie można było wykonać niedozwolonych ruchów figurami. Protokół zawiera instrukcje dla każdej ze stron dotyczące tego, jak ma się zachowywać w celu wykonania ruchu w grze. W praktyce protokoły mogą być bardziej skomplikowane i uwzględniać m.in. większą liczbę uczestników. Wśród potencjalnych zastosowań są choćby transakcje dokonywane w tzw. internecie rzeczy, gdzie pojawia się konieczność zawierania umów między urządzeniami – bez ingerencji człowieka.

– Celem grantu jest stworzenie teorii protokołów opartych na inteligentnych kontraktach. Będziemy też tworzyć nowe protokoły tego typu oraz analizować już istniejące. Przykładowo zajmujemy się tzw. protokołami off-chain, które służą przeniesieniu znacznej części operacji poza główny blockchain, przy zachowaniu tych samych gwarancji bezpieczeństwa – zapowiada prof. Dziembowski, pod którego

kierownictwem działa na UW zespół badaczy zajmujących się kryptograficznymi aspektami cyfrowej waluty bitcoin.

Realizacja projektu PROCONTRA przyczyni się do powstania na stołecznej uczelni pierwszego w Polsce akademickiego centrum rozwoju blockchaina oraz technologii inteligentnych kontraktów.

Prof. Stefan Dziembowski jest synem astronoma Wojciecha Dziembowskiego i starszym bratem Andrzeja Dziembowskiego, biologa molekularnego i genetyka z Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN. To już drugi jego projekt naukowy, który realizuje dzięki wsparciu ERC.

Poprzednio, w 2007 roku, jeszcze jako post-doc na Uniwersytecie La Sapienza w Rzymie, otrzymał Starting Grant, który realizował już na Uniwersytecie Warszawskim. Był to pierwszy grant ERC na stołecznej uczelni. Od tamtej pory dorobek naukowców UW powiększył się o kolejnych 15, a uniwersytet stał się polskim liderem pod tym względem. Najwięcej było Starting Grants (8) skierowanych do młodych naukowców, od 2 do 7 lat po doktoracie.

Przed prof. Dziembowskim granty ERC dla zaawansowanych badaczy (Advanced Grant) zdobyło tylko czterech profesorów, pracujących w polskich instytucjach naukowych: Tomasz Dietl z Instytutu Fizyki PAN (2008), Andrzej Udalski z Obserwatorium Astronomicznego UW (2009), Ryszard Horodecki z Uniwersytetu

Gdańskiego (2012) oraz Grzegorz Pietrzyński z Centrum Astronomicznego im. M. Kopernika PAN w Warszawie (2016).

W sumie od początku istnienia ERC (2007) przyznano polskim naukowcom 37 grantów wszystkich kategorii (Starting, Consolidator, Advanced, Proof of Concept).

MK, BPUW



Wybrali rektorów pomimo zarazy

W obliczu epidemii koronawirusa na większości uczelni zawieszono bieg czynności wyborczych. Oznacza to, że wyłanianie rektorów odłożono na późniejsze niż pierwotnie planowano terminy. W części szkół wyższych marcowych dat udało się jednak dotrzymać.



Śląskim Uniwersytetem Medycznym przez najbliższe cztery lata pokieruje prof. **Tomasz Szczepański**, lekarz pediatra, onkolog i hematolog. Głosowało na niego 308 elektorów (kontrkandydat – prof. Andrzej Więcek – otrzymał 176 głosów). Zastąpi prof. Przemysława Jałowickiego, który kończy właśnie swoją drugą kadencję. Rektor-elekt pełni obecnie funkcję prorektora ds. nauki. Kieruje Katedrą i Kliniką Pediatrii, Hematologii i Onkologii Dziecięcej SUM. Jest członkiem: Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego, Polskiego Towarzystwa Hematologów i Transfuzjologów, Polskiego Towarzystwa Onkologii i Hematologii Dziecięcej, Kolegium Medycyny Laboratoryjnej, European Haematology Association, American Society of Hematology, International Society of Paediatric Oncology. W 2019 roku został powołany do Zespołu ds. Narodowej Strategii Onkologicznej. Pracuje naukowo w obszarach immunologii, biologii molekularnej i diagnostyki ostrych białaczek, ze szczególnym uwzględnieniem, m.in. immunodiagnostyki białaczek i chłoniaków u dzieci, minimalnej choroby resztkowej w białaczkach u dzieci, diagnostyki molekularnej w hematologii onkologicznej, ostrej białaczki limfoblastycznej u niemowląt, regeneracji szpiku kostnego po chemioterapii, oporności wielolekowej w białaczkach u dzieci.

Następcą prof. Adama Zająca w Akademii Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach będzie prof. **Grzegorz Juras**, obecny prorektor ds. rozwoju. Został wybrany jednogłośnie – opowiedziało się za nim 28 członków Kolegium Elektorskiego. Jest dziewiątym rektorem w historii katowickiej Akademii. Kieruje Katedrą Motoryczności Człowieka, w której w 1992 roku zaczynał pracę. Wykładał także w Instytucie Wychowania Fizycznego Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Raciborzu oraz na Wydziale Wychowania Fizycznego Uniwersytetu Rzeszowskiego. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół zaburzeń ruchowych, kontroli postawy, prawa Fittsa i synergii motorycznych. Od 2011 roku zasiada w Komitecie Rehabilitacji, Kultury Fizycznej i Integracji Społecznej Polskiej Akademii Nauk. W 2017 roku został przewodniczącym Konsorcjum Śląskich Uczelni Publicznych, które zrzesza dziewięć największych publicznych szkół wyższych na Śląsku.



W Akademii Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego w Bydgoszczy następcą prof. Jerzego Kaszuby, akordeonisty, została dyrygentka prof. **Elżbieta Wtorkowska**. W wyborach przeprowadzonych w trybie online opowiedziało się za nią 24 spośród 40 uprawnionych do głosowania elektorów (kontrkandydat, dr hab. Mariusz Klimsiak, zdobył 16 głosów). W latach 2012–2016 pełniła funkcję dziekana Wydziału Dyrygentury, Jazzu i Edukacji Muzycznej w bydgoskiej Akademii. Obecnie kieruje Katedrą Muzyki Kościelnej. Pracuje również w Instytucie Społeczno-Artystycznym Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. J. Grodka w Sanoku. Jest wykładowcą oraz kierownikiem

naukowym na Podyplomowych Studiach Chórmistrzostwa i Emisji Głosu w AM oraz konsultantem wokalnym Chóru „Opera Nova” w Bydgoszczy. Od 2002 roku prowadzi w Koszalinie Chór Dyrygentów Polonijnych „Ojczyzna”. W 1981 roku założyła Chór Dziewięcicy „Canzona”, a w 2001 roku Zeński Chór „Canzona-Absolwent”. Jest inicjatorem i dyrektorem artystycznym Międzynarodowego Festiwalu Chóralnego im. ks. Edmunda Szymańskiego, który odbywa się od 2007 roku w Murowanej Goślinie.

W Politechnice Gdańskiej wprowadzie bez zmian, ale dla prof. **Krzysztofa Wildego** będzie to formalnie pierwsza kadencja (w wyborach online uzyskał 108 głosów na 135 możliwych). Został 41 rektorem pomorskiej uczelni w połowie ub.r. w wyniku wyborów uzupełniających przeprowadzonych po nagłej śmierci prof. Jacka Namieśnika (niepełna kadencja nie jest wliczana do ich ustawowo dopuszczalnej liczby). Podobna sytuacja ma miejsce w Politechnice Opolskiej, którą od śmierci prof. Marka Tukiendorfa w 2019 roku kieruje dr hab. inż. **Marcin Lorenc**. Na pełną czteroletnią kadencję został teraz wybrany w trybie zdalnym głosami 89 elektorów (na 97).



W pozostałych przypadkach doszło do reelekcji. Tylko w Akademii Pomorskiej w Słupsku obecny rektor – dr hab. inż. Zbigniew Osadowski, prof. AP – miał kontrkandydata: wygrał stosunkiem głosów 73:52 z prof. Romanem Drozdem, byłym rektorem uczelni.



Również na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu było początkowo dwóch kandydatów, ale dzień przed głosowaniem wycofał się dr hab. Maciej Kurak, prof. UAP. W grze pozostał w związku z tym jedynie urzędujący obecnie rektor, prof. Wojciech Hora. Głos na niego oddali wszyscy (34) elektorzy.



Akademii Wychowania Fizycznego im. Eugeniusza Piaseckiego w Poznaniu, najstarszą uczelnią sportową w Polsce, kierować będzie nadal dr hab. Dariusz Wieliński, prof. AWF.

Na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku kolejne cztery lata w fotelu rektora spędzi prof. Adam Krętowski, podobnie jak na Pomorskim Uniwersytecie Medycznym w Szczecinie – prof. Bogusław Machaliński.

Na czele Mazowieckiej Uczelni Publicznej pozostanie prof. Maciej Słodki, w Państwowej Wyższej Szkole Informatyki i Przedsiębiorczości w Łomży o reelekcję z powodzeniem ubiegał się dr hab. Dariusz Surowik, prof. PWSliP, zaś na rektora Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Wałczu wybrano ponownie dr. Dariusza Skalskiego.

Mariusz Karwowski

Specjaliści od materiałów

Dziesięć zespołów badawczych z Polski znalazło się wśród laureatów konkursu organizowanego przez sieć M-ERA.NET, finansującą badania z obszaru nauk o materiałach oraz inżynierii materiałowej. Do sieci należą 43 organizacje z 32 krajów, w tym polskie Narodowe Centrum Nauki i Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.

W konkursie złożono 233 wnioski. Finansowanie w wysokości 26,9 mln euro otrzymało 37 projektów. Sześć z nich będzie pilotowanych przez Polaków. Dwoje liderów wywodzi się z Politechniki Łódzkiej. Prof. Tomasz Czystanowski z Instytutu Fizyki PŁ pokieruje projektem **TRAVEL**, w którym wezmą udział naukowcy z LAAS-CNRS Toulouse oraz Politechniki Warszawskiej. Ich zadaniem będzie wytworzenie półprzewodnikowych laserów z pionową wnęką rezonansową (VCSEL), które są najmniejszymi źródłami światła laserowego. W ostatnim czasie przyczyniły się one do szybkiego wzrostu przepustowości lokalnych sieci telekomunikacyjnych oraz masowego zastosowania czujników rozpoznających przedmioty, twarze oraz gesty, stając się niezbędnym elementem pojazdów autonomicznych, robotów, dronów czy telefonów komórkowych. Inżynierowie podejmą próbę zwiększenia efektywności energetycznej laserów VCSEL, m.in. poprzez zastosowanie nowej struktury przezroczystych elektrod o bardzo wysokiej przewodności.

Dr inż. Anna Karczemka z Instytutu Maszyn Przepływowych PŁ poprowadzi projekt **AnBaCo**, w wyniku którego powstaną powłoki antybakteryjne o właściwościach drobnoustrojobójczych. Zastosowana zostanie technologia osadzania powłok zol-żel. Znajdą one zastosowanie w życiu codziennym, np. w transporcie publicznym, supermarketach, toaletach oraz w medycynie. Partnerem jest Uniwersytet Techniczny w Libercu.

Koordynacją dwóch kolejnych przedsięwzięć zajmą się inżynierowie z Sieci Łukasiewicz. Dr hab. Michał Borysiewicz z Instytutu Technologii Elektronowej wraz z Instytutem Wysokich Ciśnień PAN, węgierskim Instytutem Fizyki Technicznej i Nauk o Materiałach oraz Izraelskim Instytutem Technicznym Technion (**OxyGaN**) spróbuje zwiększyć wydajność niebieskich i niebiesko-fioletowych diod laserowych opartych na azotku galu. Nowa technologia ma umożliwić produkcję tańszych, ale bardziej wydajnych energetycznie diod dla przemysłu samochodowego, wyświetlaczy, spawalnictwa (na fot.).

Prof. Anna Kozłowska, kierownik Zakładu Optoelektroniki w Instytucie Technologii Materiałów Elektronicznych, opracuje nowy materiał funkcjonalny oparty na warstwowej ceramice oraz wykorzystujący zjawisko powierzchniowego rezonansu plazmonowego. Będzie to innowacyjny komponent do oświetlenia i sensoryki w ochronie środowiska, diagnostyce medycznej czy wykrywaniu skażeń wody. Partnerzy w **NewILUMIS** to: Politechnika Warszawska, Instytut Badań Ceramicznych w Limoges, Instytut Fraunhofera IKTS.

Prof. Tomasz Ciach z Politechniki Warszawskiej wraz z partnerami ze Szpitala Uniwersyteckiego w Kapsztadzie (**IsoWire**) pracuje nad nowym typem urologicznego drutu prowadzącego z bioaktywnym hydrożelowym pokryciem, zdolnym do szybkiego miejscowego uwalniania substancji aktywnej (izoprenaliny), która powoduje rozluźnienie mięśni gładkich w ścianie moczowodu pacjenta. Stosowanie go w praktyce klinicznej ograniczy konieczność implantacji stentów urologicznych przed wykonaniem chirurgicznego usuwania kamieni nerkowych oraz zredukuje częstotliwość występowania urazów tkanek moczowodu powstających w trakcie tego zabiegu.

Dr hab. inż. Magdalena Maria Mieloszyk z Instytutu Maszyn Przepływowych im. Roberta Szewalskiego Polskiej Akademii Nauk jest liderem projektu **AMCSS**, który dotyczy kompozytowych struktur inteligentnych z wbudowanymi czujnikami światłowodowymi typu

FBG wytwarzanych metodami drukowania przestrzennego. Badania zrealizuje z naukowcami z Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN oraz Uniwersytetu Technicznego w Kownie.

Ponadto cztery inne nasze zespoły uczestniczyć będą w projektach koordynowanych przez zagraniczne podmioty, a dotyczących: technologii produkcji wyrobów budowlanych wykonanych z ekologicznych, wysoko wydajnych kompozytów włóknistych z enkapsulowanego materiału przemiany fazowej do zastosowań w budownictwie zeroemisyjnym (Politechnika Warszawska), syntezy i charakterystyki nowych materiałów hybrydowych 2D do zastosowań jako superkondensatory (Uniwersytet Warszawski), funkcjonalnych światłowodów mikrostrukturalnych w zakresie średniej podczerwieni do zastosowań w laserowych czujnikach gazów na potrzeby ochrony środowiska (Politechnika Wrocławska) oraz bioaktywnych implantów palców dla pacjentów po amputacji (Instytut Metalurgii i Inżynierii Materiałowej PAN).

traman



Mobilność

– wyzwanie w czasie zamkniętych granic

Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej powstała w 2017 r. Zdążyła osiągnąć pełną zdolność instytucjonalną oraz stworzyć bogatą ofertę programów, gdy w trzecim roku jej funkcjonowania zdarzyła się epidemia, która utrudnia, czy wręcz blokuje, mobilność akademicką, zwłaszcza międzynarodową i zasadniczo wpływa na możliwości działania NAWA. O wypowiedź na temat działań agencji w obliczu tych wyzwań poprosiliśmy Agnieszkę Stefaniak-Hrycko, p.o. dyrektora NAWA, członka ministerialnego Zespołu ds. koordynacji działań w systemie szkolnictwa wyższego i nauki w związku z zagrożeniem wystąpienia COVID-19.

Po ogłoszeniu 11 marca 2020 r. przez Światową Organizację Zdrowia pandemii nowego koronawirusa znaleźliśmy się w sytuacji, która zmieniła dotychczasowe funkcjonowanie niemal wszystkich obszarów życia społecznego, ekonomicznego, a także instytucji szkolnictwa wyższego i społeczności akademickich nie tylko w Europie, ale na całym świecie. Odwołane zostały międzynarodowe konferencje naukowe oraz targi edukacyjne, takie jak APAIE, NAFSA. Wstrzymana jest mobilność naukowa, która ma tak duży wpływ na rozwijanie potencjału badawczo-rozwojowego, podnoszenie jakości szkolnictwa wyższego, nawiązywanie naukowych sieci współpracy, które przekładają się w długoterminowej perspektywie na rozwój społeczno-gospodarczy. W najbliższych miesiącach wszystkie działania muszą być podporządkowane bezpieczeństwu ludzi, które jest niekwestionowanym priorytetem. Na tym teraz skupia się też świat nauki. Jesteśmy dumni, że polscy naukowcy, w tym stypendyści i eksperci NAWA, w zaciśnięciu swoich laboratoriów w międzynarodowych zespołach pracują nad sposobem pokonania wirusa, który gwałtownie zmienił naszą rzeczywistość. To oni, obok służby medycznej i sanitarno-epidemiologicznej, są prawdziwymi bohaterami tych niespokojnych czasów.

European Association for International Education (EAIE) w swoim raporcie z marca br. *Coping with COVID-19: International higher education in Europe* wskazuje, że skutki społeczne, polityczne, ekonomiczne, a także edukacyjne tej sytuacji są powszechne i bezprecedensowe w naszych czasach. Raport stwierdza, że sytuacja ta ma znaczący wpływ na mobilność studentką i akademicką. Wszyscy szukamy więc teraz jak najlepszych rozwiązań, aby zapewnić ciągłość realizowanych działań, tak abyśmy mogli zminimalizować wpływ epidemii COVID-19 na nasze funkcjonowanie i nadal wypełniać swoje statutowe cele.

W czasie, kiedy granice państw pozostają zamknięte, Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej, której misją jest wspieranie wymiany akademickiej i współpracy międzynarodowej w celu wzmocnienia potencjału polskiej nauki i szkolnictwa wyższego, ma przed sobą szczególne wyzwania. Podejmując działania, w tej dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości, jesteśmy w stałym kontakcie z Radą NAWA oraz Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a także śledzimy i wdrażamy zalecenia Ministerstwa Zdrowia i Głównego Inspektoratu Sanitarnego. Wsłuchujemy się też w głos środowiska akademickiego. Nieustannie mamy na uwadze bezpieczeństwo naszych stypendystów, zapewnienie możliwości elastycznej realizacji projektów w ramach naszych programów, a także jak najlepsze wypełnianie w tych szczególnych warunkach zadania NAWA, jakim jest prowadzenie długofalowej polityki na rzecz wsparcia mobilności akademickiej oraz umiędzynarodowienia oferty polskich uczelni. Co robimy?

Odpowiadamy na potrzeby stypendystów NAWA

Przed wszystkim opiekunowie programów NAWA pozostają w stałym kontakcie z naszymi stypendystami, a nasze działania dostosowujemy do nowych warunków realizacji programów i potrzeb, jakie sygnalizują beneficjenci.

Kontynuujemy finansowanie i wypłatę stypendiów we wszystkich trwających programach: studenckich, dla naukowców, instytucjonalnych i w programach dotyczących języka polskiego. Mając na uwadze to, że część naszych stypendystów w programach studenckich, w tym programach skierowanych do Polonii, w ostatnich tygodniach wyjechała do swych rodzinnych krajów, podjęliśmy decyzję o zmianie zapisów regulaminowych zawieszających stypendia w przypadku wyjazdów. Będą one nadal wypłacane tym studentom, którzy kontynuują uczelniane zajęcia online, niezależnie od miejsca pobytu.

Dla tych natomiast, którzy zostali w akademikach i muszą mierzyć się z funkcjonowaniem z dala od domu przy dodatkowych ograniczeniach przemieszczania się, uruchomiliśmy cykl webinarów „Student alone at home – emotions under control”, prowadzonych przez psychologów, coachów, naukowców, dla których izolacja jest warunkiem codziennej pracy badawczej (np. polarnicy). Studentom zagranicznym – stypendystom NAWA, którzy zostali w Polsce, a w wyniku obecnej sytuacji epidemicznej znacząco pogorszyły się warunki ich życia – dajemy możliwość skorzystania z jednorazowej zapomogi. Spodziewamy się dużego zainteresowania tym mechanizmem wsparcia. Jesteśmy wdzięczni uczelniom, które na różne sposoby wspierają tę grupę studentów, począwszy od dostarczania posiłków tym, którzy przebywają na kwarantannie, po redukcję opłat za akademiki.

Natomiast polskim naukowcom, którzy realizowali bądź realizują nadal projekty w ramach naszych programów za granicą (programy: im. W. Iwanowskiej, im. M. Bekkera, im. prof. F. Walczaka) oraz naukowcom zagranicznym, którzy są w Polsce (program im. S. Ulama), zapewniamy możliwość zawieszenia realizowanego projektu na okres 6 miesięcy (w uzasadnionych przypadkach nawet na dłużej) lub skrócenia realizacji projektu naukowego i szybszego powrotu do kraju. Warto podkreślić, że pierwsze takie prośby polskich naukowców przebywających za granicą pozytywnie rozpatrywaliśmy jeszcze przed ogłoszeniem pandemii przez WHO.

Również w programach dla instytucji dajemy naszym beneficjentom możliwość zmian w projektach, jeśli sytuacja tego wymaga, przenoszenia działań w wirtualną przestrzeń i np. przeprowadzania szkoleń lub spotkań projektowych online albo przełożenia ich na późniejsze terminy. W programie Akademickie Partnerstwa Międzynarodowe, ukierunkowanym na strategiczną współpracę z jednostkami naukowymi z zagranicy, czy programach Welcome to Poland, International Alumni i Promocja Zagraniczna, wydłużyliśmy już terminy realizacji projektów. W tym samym kierunku zmierzamy w przypadku bardzo popularnego, nastawionego na krótkie mobilności programu PROM.

Przedłużamy terminy naborów i rekomendujemy odłożenie przyjazdów i wyjazdów

Już od dłuższego czasu rekomendujemy odłożenie naukowych wyjazdów, przyjazdów i tak zmieniamy regulaminy, aby można było je rozpocząć do końca bieżącego roku kalendarzowego, o ile ośrodki goszczący wyrazi na to zgodę.

Wiemy, że ograniczenia związane z zagrożeniem epidemią utrudniają naukowcom przygotowanie niezbędnych dokumentów do złożenia wniosków w trwających naborach do programów NAWA. Z tego względu zdecydowaliśmy więc o przedłużeniu terminów składania wniosków w programach stypendialnych dla naukowców: Polskie Powroty (do 23 kwietnia 2020 r.), Programie im. Ulama (do 23 kwietnia 2020 r.) oraz Programie im. prof. Franciszka Walczaka (do 30 kwietnia 2020 r.). Wszystkie naukowe wyjazdy i przyjazdy w ramach nowych edycji tych programów dla naukowców można planować tak, aby odbyły się lub rozpoczęły w 2021 roku.

Przedłużamy termin naboru w programie stypendialnym dla studentów Poland My First Choice do końca kwietnia, ponieważ epidemia – która dotknęła też kraje pochodzenia naszych beneficjentów – z pewnością utrudnia młodzieży podejmowanie decyzji o aplikowaniu na polskie uczelnie, a także załatwianie formalności. Z kolei w programie Katamaran, dotyczącym realizacji wspólnych studiów II stopnia, zakończenie naboru przełożyliśmy o miesiąc, do 29 maja. Mając na względzie ograniczenia w pracy administracji uczelni i instytutów naukowych oraz badawczych, zrezygnowaliśmy z ogłaszania w kwietniu trzeciej edycji programu PROM oraz przesunęliśmy o miesiąc rozpoczęcie naboru do nowej formuły programu STER, który będzie atrakcyjnym, systemowym wsparciem umiędzynarodowienia szkół doktorskich. O szczegółach poinformujemy Państwa już wkrótce.

Najtrudniejszą decyzję podjęliśmy jednak, odwołując, po konsultacji z Radą NAWA, realizację Letnich kursów języka i kultury polskiej w bieżącym roku. Co roku na 3-4 tygodniowe kursy przyjeżdżało do Polski ponad 700 studentów z całego świata. W zamian planujemy spotkania z Polską w postaci profesjonalnie przygotowanych kursów on-line.

Rzetelnie informujemy i pozostajemy w kontakcie

Zdajemy sobie sprawę, jak ważne jest docieranie do zainteresowanych z rzetelną informacją. Mimo że od 16 marca br. w trosce o bezpieczeństwo naszych beneficjentów ograniczyliśmy bezpośrednie kontakty i agencja w zdecydowanej mierze pracuje zdalnie, to zapewniamy stały kontakt z NAWA. Od poniedziałku do piątku w godz. 8:30 – 16:30 dostępna jest infolinia czynna pod numerem +48 22 390 35 00. Pracownicy NAWA pozostają też dostępni pod swoimi numerami telefonów i adresami e-mail.

Prowadzimy działania informacyjne skierowane do naszych stypendystów. Na stronie internetowej agencji została uruchomiona zakładka „Ważne informacje. COVID-19”, w której zamieszczane są najważniejsze informacje dla beneficjentów poszczególnych programów oraz komunikaty Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, rządowe i służb sanitarnych, związane z wprowadzonym stanem epidemicznym. Na stronie www.go-poland.pl prowadzimy anglojęzyczny, aktualizowany na bieżąco serwis informacyjny umożliwiający studentom zagranicznym śledzenie komunikatów związanych z epidemią w Polsce. Zachęcam do śledzenia tych stron internetowych.

Na bieżąco rozpatrywane są również wnioski o wydanie informacji o zagranicznym dyplomie. Warto przypomnieć, że w 2019 r. NAWA uruchomiła system KWALIFIKATOR: bazę danych, która umożliwia sprawdzenie on-line ogólnych informacji, w jaki sposób dany zagraniczny dyplom lub stopień naukowy jest uznawany w Polsce oraz wskazuje podstawy prawne, z których wynikają poszczególne uprawnienia posiadacza dyplomu. System daje możliwość wygenerowania ogólnej informacji o dyplomie (tzw. recognition statement). Rzetelność informacji gwarantowana jest podpisem elektronicznym NAWA. Narzędzie dostępne jest w języku polskim i angielskim. Obecnie w KWALIFIKATORZE znajduje się blisko 300 kwalifikacji z 28 państw i na bieżąco dodawane są kolejne.



Rozważnie planujemy przyszłość mobilności akademickiej

Wyniesiemy z tej trudnej sytuacji doświadczenia, które pomogą nam zmierzyć się z podobnymi kryzysami. Pandemia spowodowała, że kontakty, również akademickie, w znacznym stopniu przeniosły się do świata wirtualnego. Wszyscy uświadomiliśmy sobie, jak ważne są kompetencje cyfrowe i nowe technologie, które umożliwiają kontynuację zajęć na uczelni czy prowadzonych projektów.

Jednak możliwość bezpośredniej pracy z wybitnymi naukowcami, wizyty w laboratoriach w najlepszych ośrodkach badawczych czy umiędzynarodowianie kształcenia są potrzebne dla rozwoju nauki i budowania międzynarodowej współpracy. Dlatego mimo trudności i dostosowując się do dynamiki sytuacji wypełniamy nasze zadania. W kwietniu zamierzamy ogłosić nabór do programu im. M. Bekkera. To program umożliwiający wyjazdy naukowe polskim naukowcom. Wyjazdy będą możliwe od marca 2021 roku. Wierzymy, że w tym terminie nasze dzisiejsze zmagania pozostaną już tylko wspomnieniem.

Mam nadzieję, że wówczas, po tych trudnych miesiącach 2020 roku, których teraz doświadczamy, międzynarodowa mobilność akademicka rozwinie się z nową energią i przyniesie wiele wyników badań i odkryć użytecznych dla społeczeństwa. Wspomnę jeszcze, że wyjazdy naukowe, które mają odbywać się w ramach Programu im. F. Walczaka – także w 2021 roku – obejmują naukowe staże i szkolenia lekarzy i naukowców zajmujących się chorobami zakaźnymi, czyli tematem, który stał się bardzo aktualnym wyzwaniem dla nauki.

Jesteśmy w kontakcie z europejskimi agencjami zajmującymi się mobilnością akademicką zrzeszonymi w Academic Cooperation Association i planując przyszłe działania, na bieżąco wymieniamy się informacjami i stosowanymi rozwiązaniami, w tym dotyczącymi egzaminów maturalnych czy rekrutacji zagranicznych studentów na rok akademicki 2020/2021. Niemniej jednak ostateczne decyzje dotyczące wyjazdów i przyjazdów w ramach programów NAWA będą podejmowane na podstawie danych o rozwoju sytuacji i wytycznych kompetentnych organów, z zachowaniem dbałości o bezpieczeństwo zarówno stypendystów, jak i obywateli naszego kraju.

Kształcenie online w warunkach epidemii: wymuszona konieczność czy szansa dla innowatorów?

Gdy 11 marca podczas konferencji prasowej minister nauki i szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin ogłaszał, że w związku z rozprzestrzenianiem się koronawirusa zawiesza zajęcia w szkołach wyższych, władze wielu z nich zadawały sobie pytanie: czy to oznacza de facto zamknięcie uczelni?

Obserwując przebieg epidemii w Chinach, w tym przejście uczelni chińskich na kształcenie online, już na początku marca w Grupie TEB Akademia, w tym w Wyższych Szkołach Bankowych, rozpoczęliśmy prace przygotowawcze do wprowadzenia kształcenia zdalnego. Gdy 13 marca ministerstwo zarekomendowało uczelniom właśnie taki proces kształcenia, przed nami stanęło ogromne wyzwanie, związane przede wszystkim z presją czasu i niepewnością: przygotowanie studiów online w trybie zarządzania kryzysowego. Wyzwanie obejmowało trzy elementy: stronę techniczną, przeszkolenie setek wykładowców z pracy przy pomocy nowych narzędzi oraz dotarcie z informacją do studentów, aby w odpowiednim momencie dowiedzieli się jak wziąć udział w zajęciach w nowej formule. Na to nakładała się decyzja o całkowitym przejściu administracji uczelni na home office – w trosce o bezpieczeństwo pracowników i studentów. Podjęto zasadniczą decyzję: wersja online będzie co do zasady odtworzeniem standardowego planu zajęć. Taką rekomendację zresztą przyjęły w tym samym czasie uniwersytety amerykańskie.

Nierówny wyścig z czasem i technologią

Kluczową decyzją dotyczącą modelu kształcenia online było przyjęcie zasady odtworzenia standardowego planu zajęć. Taką rekomendację zresztą przyjęły w tym samym czasie uniwersytety amerykańskie. Pierwsze zajęcia zdalne dla studentów poprowadziła Wyższa Szkoła Bankowa w Gdańsku – w weekend 14-15 marca przeprowadzone zostało ponad 1500 godzin zajęć na platformie streamingowej ClickMeeting. W ciągu następnego tygodnia sukcesywnie dołączały kolejne Wyższe Szkoły Bankowe oraz pozostałe uczelnie z grupy. W ostatni weekend marca na studiach niestacjonarnych w całej grupie uczelni zrealizowano ponad 15 tysięcy godzin zajęć online. Obecnie (6 kwietnia) we wszystkich 12 uczelniach z Grupy TEB Akademia prowadzimy kształcenie online, realizując około 95% zaplanowanych zajęć na studiach I i II stopnia. Dotyczy to także ścieżek obcojęzycznych dla studentów zagranicznych – zdecydowana większość na ścieżkach anglojęzycznych pozostała w Polsce, wyjechali natomiast uczestnicy programu Erasmus. Monitorując proces przechodzenia na kształcenie online na uczelniach amerykańskich, zauważyliśmy, że również tam średni czas adaptacji nowych narzędzi wyniósł ok. 7-14 dni.

Zdecydowana większość zajęć w Grupie TEB Akademia prowadzona jest w trybie synchronicznym w formie wykładów, ćwiczeń i seminariów w formie streamingu live. Zdecydowaliśmy się pracować równolegle na wielu narzędziach, takich jak ClickMeeting, Zoom, Microsoft Teams czy Google Hangouts. Ta dywersyfikacja niweluje ryzyko związane z wydajnością serwerów u dostawców. Kształcenie synchroniczne umożliwia komunikację dwukierunkową, która jest podstawą efektywności kształcenia. Do nauczania zdalnego wykorzystujemy także platformę Moodle, która jest podstawowym śro-

domkiem do kształcenia asynchronicznego. Na platformie rozwijanej w naszej grupie uczelni już od kilkunastu lat znajdują się kontenty multimedialne, przy czym ich dostępność jest różna dla poszczególnych kierunków i wydziałów. Również w uczelnianym systemie obsługi studiów Experia zamieszczane są linki do materiałów multimedialnych.

Technologia jest dobrem, które umożliwia nam prowadzenie zdalnego kształcenia, ale równocześnie okazała się wielkim wyzwaniem. Skala, na jaką musieliśmy w krótkim czasie uruchomić kształcenie zdalne dla kilkudziesięciu tysięcy naszych studentów, sprawiła, że pierwsze dni obfitowały w sytuacje kryzysowe. Nie ma się jednak czemu dziwić: liczba osób i instytucji wykorzystujących platformy komunikacyjne wzrosła nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie o kilkaset, a nawet kilka tysięcy procent. Ocenia się, że w skali globalnej na kształcenie online przeszło niemal 300 milionów studentów wyższych uczelni. W czasie pierwszego weekendu zajęć zaocznych w naszych uczelniach pojawiły się problemy techniczne z wydajnością platformy Moodle, które znacząco utrudniały pracę studentom i wykładowcom. Aby kolejny dzień zjazdu przebiegał bez zakłóceń, zespół informatyków pracował nad rozwiązaniami przez całą noc z soboty na niedzielę, zwiększając moce obliczeniowe serwerów.

Aspekt technologiczny to jednak tylko jedna strona medalu. Musieliśmy przygotować do procesu nauczania zdalnego dwie zasadnicze grupy: wykładowców i studentów, a w dodatku trzeba było działać pod ogromną presją czasu. Wszystko po to, by uniknąć zaległości w realizacji programu studiów. Przygotowaniem kadry zajęły się zespoły robocze, które składały się przede wszystkim z funkcjonujących od dawna działów metodyki e-learningu. Przeszkolono setki wykładowców, wyjaśniono nowe zasady pracy i kontaktowania się ze studentami, a tych, którzy nie dysponowali od ręki sprzętem do poprowadzenia zajęć, wyposażono w laptopy. W odpowiedzi na sygnały od studentów również dla nich przygotowane zostały instrukcje i webinaria, aby wyposażyc ich w wiedzę niezbędną do efektywnej nauki.

Co prawda wdrożyliśmy kształcenie zdalne na studiach wyższych, ale to nie koniec pracy. Cały czas monitorujemy rozwój tego procesu, uważnie wsluchujemy się w opinie studentów – jego najważniejszych odbiorców. Owszem, studiowanie w trybie online ma wiele zalet: nie traci się czasu na dojazdy, można się połączyć z ulubionej kanapy, zdajemy sobie jednak sprawę, że dla wielu naszych studentów i wykładowców to również wyzwanie, nie tylko w zakresie technologicznym, ale też w obszarze organizacyjnym i rodzinnym. Studiowanie i prowadzenie wykładów często odbywa się z dziećmi na kolanach, w obecności partnerów, którzy w tym samym czasie też pracują zdalnie.

Nowa rzeczywistość: znacznie więcej niż kształcenie

W marcowych planach naszych uczelni były też obrony prac dyplomowych. Na szczęście je także udało się przeprowadzić w formie zdalnej. Pierwsza odbyła się w WSB w Gdańsku – była dużym wydarzeniem nie tylko dla absolwenta, ale i dla komisji egzaminacyjnej. Dziś w całej Grupie TEB Akademia jest już ponad 280 absolwentów, któ-



rzy uzyskali dyplomy w ten sposób. Przed nami kolejne kroki: dokończenie wdrażania kształcenia zdalnego na studiach podyplomowych i weryfikacja możliwości przeprowadzenia obron doktorskich.

Nowa rzeczywistość sprawiła, że nie tylko uczymy online, ale także cała obsługa administracyjna uczelni została przeniesiona w tryb pracy zdalnej. Dziekanaty obsługują studentów telefonicznie, mailowo i za pośrednictwem systemu Experia, kontakt z biurami rekrutacji odbywa się poprzez system CRM, biura karier prowadzą szkolenia online, a biblioteki udostępniają swoje zbiory elektroniczne. Cały organizm, jakim jest uczelnia, przestawił się na nowy tryb funkcjonowania. Jednym z najważniejszych celów jest dla nas bycie blisko naszych studentów. Ważną rolę odgrywają tu media społecznościowe. Dydaktycy dzielą się tam swoimi wrażeniami po zajęciach, pokazują też, jak wyglądają ich domowe sale wykładowe. Studenci odpowiadają tym samym. Dziekani mówią do studentów nie tylko za pośrednictwem komunikatów, ale też w formie materiałów wideo, bo choć nie mijamy się w tej chwili na korytarzach uczelni, cały czas chcemy być ze sobą w kontakcie.

Ludzie, doświadczenie i siła grupy – do tego egzaminu byliśmy dobrze przygotowani

Dziś, kiedy kształcenie online już sprawnie działa, a na cały ten wyścig z czasem i technologią możemy spojrzeć nieco spokojniej, nasuwa się kilka refleksji. Po pierwsze, czy udałoby się przejść tak sprawnie, gdyby nie lata doświadczeń w prowadzeniu zajęć w takiej formule? Wiele uczelni z naszej grupy od lat miało w swojej ofercie studia online, a największym doświadczeniem w tym zakresie dysponuje Wyższa Szkoła Bankowa w Poznaniu, która od kilkunastu lat kształci w takiej formule na kierunku zarządzanie. Po drugie, czy udałoby się w tak szerokiej skali wdrożyć rozwiązania online, gdyby nie pomysły sprawdzone w jednym mieście, które można było szybko zaimplementować do innych uczelni? Przy pracy pod dużą presją czasu okazało się to nieocenioną wartością. Po trzecie, wydaje się, że w tej sytuacji kryzysowej po raz kolejny okazało się, jak ważni są ludzie. Czy udałoby się nam ten egzamin zaliczyć, bez wielkiego zaangażowania pracowników: wytężonej, wielogodzinnej pracy władz szkół, wykładowców, pracowników administracyjnych, pracowników działów IT? No i wreszcie, studenci. Czy bez ich konstruktywnej krytyki, ale i dużej wyrozumiałości, pozytywnych opinii zagrzewających do działania, oraz zaangażowania i bardzo wysokiej

frekwencja na zajęciach udałoby się nam odczuć, że to, co robimy, naprawdę ma sens?

Czas na pytania o przyszłość

Jeszcze ważniejsze są pytania dotyczące przyszłości. Po pierwsze, czy nowe metody kształcenia staną się „nową normalnością”, a może są tylko chwilowym kołem ratunkowym dla sektora szkolnictwa wyższego? Amerykańscy zwolennicy tej drugiej opcji nazywają obecne rozwiązania emergency remote teaching. Zwracają uwagę na brak planowania efektów kształcenia oraz brak wypracowania pełnego ekosystemu kształcenia: typowe zaplanowanie, przygotowanie i wdrożenie efektywnego kursu (przedmiotu) online to około sześć miesięcy pracy.

Po drugie, czy zmienią się podstawy prawne? Amerykański Department of Education już przyjął nowe przepisy. Ekspresowa i wymuszona sytuacją zmiana rozporządzenia MNISW – do końca września wzrost z 50% do 100% zajęć online – wcale nie przesądza, że docelowo uwarunkowania prawne usankcjonują pełny e-learning zamiast dotychczas dopuszczalnego kształcenia blended. Czy to są przepisy tymczasowe? Nikt nie zna na razie odpowiedzi na to pytanie.

Po trzecie, czy nauczyciele akademicki, którzy zostali pozbawieni możliwości wyboru: uczyć tradycyjnie czy online, opowiedzą się za nowymi technologiami wtedy, gdy nie będą już one „przymusowe”? A nawet jeśli wielu tak zrobi, jak zmieni się pożądany profil kompetencyjny wykładowcy?

Po czwarte, jakie będzie długofalowe nastawienie studentów do kształcenia online? Dzisiaj przyjmują dość zrytualizowane, a niektórzy nawet entuzjastycznie, możliwość takiego kształcenia. Ilu z nich w warunkach normalności uzna wyższość takiego sposobu nauki nad powrotem do kampusu z wszystkimi jego atrybutami, z życiem studentkim na czele?

I wreszcie, najważniejsze pytanie, które nie dotyczy jednak e-learningu, ale tego, w jakiej kondycji ekonomicznej będzie gospodarka polska i światowa po epidemii: co oznaczają zapowiedzi, że po koronawirusie świat nie będzie już taki sam?

Maciej Kolasiński, wiceprezes zarządu Centrum Rozwoju Szkół Wyższych TEB Akademia.

TEB Akademia jest założycielem największej w Polsce grupy uczelni niepublicznych, w której skład wchodzi Wyższe Szkoły Bankowe, Dolnośląska Szkoła Wyższa i Wyższa Szkoła Filologiczna.

Habilitacja fakultatywna?

Obowiązujący system awansów naukowych sprawia, że przeciętny polski profesor jest w wieku emerytalnym.

Postulat zniesienia obowiązku habilitowania pojawił się na krajowej scenie szkolnictwa wyższego na początku lat 90. XX wieku. W tamtych czasach wspierali go głównie adiunkci, którzy z różnych powodów habilitacji nie uzyskali. Zapewne to był jeden z ważnych powodów, które zadecydowały o tym, że jej wówczas nie zlikwidowano. Drugi był taki, że wciąż jeszcze bardzo silna była stara kadra profesorska, która nie wyobrażała sobie innej formy awansu naukowego. Gdzieś w podtekście pojawia się pewnie brak zaufania do kolegów po fachu. Nie cieszyła się nim też Centralna Komisja, ale zawsze był to dodatkowy element sita naukowego. Nie zaproponowano też wówczas sensownej alternatywy dla habilitacji.

Ponownie problem powrócił w czasach, gdy ministrem nauki była prof. Barbara Kudrycka. Kiedy odchodziła z MNiSW, powiedziała mi, że żałuje, że nie zlikwidowała habilitacji. Postulat taki pojawił się też w projektach reformy szkolnictwa wyższego w początkach kierowania resortem nauki przez dr. Jarosława Gowina.

Jednak ostatecznie habilitacja pozostała w systemie awansów naukowych nieco tylko osłabiona, bo można zostać profesorem uczelni bez habilitacji. Zapewnia to wyższą płacę, prestiż – pozycję w grupie profesorów, ale wciąż nie daje wszystkich przywilejów, które związane są z habilitacją: uczestnictwo w pewnych gremiach (np. RDN) i procedurach (promotorstwo). Teraz jednak za postulatem zniesienia habilitacji stanęli uczeni z dużym dorobkiem, już habilitowani, często profesorowie. Na dodatek dołączyli do nich starsi profesorowie o silnej międzynarodowej pozycji naukowej, którzy nie obawiają się konkurencji młodych naukowców bez habilitacji. Niewątpliwie sprzyja temu postulatowi większa autonomia uczelni wprowadzona Ustawą 2.0.

W marcu tego roku z inicjatywą zmian wystąpiła Rada Młodych Naukowców – organ, który powołała B. Kudrycka, a J. Gowin zachował w grupie ciał doradczych ministra nauki. Zorganizowała posiedzenie poświęcone habilitacji i zaprosiła na nie grono osób, których opinię w tej sprawie uznała za interesującą lub ważną. Sama natomiast przygotowała uchwałę dotyczącą fakultatywności habilitacji. Co ważne, podczas spotkania postulaty w tej sprawie przedstawiali ci członkowie Rady, którzy formalną samodzielność naukową już uzyskali. Nie można ich zatem posądzać o koniunkturalizm.

Jarosław Gowin, wówczas jeszcze minister nauki, zwrócił uwagę na to, że część rozwiązań wprowadzonych w Ustawie 2.0 w wyniku konsultacji i prac parlamentarnych nie jest zgodna z intencją ministerstwa. Dotyczy to także systemu awansów naukowych. Podkreślił, że środowisko akademickie jest przywiązane do dotychczasowych rozwiązań w tym obszarze. Natomiast on sam uważa, że obecny sys-

tem awansów nie sprzyja rozwojowi nauki m.in. dlatego, że oddala moment uzyskania samodzielności naukowej.

Dr Piotr Wojtulek, przewodniczący RMN, wyraził opinię, że kwestia habilitacji nie została dogłębnie przedyskutowana, a rozwiązania wprowadzone w tym zakresie przez Ustawę 2.0 nie są faktycznie realizowane. Zamiast być znoszonym, utrwała się wertykalny system awansu, oparty na formalnych stopniach, a nie na rzeczywistym dorobku badawczym. Potwierdziła to na przykładach dr hab. Katarzyna Jarzemska, chemiczka z UW, członek RMN. Pokazała, że wymóg habilitacji wciąż jest podtrzymywany w warunkach ogłoszanych konkursów na stanowiska profesorskie, m.in. na UAM, UMK i PG. Pojawia się też w uregulowaniach statutowych jako wymóg uzyskania funkcji w uczelni.

P. Wojtulek przedstawił wystąpienie nieobecnego dr. hab. Ignacego Zalewskiego z Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina. Pytał retorycznie: „Czy w naszych warunkach doktor z dużym dorobkiem wygra w konfrontacji z doktorem habilitowanym z małym dorobkiem?”. Stwierdził, że polska habilitacja nie jest kompatybilna z systemami zagranicznymi, a do tego jest u nas traktowana jako jedyny wyznacznik samodzielności naukowej. Jakby tego było mało, przyznawana jest na podstawie odpowiednio sprofilowanej części dorobku naukowego badacza, a nie całego dorobku po doktoracie. Przytoczył kilka informacji: średnia wieku uzyskania habilitacji – czyli formalnej samodzielności naukowej – to w Polsce 49 lat, a wiek realnego doktora habilitowanego – 57; średnia wieku profesora to już 65 lat (to faktycznie jest wiek emerytalny!). Na dodatek habilitacja daje dostęp do pewnych przywilejów, których nie ma profesor uczelni z doktoratem.

Szef RMN widzi trzy możliwe rozwiązania kwestii habilitacji: pozostawienie stanu obecnego, zniesienie habilitacji oraz fakultatywność habilitacji. Zdaniem Wojtulka, ustawa PSWN poszła w tym trzecim kierunku, ale faktycznie rozwiązania przez nią wprowadzone nie funkcjonują, co wykazała wcześniej K. Jarzemska. Jakie negatywne skutki ma obecna sytuacja? P. Wojtulek uważa, że ogranicza ona konkurencyjność w nauce i blokuje dopływ kadr spoza naszego systemu. Spłaszczenie systemu stopni zlikwidowałoby te dwie bariery rozwoju nauki w Polsce. Dr Wojtulek podał też przykład niemieckiego pogodzenia starego i nowego systemu stopni i stanowisk. W znanym mu uniwersytecie w Bremie lider grupy badawczej nie musi mieć habilitacji, a profesor nie musi być liderem zespołu naukowego.

Dr hab. Justyna Płotka-Wasyłka, prof. PG, która określiła się jako zwolenniczka pozostawienia habilitacji, postulowała, aby ocena dorobku habilitacyjnego miała holistyczny charakter, a nie ograniczała się do krótkiego okresu i wąskiego zakresu działań naukowca. Kryteria awansu powinny uwzględniać doświadczenia w kierowaniu projektami badawczymi. Obecne kolokwium natomiast powinny

Źródło: MNiSW



Na fot. od lewej: Piotr Wojtulek, Jarosław Gowin, Anna Budzanowska

zastąpić otwarty wykład habilitacyjny, który umożliwiłaby dyskusję z tezami kandydata do awansu.

Dr hab. Sebastian Granica z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego próbował określić warunki i wskazać korzyści z wprowadzenia faktycznej fakultatywności habilitacji. Wśród warunków samodzielności naukowej wymienił m.in. zdolność do tworzenia projektów naukowych i kierowania ich realizacją, a także umiejętność tworzenia zespołu naukowego i kierowania nim. Wskazał na rosnącą rolę indywidualnej oceny pracownika. Za główną korzyść uznał spłaszczenie systemu awansów, co może spowodować korzystny wzrost konkurencyjności w nauce. Równocześnie owa fakultatywna habilitacja będzie pełniła funkcje gwarancyjne, zapewniając jej posiadaczowi, niezależnie od pełnionych w uczelni funkcji, np. możliwość promowania czy udziału w ocenie dorobku naukowego innych.

Prof. Jan Szmidt, przewodniczący KRASP i rektor Politechniki Warszawskiej, wystąpił jako pierwszy z zaproszonych ekspertów. Podkreślił znaczenie stabilizacji zawodowej, do czego potrzebne są dwa stopnie naukowe. Jego zdaniem doktorat powinien być analizą przypadku, a habilitacja czy jakkolwiek inny drugi stopień – syntezą wielu przypadków. Uznał też, że nie trzeba ujednoclić systemu na różnych typach uczelni.

– Dajmy sobie spokój z habilitacją – powiedział wprost prof. Andrzej Jajszczyk z AGH, członek Rady Naukowej ERC i przewodniczący Oddziału Krakowskiego PAN. – Ona tylko komplikuje system, a nie przyczynia się do utrzymania poziomu badań. Obecnie często habilitacja zamiast realizować wytyczne systemowe, jest kpiną z systemu. Dlatego trzeba ją zastąpić rzetelnymi konkursami na stanowiska uniwersyteckie – konkludował stanowczo A. Jajszczyk.

Inne stanowisko zaprezentował prof. Stanisław Kistryn, prorektor UJ ds. nauki i szef Uniwersyteckiej Komisji Nauki. Uznał, że habilitacja jest częścią systemu, a nauka ma charakter hierarchiczny. To prawda, że habilitacja bywa trywializowana, ale zamiast ją likwidować, należy dążyć do tego, żeby stała się znakiem jakości naukowej. Wyraził też opinię, że należy ją uzyskiwać przed radą dyscypliny naukowej w innym niż macierzysty uniwersytecie.

– Habilitacji nie ma nigdzie na świecie, a już zupełnie egzotyczny jest tytuł profesora nadawany centralnie – powiedział prof. Zbigniew Błocki, matematyk z UJ, dyrektor Narodowego Centrum Nauki. Zauważył, że w programach NCN ani habilitacja, ani tytuł profesora nie grają roli. W konkursach OPUS 20% grantów trafia do badaczy bez habilitacji. Zgodził się jednak z opinią, że obecnie trudno będzie, z powodów społecznych, zlikwidować oba wspomniane przez niego elementy awansu naukowego. Można i należy jednak sprawić, by za habilitacją i profesurą nie szły żadne uprawnienia i przywileje (Ustawa 2.0 takie pozostawiła, a profesorom nawet dodała nowe), co pomoże w ich likwidacji w przyszłości. – To muszą być puste tytuły – kończył szef NCN.

Inaczej widzi sprawę prof. Grzegorz Węgrzyn, biolog z Uniwersytetu Gdańskiego, przewodniczący Rady Doskonałości Naukowej. – Habilitacja jest elementem systemu obrony środowiska, odpowiednikiem amerykańskiej tenure track. Ponieważ w polskim systemie prawnym rozstanie się z pracownikiem naukowym jest niemal niemożliwe, to habilitacja jest sposobem zapewnienia jakości. Jeśli ją usuniemy, musimy wprowadzić jakiś substytut – mówił G. Węgrzyn.

Prof. Małgorzata Kossowska, psycholog z UJ, przewodnicząca Rady NCN, powiedziała mocno: – Jestem przeciwko habilitacji, bo ona nie działa, jest przestarzałym elementem systemu, którego należy się pozbyć. Powinna być zlikwidowana. Szefowa Rady NCN postulowała, aby kryteria awansu były jednakowe dla całej nauki, w tym dla humanistyki, oraz że trzeba zrezygnować ze stosowania kryteriów ilościowych w ocenie dorobku naukowego badaczy.

Prof. Marcin Pałys, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, rozpoczął pytaniem: – Można sobie wyobrazić świat bez habilitacji, ale jak do niego dotrzeć? Skoro już jest, to musi być skutecznym kryterium jakości. Zatem powinna zawierać element publicznego przedstawienia tezy i poddania ich dyskusji naukowej. Żeby można było myśleć o zniesieniu habilitacji, trzeba zrównać prawa badaczy z habilitacją i bez niej. Najtrudniejszą kwestią jest, zdaniem rektora UW, promotorstwo. M. Pałys zauważył też, że obecnie jest spora grupa doktorów habilitowanych, którzy w hierarchii uniwersyteckiej są wciąż adiunktami, a równocześnie istnieje deficyt stanowisk profesorskich.

Prof. Izabela Świącicka, biolog, prorektor ds. nauki Uniwersytetu w Białymstoku, wyraziła opinię, że habilitacja jest obecnie potrzebna. Pozostaje pytanie o kryteria i formę jej uzyskiwania.

Aleksy Borówka, przewodniczący Krajowej Reprezentacji Doktorantów, wyraził opinię, że system szkół doktorskich – kształcenia doktorantów w powiązaniu z badaniami naukowymi – jest nakierowany na samodzielność naukową, która nie jest przyporządkowana do stopnia naukowego. W tej sytuacji habilitacja nie wydaje się konieczna.

Dr hab. Piotr Stec, prof. Uniwersytetu Opolskiego, prawnik, zauważył, że nasz system jest obecnie hybrydą między Niemcami (duża autonomia) i Francją (silna kontrola). Pracownik naukowy jest urzędnikiem, który dzięki drabinie stopni i tytułów ma klarowną, formalną ścieżkę, instytucjonalną gwarancję awansu, nie do końca powiązaną z osiągnięciami badawczymi. – Gdy uczelnia jest autonomiczna, zewnętrzne ciała, jak RDN, nie są potrzebne – mówił. Zwrócił uwagę na „dyktaturę profesorów” w uczelniach oraz blokowanie stanowisk przez emerytów.

Na koniec zabrali głos przedstawiciele ministerstwa. Zarówno wicepremier Jarosław Gowin, jak i podsekretarz stanu w MNiSW Anna Budzanowska zadeklarowali się jako zwolennicy likwidacji habilitacji. Min. Gowin stwierdził, że propozycja Rady Młodych Naukowców, aby habilitacja była fakultatywna i aby nie wiązały się z nią żadne przywileje, to próba rozwiązania problemu, który sami sobie stworzyli. Mamy w tej chwili zbyt późne usamodzielnienie naukowe. Młodzi badacze spoza kraju wskazali habilitację jako główną barierę ich powrotu do kraju. – Jestem przywiązany do zachowania specyfiki narodowej wtedy, gdy jest to atutem lub ubogaceniem, a nie obciążeniem – mówił Gowin.

Rezultatem przedstawionego posiedzenia była uchwała RMN z połowy marca postulująca rzeczywistą fakultatywność habilitacji. Oprócz ścieżki awansu z habilitacją i profesurą belwederską – to taki ukłon RMN w stronę tych, co nie wyobrażają sobie lepszej nauki niż mamy obecnie – powinna pojawić się druga, która ma „umożliwić także osobom ze stopniem doktora obejmowanie stanowisk i funkcji w uczelni oraz nabycie części praw przysługujących osobom ze stopniem doktora habilitowanego”. Korzyścią z takiego rozwiązania ma być większa elastyczność polityki kadrowej w uczelniach, w tym możliwość zatrudniania „naukowców, którzy realizowali swą karierę za granicą”. Kryterium polityki zatrudniania miałyby być dorobek naukowy, a nie formalne stopnie i tytuły.

Dalej w uchwale czytamy, że ocena awansowa powinna uwzględniać całość dorobku, bez wyodrębniania dorobku „po doktoracie” oraz wskazywania „osiągnięcia habilitacyjnego”. „To całkowita działalność naukowa kształtuje naukowca i nie należy pomijać lub wykluczać części dorobku wyłącznie ze względu na datę publikacji. Należy także podkreślić, że dorobek naukowy nie ulega przedawnieniu” – czytamy w dokumencie.

Piotr Kieraciński

Znacznie bardziej stanowczą opinię na temat awansów naukowych w Polsce przedstawiła Natalia Letki i Marcin Nowotny w FA 6/2019. W bieżącym numerze na str. 42 pokazują oni, wraz z Barbarą Klajnert-Maculewicz, czym zastąpić habilitację i profesurę.

Homo deus poznaje zarazę

Anna Brzezińska

„Ludzkość budzi się u zarania trzeciego milenium, prostuje kości i przeciera oczy (...) Większość z nas rzadko o tym myśli, ale w ciągu paru ostatnich dziesięcioleci udało nam się poskromić głód, zarazę i wojnę” – pisał w 2015 roku Yuval Noah Harari. I nagle okazuje się, że plan homo deus nie działa. Świat dosłownie stanął w obliczu pandemii, a ludzkość nie za dobrze wie, co robić – i nic się tym razem nie udaje (Y.N. Harari, *Homo deus. Krótka historia jutra*, Warszawa 2018). Poczucie zagubienia wywołuje nie tyle fakt pojawienia się nieznanej choroby, ostatecznie w dziejach świata pojawiają się one dość regularnie, ale nieoswojone dotąd przez współczesne pokolenia doświadczenie niemocy finansów i technologii w starciu z niepozornym wirusem. Z czołowych miejsc na portalach internetowych zniknęli celebryci i gwiazdy sportu, za to z nieznośną regularnością pojawiają się raporty o codziennie nowej liczbie zarażonych i zmarłych. Nie, nie z trzeciego świata. Najbardziej bezradny okazuje się ten przyzwyczajony nazywać się pierwszym. I wreszcie przemysowe odosobnienie, kwarantanna. Po kilku tygodniach ściany mieszkań dosłownie parzą, a człowiek pozostawiony sam na sam w natłoku informacji płynących ze smartfona przez całą dobę, zaczyna odczuwać egzystencjalną twogę. Oczywiście można wyłączyć rozmaite subskrypcje i transfer danych. Ale wówczas atakuje FOMO (fear of missing out), lęk przed wylogowaniem, zupełnie nowy rodzaj strachu wynaleziony w XXI wieku. Kompulsywne gromadzenie danych daje złudzenie kontrolowania rzeczywistości. Pozwala tworzyć narracje, czyniące ją możliwą do zniesienia. Znaleźć przyczynę (winnego) istniejącego stanu rzeczy. Co z reguły poprawia samopoczucie jednostkom i zbiorowościom. „Koronawirus, czyli czwarty jeździec Apokalipsy” – nie mają złudzeń wydawcy portalu Prawy.pl (P. Błaszowski, *Koronawirus, czyli czwarty jeździec Apokalipsy*, <https://prawy.pl/106974-koronawirus-czyli-czwarty-jezdziec-apokalipsy/>, dostęp: 8.04.2020).



Historia zna rozmaite strategie osławiania timor mortis w czasach epidemii. W XIV w. czarna śmierć wywołała gwałtowny wzrost popularności flagellantów, czyli biczowników, szczególnie w Niemczech i we Francji, najmocniej dotkniętych przez zarazę. Podobnie jak dziś stosowano maseczki i płyny odkażające, rzecz jasna w stylu właściwym epoce. Maski o charakterystycznym kształcie ptasiego dzioba, wypełniano w zagłębieniu tkaniną nasączoną wonnościami, mającymi chronić przed zatrutym (morowym) powietrzem. Do dezynfekcji powszechnie stosowano ocet lub jego roztwór wodny. Również samoizolacja w obawie przed zakażeniem stanowiła popularny środek zapobiegawczy. W rezultacie Giovanni Boccaccio stworzył *Decameron* (ok. 1350-1353). Rozumiem Boccaccia! Oglądam na Netflixie serial o chasydzkiej dziewczynie, która uciekła z zamkniętej społeczności w wir życia kulturalnego w Berlinie i dociera do mnie, że ta rzeczywistość miejskiego zgiewu głosów z całego świata, urokliwych kafejek i spotkań, potrzebnych do życia jak oddychanie, to coś, co wirus ukradł nam tej wiosny.

Potrydencki *Rituale Romanum* z 1614 r. przewidywał specjalny egzorcyzm *Benedictio deprecatoria contra mures, locustas, bruchos, vermes et alia animalia nociva*, będący śladem średniowiecznych procesów zwierząt: „Exorcizo vos pestiferos mures (vel locu-

stas, seu bruchos, aut vermes, sive alia animalia), per Deum Patrem + omnipotentem, per Jesum Christum + Filium ejus unicum, per Spiritum + sanctum ab utroque procedentem...” („Wyklinam was niosące zarazę myszy, szarańczę, gąsienice, robactwo i inne plagi, przez Boga Ojca wszechmogącego, przez Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedyne, przez Ducha świętego, który od obu pochodzi, abyście ustąpiły z pastwisk i pól oraz przeszły do tych miejsc, gdzie nikomu szkodzić już nie będziecie: przez Boga wszechmogącego, wszystkie zastępy niebieskie i święty Kościół Boży bądźcie przeklęte (...) i oddalone (...) z wyjątkiem tego, co służy zdrowiu i pożytkowi ludzkiemu”. Zob. szerzej: P. Towarek, *Formuły egzorcystyczne w potrydenckiej liturgii błogosławieństw*, „Seminare” 2010, t. 27). Upday Google wyświetla link do kolejnego już w tym tygodniu artykułu uspokajającego, że psy nie przenoszą COVID-19, choć sprawa z kotami jest nieco bardziej złożona.

Poszukując gorączkowo przyczyn masowych epidemii, ludzkość zaskakująco zgodnie obwiniała za ich roznoszenie nie tylko zwierzęta, ale też przyjezdnych czy sąsiadów. Zło przychodziło z zewnątrz, co oddaje popularne nazewnictwo kiły, wyniszczającej populację Europy od XV wieku. We Francji była *chorobą neapolitańską*, we Włoszech, w Anglii, w Niemczech, a także w Polsce – chorobą francuską. Rosjanie mówili o chorobie polskiej, zaś Turcy – o chorobie chrześcijan (A. Gawlińska-Sroka, E. Dzieciotłowska-Baran, *Kiła dawniej i dziś*, „Roczniki Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie”, 2013, nr 59, z. 2).

Obecnym novum w tej mierze jest praktyka tropienia źródła zagrożenia także w technologii. Na Wyspach Brytyjskich trwa akcja niszczenia nadajników sieci 5G, na tyle powszechna, że oficjalnie zareagował rząd. Mobile UK, zrzeszenie przedsiębiorców telefonii komórkowej w Zjednoczonym Królestwie, opublikowało w związku z tymi wydarzeniami list otwarty, w którym zapewnia o „braku naukowych dowodów i jakichkolwiek powiązań między 5G a koronawirusem” (J. Waterson, A. Hern, *At least 20 UK phone masts vandalised over false 5G coronavirus claims*, „The Guardian”, 6.04.2020, [theguardian.com/technology/2020/apr/06/at-least-20-uk-phone-masts-vandalised-over-false-5g-coronavirus-claims](https://www.theguardian.com/technology/2020/apr/06/at-least-20-uk-phone-masts-vandalised-over-false-5g-coronavirus-claims) – dostęp: 8.04.2020).

W 1532 r. lekarz i były duchowny François Rabelais pisał: „jeśli kiedykolwiek spadnie na świat zaraza, głód albo wojna, trzęsienie ziemi, kataklizmy, pożary lub inne nieszczęścia, nie przypisujcie ich ani nie odnoście do złośliwej koniunktury planet, do nadużyć kurii rzymskiej, do tyranii królów i książąt świeckich, do szalbierstwa bigotów, heretyków, fałszywych proroków; do niegodziwości lichwiarzy, fałszerzy monet, obrzynaczy dukatów; ani do nieuctwa, bezwstydu, lekkomyślności lekarzy, chirurgów, aptekarzy” (F. Rabelais, *Gargantua i Pantagruel*, Kraków 2010, f. 3028, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gargantua-i-pantagruel.html#f3028>, dostęp: 8.04.2020). Wielu intelektualistów zastanawia się w ostatnich dniach, czy w obliczu globalnego zagrożenia nie nastąpi wyczekiwany odwrót społeczeństwa cyfrowego od myślenia magicznego, pseudonauki ku autorytetowi ekspertów.

Ale tu znów historia nie stwarza przesadnych nadziei, „bo zbyt już doprawdy niemądrzy są ci, którzy sądzą, że szczęście człowieka

polega na jakimś prawdziwym stanie rzeczy poza nim: ono polega na jego własnym co do niego złudzeniu (...). Jeżeli zaś nawet można coś wiedzieć, to doprawdy często do przyjemnego życia to nie pomaga (...). W rzeczywistości trzeba nieraz z wielkim trudem dochodzić do różnych rzeczy, choćby takich, co same dla siebie nie mają znaczenia, jak na przykład gramatyka. Ale złudzenie zdobywa się w jednej chwili, a przecież ono tak samo, a nawet jeszcze prędzej prowadzi do szczęścia" (Erazm z Rotterdamu, *Pochwała głupoty*, Warszawa 2001). Czy erazmiańska diagnoza natury ludzkiej nie oddaje potrzeb psychiki konsumenta danych z XXI wieku?

Irytujące przecucie, że ludzkość jednak nie jest wszechmocna, trzeba przecież jakoś zagłuszyć, nim doprowadzi do depresji. Choćby teorią o sztucznym pochodzeniu wirusa, wszak natura nie

byłaby w stanie stworzyć tak wyrafinowanego zagrożenia. Bo przecież ostatecznie chodzi o to, by się wygodnie urządzić na tym najlepszym ze światów. Pierwsze wiosenne ptaki wabią słodkim trelem na spacer. Potentatowi budowlanemu wydaje się, że jest omnipotentny, bo zawczasu zgromadził zapas maseczek z podobno dobrym filtrem. W lesie słyhać niespieszne piłowanie gałęzi, a bergmannowska śmierć przyjemnie się uśmiecha. Antropocen przechodzi do historii.

Dr Anna Brzezińska jest historyczką historiografii. Jej zainteresowania badawcze obejmują: historiografię polską i powszechną XX wieku, historię intelektualną, mediewistykę w interpretacjach francuskiej szkoły Annales, antropologię historyczną. Jest adiunktem w Katedrze Historii Historiografii i Nauk Pomocniczych Historii Uniwersytetu Łódzkiego.

Uratuje nas normalność?

Arkadiusz Jabłoński

W czasach ogłoszonej przez WHO pandemii z socjologicznego punktu widzenia interesujące są kwestie czynności ludzkich. Chodzi o kierowane wartościami aktywności ludzkie tworzące ład społeczno-kulturowy. Wyłaniają się z tego trzy zasadnicze kwestie: Jakie wartości teraz dominują? Jakie aktywności tworzą dzisiejszy ład? Jaki ład społeczno-kulturowy wyłania się z tych czynności? Odpowiedzi na te pytania pozwolą ukazać zarys ładu, który kształtuje polską normalność w warunkach pandemii.

Najważniejsze wartości, którymi Polacy kierują się w swoim życiu codziennym, są niezmiennie od wielu lat. Ostatnie badania CBOS (2019 rok) wskazują wielką trójkę: szczęście rodzinne (80%), zdrowie (55%) i spokój (48%). Taka triada aksjologiczna stanowi o koniecznych warunkach poczucia bezpieczeństwa Polaków. Poczucie to łączone jest z wysokim znaczeniem nadawanym takim wartościom jak wypróbowane grono przyjaciół (45%), szacunek innych ludzi (42%) i uczciwe życie (42%). Z punktu widzenia preferowanych wartości łatwiej zrozumieć, dlaczego Polacy ze spokojem przyjęli ograniczenia w pracy zawodowej (praca zawodowa jest ważną wartością dla 36% respondentów), a zwłaszcza w kulcie religijnym (na wiarę religijną jako wartość wskazało 28% respondentów). Potrafią też zrezygnować z aktywności społecznej i obywatelskiej, stosunkowo nisko ceniąc z perspektywy codziennej egzystencji takie wartości, jak wolność głosu własnych poglądów (18%), dobrobyt i bogactwo (9%), udział w demokratycznym życiu społeczno-politycznym (8%), życie pełne przygód i wrażeń (5%) oraz sukces i sława (3%).

Kierowanie się powyższymi wartościami nie zawsze przekłada się bezpośrednio na preferowane przez Polaków aktywności. Zgodnie z badaniami CBOS (2018 rok) w opinii 61% rodaków ludzie najgorzej poświęcają się życiu rodzinnemu i pracy, a także w 31% zdobywaniu pieniędzy, ale już tylko w 16% aktywnej ochronie własnego zdrowia. Choć praca zawodowa nie jest dla większości Polaków najważniejszą wartością, to fakt, że jest to druga z preferowanych aktywności związana z zarabianiem pieniędzy, może powodować poważne obawy przed kryzysem ekonomicznym. Mogą być one nawet większe niż obawa przed utratą zdrowia, gdyż w życiu codziennym Polacy cenią zdrowie, ale nie przywiązują aż tak dużej wagi do zachowań prozdrowotnych. Poważnym wyzwaniem dla zachowania normal-

nego porządku społecznego jest zatem zapewnienie bezpieczeństwa ekonomicznego, które nie osłabiałoby jeszcze bardziej potrzeby dbania o siebie, zwłaszcza gdy kryzys gospodarczy dotyka ludzi już bezpośrednio, a zarażenia i zgony to dla większości przekaz medialny.

Na polską normalność składa się także styl spędzania wolnego czasu. Według danych GUS z 2013 roku Polacy najczęściej spędzali go zaspokajając podstawowe potrzeby snu, jedzenia i picia, prac domowych i korzystania ze środków masowego przekazu. Nieco niżej plasowało się życie towarzyskie i rozrywki, a na końcu uczestnictwo w sporcie i rekreacji oraz nauka. Dodatkowo według danych CBOS Polacy preferowali spędzanie wolnego czasu w gronie najbliższej rodziny (39%) lub tylko z najbliższym członkiem rodziny (23%), ewentualnie w gronie najbliższych przyjaciół (13%), ale już wśród wielu znajomych chce spędzać czas tylko 3%, a w szerokim gronie osób tylko 1%. Dlatego dla większości nie jest zbyt dużym wyrzeczeniem ograniczanie kontaktu z osobami spoza własnego domostwa. Podobnie poświęceniem nie jest rezygnacja z wyjścia do centrów handlowych, restauracji, kin czy innych miejsc konsumpcji i rozrywki. Bez większych problemów przyjęto też zamianę bezpośredniego uczestnictwa w obrzędach religijnych na różne formy uczestnictwa za pośrednictwem mediów. Badania CBOS z 2018 roku pokazują bowiem, że tylko 9% Polaków uznało, że życie religijne jest rodzajem działalności, która stanowi obecnie treść ich życia codziennego. Z danych statystyk kościelnych wynika też, że regularnie we mszy niedzielnej w wielu diecezjach uczestniczy od 25 do 40% wiernych.

Preferowane wartości i aktywności składają się w dużym skrócie na ład polskiej normalności, który na razie ochronił nas przed szokiem radykalnej zmiany stylu życia i traumą społeczną. Pozwolił też uniknąć paniki moralnej, która mogłaby wywołać nieproporcjonalny do zjawiska zagrożenia niepokój, niestabilność społeczną, wrogość wobec innych, poszukiwanie kosztów ofiarnych. W dzisiejszym globalizowanym postmodernistycznym świecie ład taki nie jest nazbyt atrakcyjny, co czyni go kruchym i narażonym na destrukcyjne czynności podejmowane przez coraz liczniejszych ludzi o osobowościach społecznych określanych przez Floriana Znanieckiego podnormalnymi. Biografie takich ludzi uniemożliwiają im wypełnianie ról społecznych zgodnie z obowiązującymi wzorcami normalno-



ści. Są to według autora *Chłopa polskiego*: pracownicy bez zawodowego wyrobienia, wymaganego przez stanowisko lub z nieprzeżywaną chęcią zabawy; ludzie o horyzoncie umysłowym pisarzyków na stanowiskach szefów instytucji; typowi politycy lub karierowicze jako profesorowie uniwersytetów lub wyżsi urzędnicy administracyjni; typowi uczeni lub wyżsi urzędnicy na stanowiskach politycznych lub przemysłowych; dorobkiewiczowie jako prezesi instytucji kultury duchowej; beznadziejni proletariusze odgrywający rolę bojowców; typowe pracownice domowe jako działaczki polityczne; damy zabawy towarzyskiej jako żony i matki itd. Nie potrafiąc wypełniać należycie swoich ról, tym bardziej niszczą ład względnej normalności w czasach szczególnych.

Ludzie o osobowościach podnormalnych zajmujący wysokie pozycje społeczne mogą być rozsądnymi ład, który jest osiągnięty

postępem na ścieżce tłumienia i przekształcania prymitywnego, zwierzęcego charakteru ludzkiej natury w kulturowo określone człowieczeństwo. Ideale panowania nad przyrodą, nacisk na bogactwo indywidualne, procedury i ład demokratyczny, przewyższanie cierpienia czy trwanie ideałów religijnych z trudem chroni się w czasach zarazy. Zdeprawowanie porządku cywilizacyjnego czynnościami ludzi podnormalnych może okazać się zagrożeniem porównywalnym z bolszewicką walką ze starym światem.

Dr hab. Arkadiusz Jabłoński, kierownik Katedry Teorii Społecznych i Socjologii, Rodziny, Instytut Nauk Socjologicznych KUL. Zajmuje się teoretycznymi podstawami społeczeństwa opartego na wiedzy, analizą dyskursu publicznego i komunikacji społecznej, etycznymi i organizacyjnymi regułami funkcjonowania instytucji społecznych, problematyką zmian społecznych i cywilizacyjnych.

Nie tylko Dekameron

Aleksander Wójtowicz

W czasie pandemii czytamy literaturę inaczej. Odkładamy na bok codzienne przyzwyczajenia lekturowe i sięgamy po książki, w których spodziewamy się znaleźć opis doświadczeń pokrewnych z tymi, jakie stały się dziś udziałem ludzi na całym globie. W przemysłeniach pisarzy z minionych epok i stworzonych przez nich fabułek dopatrujemy się figur dzisiejszej sytuacji, uświadamiając sobie (niekiedy z pewnym zaskoczeniem), jak niewiele nas od nich dzieli i jak łatwe do sforsowania okazały się bariery, jakie – przynajmniej w teorii – miały bronić nas przed zagrożeniami.

„Stan wyjątkowy” rozciąga się zatem na nasz stosunek do słowa pisanego. Za jego sprawą w sposób doraźny powstaje na naszych oczach swoisty kanon „literatury epidemicznej”, tworzonej nie tylko pospiesznie, ale także ze sporą dozą nadziei na to, że ma jedynie charakter tymczasowy i ulegnie dezaktualizacji, kiedy bieżące dokuczliwości staną się tylko nieprzyjemnym wspomnieniem. Zanim (i oby jak najszybciej!) ten wyczekiwany przez wszystkich moment nastąpi, a wraz z nim powrócą obowiązujące wcześniej hierarchie literackie, warto jednak przyjrzeć się tekstom, które za sprawą bieżących wydarzeń znalazły się w centrum naszej uwagi. Tym bardziej, że w dziełach z minionych epok możemy dostrzec wiele zaskakująco aktualnych obserwacji na temat ludzkich zachowań w obliczu niewidzialnego i śmiertelniegroźnego zagrożenia.

Trochę klasyki

Uważny czytelnik *Iliady* zapewne zwróci uwagę, że już w pierwszych wersach eposu pojawia się informacja o chorobie, którą na oblegające Troję oddziały sprowadził Apollo w odwecie za występki Agamemnona. Zaraza pojawia się zatem na przecięciu świata bogów i ludzi, stając się narzędziem, za pomocą którego pierwsi wymierzają karę drugim (warto przy okazji odnotować, że wedle badaczy antyku to właśnie Homer wprowadził do języka pojęcie epidemia). Ustanowiona w tym tekście zależność między występkiem a plagą okaże się nadzwyczaj nośna i będzie regularnie powracać w kolejnych stuleciach, podnoszona nie tylko przez co bardziej zapalczystych kaznodziejów, ale również pisarzy, pytających o sens powszechnego cierpienia.

Myśl taka pojawia się na przykład w *Dekameronie*. „W 1348 roku w sławnym mieście Florencji, klejnot miast włoskich stanowiącym,

wybuchła zaraza morowa, sprowadzona pod wpływem ciał niebieskich, albo też słusznie przez Boga zesłana dla ukarania grzechów naszych”, pisał Giovanni Boccaccio w otwierającym utwór prologu. Tekst opowiadał o losach dziesięciu szlachetnie urodzonych osób, które uciekły przez „czarną śmierć” na prowincję i dla zabicia czasu wymyśliły grę polegającą na tym, że przez kolejne dziesięć dni każda z nich musiała opowiedzieć historię na ustalony wcześniej temat. W ten sposób powstało sto nowel, których zabawna i frywolna atmosfera miała odwracać uwagę od dramatycznych wydarzeń, jakie rozgrywały się w pobliskim mieście. Jednak i one przeniknęły do utworu, ponieważ we wspomnianym prologu przedstawione zostały różne reakcje mieszkańców Florencji na zagrożenie: część z nich zdecydowała się na dobrowolne odcięcie od świata, inni „całkiem przeciwnie postępowali, twierdząc, że najlepszym lekarstwem na zarazę jest nie myśleć o niej, pić tego i żyć wesoło, śpiewać i żartować, wszystkie swoje pragnienia zaspokajając i śmiać się z tego, co się wokół dzieje”.

Więcej na temat tego, jak w minionych stuleciach radzono sobie z epidemią, możemy się dowiedzieć z *Dziennika roku zarazy* Daniela Defoe, który opowiada o pladze, jaka dotknęła Londyn w 1655 roku. Tekst daje dzisiejszemu czytelnikowi dość dobre wyobrażenie o tym, w jaki sposób ówczesne władze walczyły z zagrożeniem. Zawiera między innymi skrupulatnie zestawiony wyciąg z obowiązujących wówczas przepisów dotyczących „zapowietrzonych” miejsc, a także zasad prowadzenia i nadzorowania kwarantanny. Pisarz relacjonuje, jakiej zmianie uległy codzienne zwyczaje mieszkańców, a także jak rozżyły się, eskalowały i wyładowywały lokalne napięcia. Przede wszystkim zaś przedstawia kalejdoskop sytuacji, które składały się na codzienne życie w mieście ogarniętym zarazą, w obliczu której na wysokości zadania stanęli nie tylko londyńczycy, lecz również – co dla pisarza było chyba nieco zaskakujące – reprezentanci władzy: „ludność dowiodła, że potrafi godnie znieść swoją dolę, nawet Dwór tak wesoło i zamiłowany w zbytku zmienił oblicze w słuszny poszanowaniu powszechnego niebezpieczeństwa”. Teksty Boccaccia i Defoe’a zawierają sporo podobnych obserwacji, które mogą skłaniać do refleksji na temat tego, w jak niewielkim stopniu zmieniły się mechanizmy ludzkich zachowań w obliczu zagrożenia.



Epidemia i metafora

W późniejszych stuleciach epidemia coraz częściej stawała się metaforą. Można wręcz odnieść wrażenie, że pisarzy mniej interesowało relacjonowanie plag rzeczywistych, bardziej zaś kusilo ich przekuwanie indywidualnych przeżyć na fabuły o wymowie ogólnej. Kierowały one uwagę czytelnika poza horyzont spraw aktualnych, jak miało to miejsce na przykład w jednym z najbardziej znanych polskich tekstów o tej tematyce – *Ojcu zadżumionych* (1838) Juliusza Słowackiego. Poemat został poprzedzony wyjaśnieniami autora, który opisał własne doświadczenia związane z przymusową kwarantanną, jaką odbywał w trakcie podróży do Palestyny. Sprawy te okazywały się mało istotne, bo utwór ciążył w stronę wymowy uniwersalnej i skłaniał do refleksji nad sensem indywidualnego cierpienia. Jeszcze inną rolę zaraza pełniła w pierwszoplanowym dziele polskiego romantyzmu – *Konradzie Wallenrodzie* (1828) Adama Mickiewicza. Poeta zamieścił tam balladę *Alpuhara*, traktującą o fortelu arabskiego króla Almanzora, który po klęsce militarnej oddał się w ręce zwycięzców jedynie po to, by zarazić ich dżumą (potraktowaną tutaj jako swego rodzaju broń biologiczna).

Mniej więcej w tym samym czasie Mary Shelley, znana dziś przede wszystkim jako autorka *Frankensteina*, opublikowała powieść *Ostatni człowiek* (1826). Fabuła osadzona została pod koniec XXI wieku, kiedy ludzkość dziesiątkuje tajemnicza epidemia, która prowadzi do upadku cywilizacji europejskiej. Podobne obrazy wraz z biegiem czasu poczęły pojawiać się coraz częściej, co nie wynikało z tego, że pisarze rozmawiali się w wymyślaniu dręczących ludzkość plag, lecz z faktu, że coraz szybszy postęp rodził nie tylko wielkie nadzieje, ale i dorównujące im obawy. Wśród możliwych scenariuszy rozwoju pojawiały się zatem nie tylko te z gruntu utopijne, ale i zupełnie odmienne, w których ludzkość padała ofiarą różnych kataklizmów, spowodowanych przez czynniki od niej niezależne.

Na początku minionego stulecia wyobraźnię pisarzy podsycał intensywny rozwój mikrobiologii, która coraz skuteczniej radziła sobie z dręczącymi ludzkość chorobami. Prowadzone w laboratoriach badania przykuwały uwagę ówczesnych czytelników, o czym najdobitniej bodaj świadczy zasłużona popularność książki Łowcy mikrobów (1926), której autor – Paul de Kruif – przedstawił działalność postaci z „heroicznej epoki medycyny”, takich jak Ludwik Pasteur, Robert Koch czy David Bruce. Za sprawą ich badań na epidemię zaczęto patrzeć zupełnie inaczej, lecz choć przestawała być postrzegana jako kara boska, to bynajmniej nie zniknęła z kart literatury.

Coraz częściej stawała się natomiast metaforą. Albert Camus przedstawił w *Dżumie* (1947) zmagania z tytułową chorobą w konwencji opowieści parabolicznej. Czas i miejsca akcji potraktowane zostały pretekstowo, pisarza nie interesowało realistyczne odtwarzanie okoliczności, w jakich rozgrywała się fabuła, chodziło natomiast o pokazanie reakcji człowieka w obliczu niespodziewanego zagrożenia. Trwająca w mieście epidemia wytrącała ludzi z dotychczasowych ram życia, a jednocześnie zmuszała do wyrazistego opowiedzenia się względem niebezpieczeństwa, wywabiając z nich nie tylko najlepsze, ale i najgorsze cechy; solidarność spotykała się z egoizmem, bezgranicznie poświęcenie – z brakiem troski o los innych. Nad utworem unosiła się atmosfera lat wojny i totalitaryzmu, co wyraźnie sugerowało zaczerpnięte z *Dziennika roku zarazy* motto: „Jest rzeczą równie rozsądną ukazać jakiś rodzaj uwięzienia poprzez inny, jak ukazać coś, co istnieje rzeczywiście, przez coś innego, co nie istnieje”.

Pandemia i katastrofa

„Nieistniejąca” zaraza stawała się kluczem do opisanego rzeczywistych postaw. W tym kontekście frapujący wydaje się fakt, że literatura pierwszej połowy minionego stulecia w niewielkim jedynie

stopniu przechowała pamięć o największej ówczesnej pandemii z lat 1918-1920. Hiszpańska grypa pojawia się w niewielu tekstach literackich, co może skłaniać do rozważań na temat tego, jakie katastrofy przedostawały się na karty ówczesnych tekstów najszybciej, dla których zaś zarezerwowane było miejsce marginalne (nawet pomimo tego, że pochłonęły większą ilość ofiar niż walki na frontach pierwszej wojny światowej).

W literaturze ostatnich dekad motyw pandemii powraca coraz częściej. Globalizacja wytwarza nowe formy życia i komunikacji, a wraz z nimi coraz dogodniejsze warunki do rozprzestrzeniania się chorób. Wielu autorów opisuje nowe formy zagrożeń, które – co znamienne – najbardziej wyrazistą postacią przybierają na terenie kultury popularnej, co zdaje się potwierdzać tezę, że jest ona swoistą „podświadomością” epoki i to właśnie w jej obrębie kumulują się jej niepokoje oraz lęki. O dziesiątkujących ludzkość epidemiach pisali między innymi Graham Masterton (*Plaga*, 1977), Stephen King (*Bastion*, 1978), a ostatnio spory rozgłos zyskała powieść Deana Koontza *Oczy ciemności* (1981), w której śmiertelny wirus nosił nazwę „Wuhan 400”. Jeśli dodamy do tego szereg innych fabuł literackich i filmowych, na przykład *Epidemię strachu* (2011) w reżyserii Stevena Soderbergha czy bazujące na powieści Maxa Brooksa *World War Z* (2013), gdzie kolebką zabójczego wirusa okazują się także Chiny, to otrzymamy pokaźną liczbę utworów opowiadających o pandemiach.

Popularność tych wątków mówi sporo na temat współczesnych lęków. Motywy katastroficzne, postapokaliptyczne i dystopijne od pewnego czasu regularnie nawiedzają współczesną kulturę, zapewne po części z tego względu, że stanowią rewers optymizmu cywilizacyjnego. Z drugiej jednak strony trudno oprzeć się wrażeniu, że wszystkie te fabuły osławiają wspomniane lęki w średnio skuteczny sposób, nie wskazując na prawdziwe źródło zagrożeń i rzeczywistych bohaterów zmagających z wirusami. Zresztą po każdej z takich fabularnych pandemii świat wraca do kolein, z jakich został niespodziewanie wytrącony, brak natomiast odpowiedzi na pytanie, jak nie dopuścić do powtórzenia się podobnej sytuacji, a to właśnie je często słyszymy w ostatnich tygodniach. W związku z tym pojawia się (podnoszona zresztą od dłuższego czasu przez wielu pisarzy) wątpliwość: czy pandemii, a także inne katastrofy, potrafią wpłynąć na trwałą zmianę naszych dotychczasowych przyzwyczajzeń i praktyk?

Optymizm tutaj jest dość umiarkowany. W opublikowanej niespełna dwa lata temu i uhonorowanej najważniejszymi nagrodami w dziedzinie fantastyki (m.in. Nebula, Hugo) powieści *The Calculating Stars* (2018) Mary Robinette Kowal zaproponowała interesujący eksperyment, którego sednem jest przekonanie, że istnieje wyraźna korelacja między katastrofą a postępem. Pierwsza intensyfikuje drugi, zaś społeczeństwa potrafią ze spowodowanych przez siebie tragedii wyciągnąć wnioski na przyszłość i powierzyć swój los naukowcom. Na pozór fabuła wygląda zatem optymistycznie, szkopał w tym, że powieść przedstawia alternatywną historię, w której owa zmiana nastąpiła nie po drugiej wojnie światowej, lecz po kolejnej – tym razem naturalnej – katastrofie z 1952 roku. Dopiero zbliżająca się zagłada życia na Ziemi zmusza reprezentantów różnych państw do zgodnego i skoordynowanego współdziałania, które może zmienić losy ludzkości. Być może dziś powinniśmy mieć przede wszystkim nadzieję, że do takiej sytuacji nie potrzebujemy kolejnego kataklizmu, a jednocześnie trzymać kciuki za uczonych, którzy w laboratoriach na całym świecie usilnie pracują nad powstrzymaniem pandemii.

Dr hab. Aleksander Wójtowicz – historyk literatury, adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej UMCS. Autor książek „Cogito i „sejсмограф podświadomości”. Prza Pierwszej Awangardy” (Lublin, 2010) oraz „Nowa Sztuka. Początki (i końca)” (Kraków, 2017).

Czy nie przewidzieliśmy pandemii?

Piotr Tryjanowski

„Kochaj wszystkich, ufaj niewielu, bądź gotów do walki, ale jej nie wszczynaj, pielęgnuj przyjaźnie”.
św. Augustyn

Jednymi z częściej pojawiających się ostatnio pytań w kontekście SARS-CoV-2 są te dotyczące metod prognozowania przebiegu pandemii. Skąd ona pochodzi? Jak to się wszystko zaczęło? Dlaczego nie przewidziano tak niezwyklej szybkości przemieszczania się wirusa COVID-19? Odpowiedzi mogą być kluczowe, nie tylko z przyczyn medycznych, ale także z przyczyn dotyczących filozofii uprawiania nauki i społecznego zaufania do nauki. Przecież jedną z cech dobrej nauki jest nie tylko zdolność do opisu sytuacji post hoc, ale również budowanie wiarygodnych prognoz i predykcji. Tego od nas naukowców oczekuje społeczeństwo i tym oczekiwaniom powinniśmy starać się sprostać.

Swoiste *déjà vu*

Patrząc na dynamikę pandemii, wiele osób ma poczucie, że już podobną sytuację przeżywała, a równocześnie jednak jest pewna, że to niemożliwe. Zatem pozostając przy francuskim określeniu mamy *jamais vu*, coś czego wcześniej świat nie widział. W epidemiologii opowiadany jest czasem żart, że każda epidemia to nowe doświadczenie, tej nowej, tej jedynej epidemii. Nic dwa razy się nie zdarza i może warto przyjąć to do wiadomości. Zamiast po omacku odwoływać się do doświadczeń historycznych, stosować stare, nie najlepiej działające modele epidemiologiczne, może należy pozwolić sobie na popuszczenie wodzy fantazji i spojrzeć na sprawę inaczej. Nie wiele mamy do stracenia, życie okrutnie testuje modele produkowane naprzędę w arkuszach kalkulacyjnych czy nawet pakiecie statystycznym R. I jedynym co pozostaje na ich obronę, jest stwierdzenie, że wszystkie są błędne, ale niektóre z nich bywają użyteczne. Może zamiast wracać do równań gazu doskonałego i najprostszych modeli SIR, lepiej przypomnieć sobie równania różniczkowe Izaaka Newtona albo dla rozbudzenia wyobraźni przeczytać szekspirowskiego *Króla Leara*. Oba dzieła zostały stworzone podczas przymusowej kwarantanny.

Świat przestał być normalny

Epidemiolodzy dzielnie sobie radzą w skali województwa, państwa albo nawet kontynentu. Stacje epidemiologiczne, podstawy modeli, zalecenia praktyczne były zakładane i formułowane pół wieku temu. Świat wyglądał wtedy zupełnie inaczej. COVID-19 wcale nie jest pierwszą epidemią, z której modelowaniem mamy poważne trudności. Już wcześniej pojawiały się kłopoty, także w przypadku chorób odzwierzęcych, wystarczy przypomnieć sobie nie tak dawną panikę z ASF, problem z pryszczycą w Afryce, czy choćby nawet trudności w modelowaniu rozmieszczenia dobrze znanej wścieklizny. Wiele się zmieniło, ale popatrzmy na trzy zasadnicze składniki, które każą z pokorą spojrzeć na możliwości predykcyjne: urbanizacja, transport towarów, ludzi, zwierząt i usług oraz demografia – wszystko to powoduje znaczące zwiększenie intensywności kontaktów pomiędzy ludźmi. Oddziaływania te często opisujemy jako globalizację, a świat bywa przedstawiany jako jedna globalna wioska. Znacznie rzadziej

jednak wyprowadza się ze stwierdzenia tego faktu inne konsekwencje. Jak chociażby takie, że małe lokalne zwyczaje, np. żywieniowe, związane ze spożywaniem dzikich nieprzebadanych zwierząt, mogą mieć szybko globalny rozdzźwięk.

Właśnie ta możliwość stała się faktem. A poszło tym łatwiej, że każda pandemia ma dwa aspekty: medyczny – bezpośrednio związany z zagrożeniem organizmu patogenem oraz psychologiczny – często oparty na zupełnie nieracjonalnych i nieprzewidywalnych rachunkach. Ich konsekwencje znane z historii: izolacje, głód, a nawet masowe prześladowania. Aspekt psychozy w zasadzie wymyka się modelowaniu, bo ograniczenia w formie czasu i przestrzeni roznoszenia psychoz przestały praktycznie istnieć. Stały się bardzo dynamiczne i mają taki sam zasięg jak Internet, przemieszczając się niemal z prędkością światła. Aspekt medyczny był do przewidzenia, ponieważ przynajmniej od 2008 roku badacze zoonoz na łamach najbardziej prestiżowych czasopism pisali o tykającej biologicznej bombie, która zapewne wkrótce wybuchnie. Nikt nie przewidział efektu domina, tego jak wielki wywoła strach i panikę. Dopowiem, że takich bomb tyka znacznie więcej i zasługiwałyby na osobną refleksję. Mam na myśli patogeny transportowane z inwazyjnymi gatunkami obcymi po całym świecie. Prędzej czy później z ich strony uderzy w nas bakteria czy wirus, z którym znów nie będziemy potrafili sobie poradzić.

Publicyści lubią nawiązywać do koncepcji Nassima Taleba, że oto nadleciał „czarny łabędź”, zjawisko o ekstremalnie niskim prawdopodobieństwie zajścia, ale gdy się wydarzy, rozbija struktury na drobne kawałki. Nie, to było zjawisko o całkiem sporym prawdopodobieństwie wystąpienia, czyli pozostając w nomenklaturze Taleba, najwykleszy „biały łabędź” – wiedzieliśmy, że przyplynie, ale ignorowano fakty. Dlaczego? Bowiem z reakcjami politycznymi i społecznymi na nadciągającą epidemię jest zawsze problem. Na prywatny użytek nazywam to paradoksem Ezopa. Bohaterem jednej z jego bajek, chyba tej najbardziej znanej, jest wesołkowaty chłopiec, pasterz owczego stada. Lubił wzbudzać zainteresowanie wieśniaków i często wpadał do wioski, udając przerażenie i wołając: „Wilki! Wilki! Ratunku!”. Gdy wspólnota już w pełnym rynsztunku ruszała z odsieczą, zaczynał się śmiać i twierdził, że to żart. Do czasu, bowiem któregoś dnia wilki przyszły naprawdę. Pasterz wbiegł do wioski i krzyczał o pomoc, ale został zwyczajnie zignorowany. Nikt już mu nie wierzył i w ten sposób stracił swoje owce. Dla nas oznacza to tyle, że musimy czasem doświadczyć uderzenia epidemii, by zobaczyć, że naprawdę są one realnym zagrożeniem. Bez jej doświadczenia dalej byśmy żyli pełną piersią, zupełnie ignorując rzeczywistość. Taka ignorancja, przekłada się później na szybkie i nieprzemyślane działania. Coś jak leczenie dżumy cholera.

Zapomniane GIGO

Skąd zatem panika zarówno wśród wielu badaczy, jak i opinii publicznej? Moim zdaniem z braku jasnego – od razu powiem, że praktycznie niemożliwego do sformułowania – komunikatu. Świat stał się heurystycznie nieprzejrzysty. Brakuje rzetelnych danych. Każdy kraj liczy zgony w sobie tylko właściwy, co więcej zmieniaj



w czasie, sposób. Czy naprawdę wszystkie dane są wiarygodne? Czy oszacowania poziomu śmiertelności rzeczywiście dotyczą wyłącznie SARS-CoV-2, a nie grupy chorób współistniejących? Co kraj, to obyczaj. Wielu badaczy głośno wręcz mówi, że obecnie dostępne dane co do liczby zarażonych i sposobu w jaki epidemia się rozwija, są zupełnie niewiarygodne. Jednak pozostaje to bez większego echa w środowisku twórców modeli, statystyk i obrazków, przyznam, że niektórych nawet całkiem ładnych. Cóż z tego, jeśli opartych na tych samych słabych danych.

Przykładem beztrojskiego podejścia są wszelkie analizy pochodzące wyłącznie z jednego źródła, obecnie najczęściej z grupy Neila Fergusona z londyńskiego Imperial College. Dane wejściowe, często wyłącznie z początków pandemii, podawane bez przedziałów ufności, dają ładne obrazki, ale są bezwartościowe, nawet wtedy, gdy ktoś udostępni kody. Ale kto ma o tym wszystkim pamiętać? Naukowcy, którzy biorą 1000 euro pensji i ledwo wiążą koniec z końcem? Tak ponoć, lekkim, acz trafnym żartem skomentowała dzisiejszą sytuację hiszpańska badaczka: Dlaczego nas teraz pytacie o pomoc? Zapytajcie może piłkarzy, Ronaldo i Messiego, którzy zgarniają milionowe pensje. Może nawet oni przypomną sobie złotą regułę GIGO, pochodzącą od znanego w świecie statystycznym i komputerowym wyrażenia „Garbage In, Garbage Out”, czyli po naszymu: śmieci na wejściu — śmieci na wyjściu. Naprawdę nie posiadamy wiarygodnych danych? A co ze skończonej przebadaną populacją pasażerów wycieczkowca Diamond Princess? Sytuacja epidemiologiczna na statku doczekała się bardzo dokładnych analiz, zamieszczonych już w kilkudziesięciu pracach naukowych. I choć analitycy zachwycają się sporą liczebnie próbą, zbadaniem całej lokalnej populacji oraz zebraniem wielu danych dodatkowych, to jakby zupełnie brakuje krytycznej analizy na temat tego, że wycieczkowa populacja była jednak w większości zaawansowana wiekowo, wielu z pasażerów wręcz wprost pisało o chęci odbycia ostatniej wielkiej podróży życia. Tak, wiem, że w przypadku dziesięciu z nich los potraktował tę chęć bardzo literalnie. Nie zwalnia nas

to jednak z odpowiedzi na pytanie, czy rzeczywiście tenże statek i jego zamknięta populacja stanowi dobre źródło danych? Dla porównania, dane z innego naturalnego laboratorium, jakim ze swej wyspiarskiej natury stała się Islandia, są daleko bardziej optymistyczne.

Czekając na IV falę

Czasem w epidemiologii mówi się o czwartej fali zachorowań. Po trzech pierwszych bezpośrednio związanych z patogenem, następuje fala czwarta – inne konsekwencje medyczne. To wtedy zaczynamy liczyć, ile zabiegów wcześniej zaplanowanych nie zostało wykonanych, jak wyglądają przebieg i rokowania innych chorób czy przyczyn śmiertelności populacji, czy też jakie są związki z załamaniem systemu ekonomicznego, a w konsekwencji jak przeniosło się to na jakość życia i zwiększającą się liczbę chorób psychicznych. Czas spędzony w izolacji, niemożność kontynuowania niektórych rodzajów aktywności relaksującej (wyjścia na spacer, do lasu czy też do kościoła), problemy ekonomiczne firm, utrata zatrudnienia – to wszystko nie przelewki. Do tego mogą dojść poważne, znane od wieków problemy epidemiologiczne. Wyrzucana, tracąca datę przydatności do spożycia żywność to magnes dla szczurów, karaluchów i innych nosicieli zarazek.

Jednak nie można popadać w pesymizm, wszak nadzieja umiera zawsze ostatnia. Pomagajmy sobie poszukiwaniem mechanizmów poprawiających funkcjonowanie umysłu. Dobra lektura, zwłaszcza powrót do klasyków, bywa szczególnie cennym rozwiązaniem. Recenzent tekstu, gdy przeczytał powyższe stwierdzenie, załamał ręce i dopisał mi na marginesie pracy: „to co, mamy tylko siedzieć, czytać i modlić się?”. Zatem precyzuję i dopowiadam: można jeszcze jeść sery, pić wino oraz obserwować ptaki. I to niekoniecznie w takiej kolejności.

Prof. Piotr Tryjanowski jest biologiem, zajmuje się ekologią behawioralną, wpływem klimatu na przyrodę, ptakami krajobrazu rolniczego i ekologią miast. Miłośnik wina i ptaków. Kieruje Instytutem Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Wyjaśnić i zrozumieć

Sebastian Tomasz Kołodziejczyk

Sytuacje graniczne

Gdy w drugiej połowie lat 90. ks. prof. Józef Tischner na odbywających się w Auli Collegium Witkowskiego UJ wykładach ze swadą i humorem podejmował metafizyczne, etyczne i estetyczne problemy określane przez Karla Jaspersa jako sytuacje graniczne, traktowałem je jako równie abstrakcyjne, co teorie światów możliwych Davida Lewisa.

Dzisiaj koncepcję tę, mimo mej silnej predylekcji do filozofii analitycznej, widzę jako adekwatną do tego, by nie tylko opisać bieg spraw, w których przychodzi nam uczestniczyć, ale też jako pomocną do zilustrowania ogromu zadań, jakie stają przed filozofem czy po prostu humanistą.

Jaspers zwraca uwagę na to, że ludzki los zawsze jest umocowany w jakichś warunkach; osadzony jest w określonych okolicznościach, które domagają się, byśmy je usensownili, nadali im znaczenie. Nawet jeśli przyjmiemy, że jesteśmy wyłącznie bytem biologicznym, a cały nasz świat to świat przyrody, w którym podlegamy przyczynowym oddziaływaniom, trudno zaprzeczyć, że mamy jakieś życie psychiczne, uczuciowe, wreszcie relacje z innymi bytami,



w stosunku do których przejawiamy rozliczne postawy, dla których szukamy racji i motywacji. To właśnie te racje i motywacje nadają sens naszemu życiu i wszystkiemu wokół. Z faktu tego, jak mówi Jaspers, w okolicznościach o szczególnej wadze dla naszego istnienia, wyłania się zadziwiająca tożsamość: „przeżywać sytuacje graniczne i egzystować, to jedno i to samo”.

Dla czytelnika stroniącego od nieco zagmatwanych i metaforyzujących koncepcji filozofów, zwłaszcza egzystencjalnych, tego rodzaju stwierdzenie może wydawać się mętne i ogólnikowe. Nie ulega jednak wątpliwości, że Jaspers chciał powiedzieć coś ważnego, mianowicie, że wtedy dopiero doświadczamy swego własnego istnienia (owej egzystencji), gdy znajdujemy się w sytuacjach granicznych. Miłość, nienawiść, odrzucenie, narodziny, śmierć, nierozwiązywalne dylematy moralne, wreszcie cierpienie – to są sytuacje graniczne. Wówczas stajemy wobec własnego istnienia i zaczynamy dostrzegać nagłą potrzebę sensu, obejmującego nas samych, jak i wszystko, co owe sytuacje współtworzy. Czy zatem dzisiejsza sytuacja jest sytuacją graniczną?

Pandemia jako sytuacja graniczna

Odpowiedź na powyższe pytanie nie jest oczywista. Przyjmuję jednak, że są spełnione przesłanki, by o aktualnych warunkach życia, i szerzej – istnienia, tak właśnie myśleć. Napiera na nas moc okoliczności i zjawisk, które są niczym bałwany na morzach i oceanach. Sprowadzają na nas lęk, strach, trwogę i jednocześnie powodują cierpienie, a w niektórych przypadkach śmierć. Każdego dnia zadajemy sobie pytanie: czy nas to już dotknęło, dotyka, czy też dopiero dotknie?; czy przetrwamy i w jaki sposób? Za tymi pytaniami podążają następane: jak będzie wyglądać nasze życie po tym wszystkim?; jak będzie funkcjonować świat i ludzie w mnogich przejawach swojej aktywności, gdy wszystko się już skończy (o ile się skończy w sposób zdecydowany i jednoznaczny)? To są nasze dzisiejsze pytania. Starają się na nie odpowiedzieć, przynajmniej częściowo, systemy religijne, częściowo systemy etyczne, ale nade wszystko chcemy, by na te pytania odpowiedziała nam nauka. Niektórzy wprost twierdzą, że sensownie wypowiada się o świecie jedynie ona, a zwłaszcza ta jej część, która bada mechanizmy rządzące przyrodą.

Jest w tym stanowisku dużo racji. Wszakże „dużo” nie oznacza całej racji. Sytuacja, w której się znajdujemy, pokazuje nam, że istnieje przemożna potrzeba wyjaśnienia i zrozumienia. Dla filozofa jest to pewna lekcja. Człowiek znajdując się w sytuacji granicznej potrzebuje wielu narzędzi, za pomocą których zrozumie, okiełzna i unieważni okoliczności, które mogą doprowadzić do zapaści jego własnego istnienia. Może zatem warto pójść za sugestią Ludwiga Wittgensteina, który powiada, że filozofia nie jest ani nad, ani pod, ale obok nauki – jest w stosunku do nauki komplementarna, jak sztuka czy religia. W tym kontekście zasadne wydaje się zwrócenie uwagi na to, że sens, a więc całość tego, co bierzemy za wyjaśnienie i zrozumienie, a co przychodzi nam mozolnie budować, jest siłą rzeczy rozleglejszy i głębszy.

Nauka i to, co obok

Oczekiwania formułowane pod adresem nauki łatwo na podstawie dzisiejszej sytuacji określić: ma ona zidentyfikować wszystko, co związane jest z przyczyną zachorowań na masową skalę, a następnie wskazać mechanizmy, które mogą być wykorzystane i być może zablokowane, by oddalić śmiertelne zagrożenie. Tak rozumiane zadanie jest ściśle zdefiniowane i weryfikowalne, tym zadaniem zajmuje się kilka tysięcy laboratoriów na całym świecie. Z sukcesami! I to jest pocieszające. Odkrycie biologicznych mechanizmów oddziaływania i możliwości ich wykorzystania w terapii czy też blokowania będzie przełomem i jednocześnie wprowadzi swego rodzaju spokój; będzie, by posłużyć się metaforą biblijną, wylaniem oliwy na wzburzone fale.

W tym kontekście nasze skromne filozoficzne pytanie brzmi: czy to spowoduje, że sytuacja graniczna zostanie niejako przeobrażona w sytuację powszednią, zwyczajną, wręcz beztrudną i niewymagającą już więcej rozeznawania i nadawania sensu, bo cały ów sens przyjdzie do nas z nauki? Za nim przychodzą pytania bardziej szczegółowe: Czy nauka powie nam coś wiążącego na temat tego, jak w panujących warunkach oraz po ich ustaniu dalej żyć, a w warstwie metafizycznej – po prostu istnieć? Czy powie, jak dobrze żyć i co to znaczy? Czy powie, jak sprawić, by nasze życie było wartościowe? Co sprawia, że nasze życie ma sens dla nas samych i innych? A wreszcie jaki jest ostateczny sens istnienia: nas rozumianych jako rodzaj ludzki i naszych braci mniejszych ze świata natury?

Warto nieco przybliżyć źródło powyższych pytań, a tym samym określić szkieletowo to, co miał na myśli Wittgenstein, mówiąc „obok”. Wchodzenie w związki przyczynowe to jedynie fragment większej całości. Ulegamy im, to fakt, ale też przewyżczamy je, nawet jeśli jest to zbiorowa, gatunkowa iluzja. Doświadczenie tego przewyżczenia uważałbym za fundamentalną sytuację graniczną, konstytuującą nas

jako ludzi. Człowiek jako byt biologiczny po prostu nieustająco poza tę biologię próbuje wyjść. Nawet, a może przede wszystkim w czasach zarazy, gdy błagalnie spogląda w kierunku nauk przyrodniczych z nadzieją, że odpowiedzą na pytanie o to, co dla warstwy biologicznej jest najistotniejsze, bo to ona, paradoksalnie, umożliwia zachodzenie zjawisk w innych warstwach. Przywołany Jaspers użyłby tu zwrotu, który obłożony jest we współczesnej narracji anatemą: człowiek w ten sposób transcenduje swoją biologiczną kondycję w kierunku tego, co niebiologiczne i na swój sposób lokujące się *poza* naturą czy też przyrodą.

Poza

Ktoś mógłby powiedzieć: oto łabędzi śpiew filozofa, który buduje pokraczne intelektualne konstrukcje, by rozpaczliwie zdobyć wpływy tam, gdzie wyłącznie nauka ma cokolwiek sensownego do zaproponowania. Nawet jeśli zgodziłbym się, że jest to obraz prawdziwy, jest on takowym wyłącznie z perspektywy tego, który nie rozumie, że przecież sama nauka jest formą nadawania sensu, a więc formą przewyżczenia mechanizmów rządzących naturą, unieważnienia tego, co czyni z nas byty wyłącznie przyrodnicze. A zatem szukamy w nauce ratunku, czyniąc z niej instrument nadawania sensu naszemu istnieniu, by jak najsprawniej przewyżczać ograniczenie przyczynowe i wynikające z tego tytułu konsekwencje. Chcemy antidotum, by zatrzymać to, co może sprawić, że staniemy się ofiarą; utracimy swe życie i staniemy się „prochem i pyłem”. Żaden inny gatunek nie dysponuje taką formą radzenia sobie z własnym losem.

Paradoksalnie, nauka sama okazuje się zatem narzędziem wyjścia *poza*. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że nauka rozumiana jako metodologicznie uporządkowany namysł nad światem natury, jest orężem, który w swej najgłębszej istocie otwiera perspektywę przewyżczenia sytuacji granicznej, którą, jak napisałem, można na najniższym poziomie zdefiniować jako trwałe i nieustające przewyżczenie swego istnienia uwikłanego w mechanizmy rządzące naturą. Dziś do tego gestu przewyżczenia przynagla nas pandemia.

Wszelako *poza* jest znaczenie bogatsze. Są nasze działania, plany, marzenia, pragnienia, nasze zdolności, umiejętności i możliwości, nasze bycie z innymi i dla innych. Gdy się temu katalogowi (nie-wyczerpanemu) przyjrzymy, okaże się, że odpowiedź nauki w jej czysto przyrodniczym wariacie jest zaledwie warunkiem koniecznym, by wszystkie te zjawiska mogły dojść do skutku, ale z pewnością nie jest warunkiem wystarczającym. Dlatego filozof, a szerzej humanista, także jest zaproszony do składania oferty wyjaśnień i sposobów rozumienia aktualnej sytuacji, nawet jeśli nie przekłada się to bezpośrednio na mierzalny rezultat. Katalog zadań częściowo już nam się wyłonił na podstawie sformułowanych powyżej pytań, ale możemy go rozszerzać o kolejne: W jaki sposób w sytuacjach granicznych funkcjonują mechanizmy moralne? W jaki sposób następuje rozpoznanie i jednocześnie samoograniczenie wolności, która dla niektórych może być miazmatem, dla innych zaś fundamentem działania i przewyżczenia przyczynowych uwikłań? W jaki sposób odbywa się delegacja uprawnień i przededefiniowanie praw, które uznajemy za wiążące dla wspólnoty i definiujące mechanizmy jej funkcjonowania? Jaka jest różnica między światem bezpośredniego doświadczenia, a światem doświadczeń zapośredniczonych, np. zdalnie, w rzeczywistości elektronicznej? Każde z tych pytań domaga się wieloaspektowej analizy, a zatem filozof ma co robić!

Czego oko nie widziało... – podsumowanie

Świat pandemiczny to z perspektywy ludzkiej percepcji świat niewidzialny, choć niestety jej skutki są obserwowalne. Metafizyka od wieków zmagą się z dualizmem, który niekiedy opisywany jest jako napięcie między rzeczywistością i zjawiskiem. Dziś bardziej niż kiedykolwiek dostrzegamy to, że obie te kategorie nie przystają

do naszego doświadczania świata. Naiwny jego obraz, w którym jesteśmy obiektami czasoprzestrzennymi o pewnej skali, zatracą swoją wyrazistość i obowiązującą moc. Trudno odeprzeć wrażenie, że istnieje płynne przejście między nami jako zintegrowanymi systemami biologicznymi czy fizycznymi a otoczeniem; że obiekty, wśród których żyjemy, są po prostu częścią naszej złożonej struktury metafizycznej. A to oznaczałoby, że nie ma możliwości wyizolowania, sterylnego oddzielenia, metafizycznego wyodrębnienia się z całokształtu

zjawisk. Jesteśmy z obiektami mikro-, średniej i makroskali pewną jednością, której skutkiem jest również to, w jakiej teraz znajdujemy się sytuacji. Na przykładzie pandemii otrzymujemy dojmującą lekcję bycia częścią natury, poza którą tak bardzo pragniemy wykroczyć.

Dr hab. Sebastian Kołodziejczyk, prof. UJ, jest filozofem. Interesuje się metafizyką naturalną, naturą życia mentalnego i rolą filozofii w kogniistyce. Kieruje Zakładem Ontologii w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Psycholog niezbędny

Krzysztof Małyszczak

Postępy pandemii i zaostrażające się działania zapobiegające rozprzestrzenianiu się wirusa SARS-CoV-2 stały się dla wyższych uczelni stresującym wyzwaniem. Po krótkim okresie zaprzeczenia zagrożeniu władze akademickie uświadomiły sobie niebezpieczeństwo związane z wykładami i seminariami grupującymi po kilkadziesiąt osób. Symbolicznym przełomem w postrzeganiu zagrożenia na Uniwersytecie Medycznym we Wrocławiu stał się w lutym 2020 r. powrót zorganizowanej grupy studentów z północnych Włoch. Stało się jasne, że studenci i pracownicy uczelni powracający z terenów ogarniętych epidemią nie mogą ze względów bezpieczeństwa uczestniczyć w zajęciach klinicznych, szczególnie na oddziałach leczących pacjentów z obniżoną odpornością. Konieczne stało się odizolowanie powracających z Włoch od pozostałych studentów i pracowników. Władze uczelni zdecydowały o objęciu całej grupy kwarantanną. Wejście w życie 8 marca ustawy przeciwko COVID-19, spowodowało po kilku dniach decyzję o zawieszeniu do odwołania zajęć na większości wyższych uczelni w Polsce.

Wyjątkowa sytuacja zaskoczyła wszystkich, runęły opracowane co do godziny plany zajęć i kryteria zaliczania, niemożliwe stało się przeprowadzenie kolokwium i egzaminów, zakończenie semestru letniego stało się problematyczne. Po tygodniowym okresie szoku, epidemiczne wyzwanie zmobilizowało całe środowisko akademickie i wyzwoliło ukryte wcześniej możliwości współdziałania i dobrej woli. Pracownicy dydaktyczni zapoznali się z potencjałem zdalnego nauczania, odkrywając wielkie możliwości ukryte w niepozornych smartfonach, tabletach i laptopach. Okazało się, że oprogramowanie konferencyjne doskonale nadaje się do przeprowadzania zdalnych seminariów i wykładów. Zaskakujące było pozytywne przyjęcie zdalnych metod nauczania przez studentów, którzy jak wcześniej mobilizowali swoje zasoby umysłowe opracowując nowe metody NUPUM (Niziurski E., 1964), tak teraz przystąpili gremialnie do nauczania na odległość.

Pomimo pozornego luzu, zajęcia zdalne okazały się wymagające dla obydwu stron. Studenci, łatwo wykrywalni przy komputerze, przyjęli obowiązek uczestniczenia w zajęciach i zapoznawania się z przesyłanymi przez prowadzących materiałami dydaktycznymi. Paradoksalnie, obciążenie studentów wzrosło, nauka stała się bardziej męcząca i wyczerpująca. Liczne godziny spędzone przed monitorami, długotrwała koncentracja uwagi, ograniczone możliwości wysiłku fizycznego, związane z nakazem pozostania w domu, stanowią wyzwanie dla studenckich umiejętności adaptacyjnych. Można spodziewać się stanów lękowo-depresyjnych u studentów zbyt sumiennych, o skłonnościach zależnościowych, oraz odreagowania w działaniu u studen-

tów o skłonnościach eksternalizacyjnych. Rozwiązaniem kompromisowym może być sformalizowanie nauczania na odległość z wyróżnionymi i odgraniczonymi fazami nauki i odpoczynku. Niepewność sytuacji sprzyja niestety stanom lękowym o charakterze zarówno lęku uogólnionego, jak i napadowego, stąd konieczne wydaje się ustalenie nowych zasad zaliczania i egzaminowania w warunkach epidemii.

Nauczyciele akademicki, wstępnie zestresowani już Konstytucją dla Nauki, stanęli wobec konieczności opracowania spektakularnych materiałów dydaktycznych i przedstawienia ich za pomocą środków zdalnego przekazu. Stworzyło to sytuację sprzyjającą zaburzeniom adaptacyjnym. Wykładowcy zareagowali głównie w stylu obsesyjnym, przygotowując dużo szczegółowych materiałów dydaktycznych, przekraczających często możliwości percepcyjne studentów. Wydaje się, jednak, że w miarę adaptacji do nowych warunków, wymagania dydaktyczne zaowocują świetnymi prezentacjami i artykułami o charakterze podręcznikowym. Obserwując reakcję nauczycieli akademickich, mam wrażenie, że z przekonaniem przyjęli ciężar reorganizacji procesu dydaktycznego. Biorąc pod uwagę niepewność co do przebiegu epidemii, narażenie własnych rodzin i perspektywę administracyjnej kwarantanny, można spodziewać się reakcji pod postacią somatyczną czy nawet somatycznych zespołów czynnościowych.

W Katedrze i Klinice Psychiatrii Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu od kilku lat prowadzimy konsultacje dla studentów i doktorantów naszej uczelni. Dotychczas bardzo potrzebne, w obecnej sytuacji stały się wręcz niezbędne. Sygnały płynęły także od studentów z innych krajów, którzy odcięci od swoich domów, bliskich, odizolowani od normalnego życia i toku zajęć, znaleźli się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Zareagowaliśmy programem wsparcia. Objęliśmy nim także pracowników ochrony zdrowia ze szpitali zakaźnych po tym, jak taką potrzebę zgłosił jeden z rezydentów pracujących w najbardziej obciążonym w tej chwili szpitalu we Wrocławiu. Szybko poprosili o pomoc także farmaceuci, a teraz – w uzgodnieniu z władzami województwa – zdalne porady udzielane są także chorym, diagnozowanym i osobom przebywającym w kwarantannie. Duże zainteresowanie konsultacjami psychiatrycznymi i psychologicznymi jest wyznacznikiem potrzeb i niepokojów środowiska akademickiego, które personel Kliniki Psychiatrii stara się zaspokajać i łagodzić działalnością zawodową pracowników i wolontariuszy.

Dr hab. Krzysztof Małyszczak, prof. Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu, jest psychiatrą. Kieruje Zakładem Psychoterapii i Chorób Psychosomatycznych w Katedrze Psychiatrii UMMWr.



Rozmowa z prof. dr. hab. **Adamem Myjakiem**, rektorem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie

Nie produkujemy absolwentów

Kształcenie plastyczne jest fundamentem. Wrażliwość malarska przekłada się i na nowe media, i na projektowanie.

Jaka jest specyfika warszawskiej ASP w kontekście innych polskich uczelni artystycznych?

Jesteśmy największą uczelnią artystyczną w Polsce i zarówno akademia nasza, jak i krakowska, to są uczelnie klasyczne, długowieczne, z korzeniami sięgającymi nawet dwustu lat wstecz. W Warszawie już w XVIII wieku funkcjonowała Malarnia Królewska założona przez Marcello Bacciarellego – moglibyśmy powoływać się na to, że istniejemy ponad dwieście pięćdziesiąt lat. Potem pojawiły się Państwowe Wyższe Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu ze szkłem i ceramiką, w Łodzi z tkaniną, dołączył Gdańsk, Poznań i uparli się, aby także nazywać się akademiami. Dziś poznańska szkoła zmieniła się w Uniwersytet Artystyczny. Ja powiedziałem, że absolutnie naszej nazwy nie będziemy zmieniać, bo jest to piękna tradycja. W ostatnich czasach narosło trochę wydziałów i kierunków artystycznych przyklejonych do różnych politechnik czy uniwersytetów, zaczęło się robić pewne zamieszanie.

Niepubliczne uczelnie też prowadzą kierunki artystyczne, czasami w zaskakujących konfiguracjach, np. bezpieczeństwo wewnętrzne a obok architektura wnętrz.

W tej chwili jest dużo zamieszania, jeśli chodzi o absolwentów, martwimy się, że właściwie dyplom magisterski jest zrównany niezależnie od tego, czy figuruje na nim nazwa akademii, czy jakiejś bardzo peryferyjnej szkoły o wątpliwych standardach kształcenia. Akademia zaczyna mieć problem z naborem na niektóre kierunki, a przecież wcześniej mieliśmy od dziesięciu do prawie piętnastu kandydatów na jedno miejsce. To był nasz etos. A teraz to się trochę rozmyło. Uważam, że jakość kształcenia jest bardzo nierówna, ale nie chcę wydawać ocen czy cenzurek.

Pojawił się też profil praktyczny. Można uzyskać dyplom uczelni, która nie zatrudni żadnego profesora, tylko samych magistrów, a nawet absolwentów studiów licencjackich.

Są takie zjawiska, ale ja zawsze mówiłem, że my nie produkujemy absolwentów. Artysta to nie jest zawód. To sposób na



Fot. Arch. Adama Myjaka



Fot. Arch. Adama Myjaka

Prof. dr hab. Adam Myjak, rzeźbiarz, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Obecnie profesor zwyczajny na ASP w Warszawie, prowadzi pracownię dyplomującą na Wydziale Rzeźby i pracownię rzeźby na Wydziale Grafiki. Pracował również na stanowisku profesora zwyczajnego na Wydziale Artystycznym UMCS w Lublinie, prowadząc Zakład Rzeźby. W latach 1990–1996 i 1999–2005 pełnił funkcję rektora warszawskiej akademii. Ma na koncie ponad 70 wystaw indywidualnych w kraju i za granicą, m.in.: Galeria Narodowa Zachęta (1993 i 2005), Muzeum im. W. Lembrucka, Duisburg (1981), Muzeum w Bochum (1989), CRP w Orońsku (1993). Brał udział w kilkuset wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Jest wielokrotnym laureatem międzynarodowych i krajowych wystaw i konkursów. Z wielu realizacji można wymienić np. Kwadrygę na Teatrze Wielkim w Warszawie (wspólnie z Januszem Pastwą, 2002) czy pomnik Homo Homini w Kielcach (2006). Prace znajdują się w zbiorach wielu muzeów i kolekcjach prywatnych. W 2005 za zasługi dla kultury polskiej otrzymał złoty medal Gloria Artis. W 2012 roku po raz piąty, a w roku 2016 po raz szósty został rektorem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

życie, pasja. I dzisiaj, przy ogromnym otwarciu na to, co niesie współczesność, chcemy zachować ten podstawowy fundament.

Czy w warszawskiej akademii wciąż kładzie się duży nacisk na przedmioty ogólnoplastyczne? Standardy już zniknęły i teraz uczelnie mogą autonomicznie kształtować program studiów.

To dobre pytanie, bo chcę podkreślić, że kształcenie plastyczne jest fundamentem, pominię już nawet to, że jest głęboko wpisane w tradycję kształcenia. To podstawowa sprawa – trzeba umieć rysować, malować, być wrażliwym na kolor i na formę. Na tym polega talent. Podobnie jest w przypadku uczelni muzycznych. Nikt przecież nie kwestionuje tego, że kandydat na studia powinien mieć słuch, głos i inne predyspozycje. Tymczasem zdarzają się sytuacje przyjmowania hurtem wszystkich kandydatów na studia plastyczne i potem są nieporozumienia. W prywatnych szkołach często nie ma egzaminu, bierze się każdego, kto przychodzi. A nuż się coś sklei. U nas przeprowadza się egzamin i chcę jedno powiedzieć: uczymy warsztatu, ale szkoła przecież jest otwarta na wszelkie nowe zjawiska w sztuce. Chociaż nie lubię słowa „nowe”, bo sztuka się rozwija, pewne wartości się nadbudowują, ale fundament pozostaje ten sam. Rzeźba sobie poradzi, malarstwo sobie poradzi – nie zginęło, bo ktoś powiedział: „koniec malarstwa, koniec rzeźby, kto to dzisiaj rysuje ołówkiem i maluje pędzelkiem, dzisiaj są nowe media”. W porządku, one się pojawiają, jesteśmy otwarci

na nowe kierunki, nowy sposób widzenia i projektowania. Uważam jednak, że umiejętność opanowania podstawowych zagadnień plastycznych, wyczerpanie, wrażliwość cały czas muszą iść w parze. Moja koncepcja zawsze taka była. Nie wiem, co zrobią moi następcy, ale mam nadzieję, że nie zechcą zastąpić egzaminu rozmową kwalifikacyjną. Ona i tak obecnie jest przewidziana, ale prace trzeba zobaczyć. Wrażliwość malarska przekłada się i na nowe media, i na projektowanie. To jest siłą polskiej dydaktyki, polskiego szkolnictwa artystycznego, bo zachodnie szkoły zaczęły już od tego odchodzić. Granice zacierają się w myśl hasła „wszystko jest sztuką”. Dlatego też studenci zagraniczni bardzo chętnie przyjeżdżają do nas, co dzisiaj jest pewnym kłopotem w związku z koronawirusem. Nagle staliśmy się jedną z nielicznych uczelni, w której w pracowni rzeźby się rzeźbi, gdzie są prowadzone pracownie stricte malarskie przy – oczywiście – także innych możliwościach. Nie ma mowy o jakichś kompleksach. W Polsce nigdy, nawet za PRL-u, akademie nie były jak radzieckie czy rosyjskie szkoły, gdzie panował totalny reżim, chociaż trafiali tam ludzie bardzo utalentowani.

Jesteśmy więc w dobrym punkcie – pomiędzy Wschodem i Zachodem.

Tak, i chcemy kreować osobowości artystyczne, wyławiać, pobudzać tych ludzi. Pewien profesor powiedział, że sztuka jest jak łąka, która składa się z różnych kwiatów: czerwonych, żół-

tych, małych, dużych i taka jest najpiękniejsza, gdy jest bogactwo różnorodności. I ja mówię, że rolą artysty jest dostrzeganie wyjątkowych przestrzeni, działanie na ludzi poprzez swoją wrażliwość. Sztuka ma bardzo ważną rolę do spełnienia szczególnie w świecie dzisiejszym, gdy zapędziliśmy się w niebezpieczne rejony, a człowiek za chwilę nie będzie podmiotem, lecz elementem jakiejś maszyny czy procesu, nie będzie widział, że słońce się budzi, że zmieniają się kolory, że jeden dzień jest inny od drugiego. Przyglądam się szkolnictwu i widzę nadprodukcję – w zależności od mody mamy mnóstwo absolwentów zarządzania albo prawa.

A jak to wygląda w przypadku malarstwa? Czy nie mamy do czynienia z odplywem kandydatów? W uczelniach, które wywodzą się z państwowych szkół sprofilowanych, można zauważyć taką tendencję.

Dostrzegam, że studenci zaczynają myśleć bardziej pragmatycznie, że szukają okazji, żeby zdobyć dodatkowe umiejętności. Od lat jednak mogą wędrować po akademii, studiować na innych wydziałach albo dodatkowo wybierać sobie przedmioty. Malarz może chodzić na zajęcia do pracowni projektowej. Radzę zresztą studentom: „Słuchajcie, doróbcie sobie jeszcze jakiś praktyczny zawód, bo ze sztuki żyje tylko ułamek procenta – ci najlepsi, wybitni, o znanych nazwiskach”. Mamy ponad dwadzieścia tysięcy artystów plastyków, którzy muszą się utrzymać. Obecnie bardzo dużo studentów wybiera kierunki projektowe, po nich łatwiej znaleźć pracę. Pamiętam jednak ciekawy przykład. Absolwentka Wydziału Rzeźby, która była w tej rzeźbie zanurzona dogłębnie, ni stąd ni zowąd znalazła pracę w znanej firmie wytwarzającej perfumy. Pytam: „Czym ty się zajmuj-

jesz?” A ona przynosi próbki perfum i mówi: „Projektuję takie buteleczki”. Szukali młodych zdolnych i zatrudnili ją do projektowania opakowań. Na podobnej zasadzie młodzież zatrudnia się w agencjach projektowych, łączą się z architektami, projektują wnętrza. W akademii zawsze było takie falowanie: raz gorzej, raz lepiej, raz mniejsze zainteresowanie, raz większe. Społeczeństwo też się zmienia, inaczej na kulturę patrzy. Właśnie przed chwilą dzwonił rektor politechniki i mówi: „Słuchaj, mamy wolną przestrzeń w tej wielkiej auli, może by zrobić jakąś wystawę, pokazać prace studentów? Dużo ludzi tam się przewija”.

Czy warszawska akademia preferuje studia jednolite, czy dwustopniowe?

Swego czasu wiele wydziałów wprowadzało studia dwustopniowe, ale obecnie zaczynają już od tego odchodzić. Byłem przeciwnikiem podziału rzeźby, zostałem jednak przegłosowany. Teraz wróciliśmy do studiów jednostopniowych. Wcześniej trzeci, ostatni rok był problematyczny. Po dyskusjach z profesorami ustaliliśmy, że kursowa praca też może być dyplomem. Podział się nie sprawdził – to było takie rozdzielenie jaźni. Akademia jest specyficzna, są ludzie, którzy przebywają tu od rana do wieczora, żyją tą uczelnią. Mówię studentom: „Nigdy takich warunków w życiu nie będziecie mieli – pracownia, opieka, materiały. Docenicie to później, gdy wyfruniecie z gniazda”. Obecnie połowa kierunków jest jednostopniowa. Wzornictwo i architektura wnętrz raczej zostaną dwustopniowe, bo od początku chciały takie być, ale inne kierunki od tego odchodzą. Konserwacja musi być jednostopniowa – jest zbyt specjalistyczna. Taki pół-konserwator może być troszkę niebezpieczny.



Są różne problematyczne zjawiska, jak intermedia prowadzone na poziomie licencjatu. Trudno nie znając dobrze żadnego medium, zajmować się działaniami intermedialnymi.

Zdarzają się młode wydziały, które jeszcze szukają osadzenia, ale tam też są malarstwo, rysunek, rzeźba i sami studenci czują potrzebę zapoznania się z tymi przedmiotami. W działaniach wizualnych, czy jak wcześniej mówiono plastycznych, trzeba pracować tymi rękami, po prostu. No i sercem. Narzędzie jest tylko przedłużeniem.

Czy kierunek zarządzanie kulturą wizualną prowadzony na warszawskiej ASP zakłada połączenie teorii i działań wizualnych?

On troszkę ewoluował, bo na początku szedł bardziej w kierunku historii sztuki, a obecnie w założeniu ma się zajmować badaniami nad kulturą współczesną i badaniami artystycznymi. Powinien więc mieć charakter hybrydowy. Początkowo egzamin dotyczył znajomości historii sztuki, obecnie dochodzi sprawdzian manualny.

Dotknięcie materii wydaje się bardzo istotne, aby absolwent mógł się wypowiadać poprzez własne doświadczenie, a nie w sposób wyabstrahowany. W tym drugim przypadku artyści mogliby się stać zakładnikami jego koncepcji.

Io to właśnie chodzi, żeby nie kształcić jakichś wymagowanych teoretyków sztuki. Kształcimy w akademii, z empatią do tej uczelni, do tego, co się tutaj robi. To wszystko jest na razie w budowie, wymaga trochę czasu, aby stworzyć profil, który będzie bardzo dobry. Sam optowałem za utworzeniem kierunku. Oczywiście my też mamy katedrę historii sztuki, przez którą przechodzą wszyscy studenci. Początkowo nasz wydział był postrzegany w kategoriach humanistycznych, ale sam zrozumiał, że nie tędy droga. Teraz idzie w kierunku bardziej hybrydowym, eksponowane są wątki plastyczne i badania nad sztuką i kulturą miejsca. Zawsze byłem zwolennikiem ewolucji, a nie rewolucji. Na drodze doświadczeń są i porażki. Eksperymentować trzeba, tylko ważne, aby potem wyciągać wnioski.

Jak uczelnia poradziła sobie z wymogami Ustawy 2.0? Jakie zmiany zostały wprowadzone, a z jakich możliwości, zrezygnowano?

Ustawa 2.0 nie jest, moim zdaniem, korzystna dla uczelni artystycznych. Mamy pierwsze kłopoty, bo się okazało, że uczelnie nadzorowane przez MNiSW mają zapis o dodatkowym stałym dofinansowaniu z budżetu. My raz dostaliśmy dotację na podwyżkę dla pracowników i to był bardzo dobry ruch. Co prawda pensje trochę się spłaszczyły, ale zawsze uważałem, że asystenci zarabiali za mało. Okazało się jednak, że uczelnie artystyczne nie mają zagwarantowanych na piśmie środków na podwyżki.

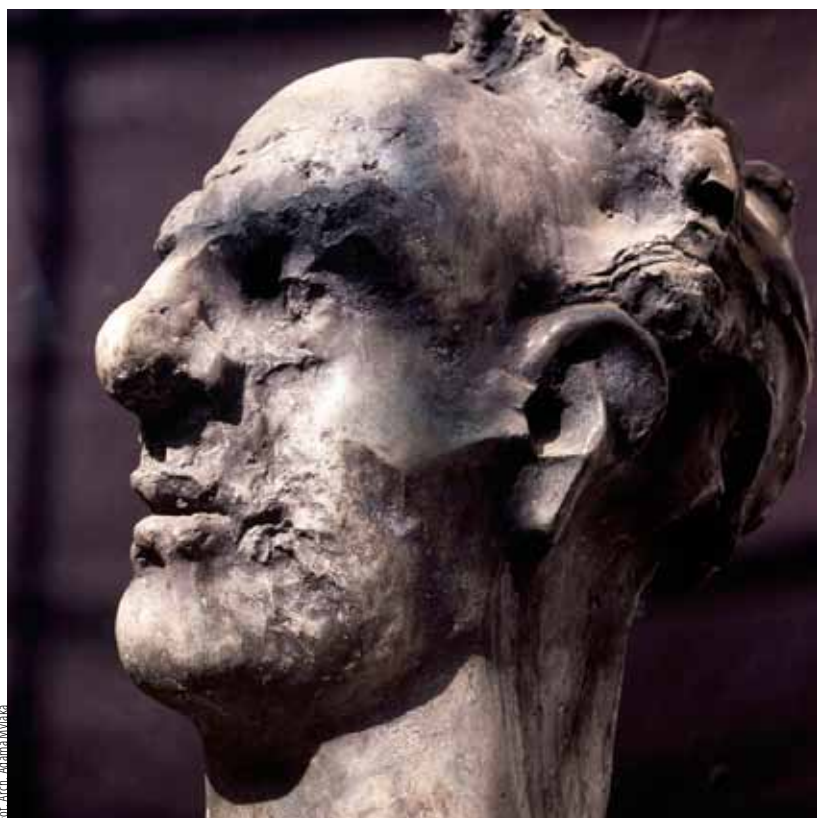
Przeoczenie?

Do końca nie wiemy, gdzie leży pies pogrzebany. Minister Gowin powiedział, że środki zostały jednorazowo przekazane do Ministerstwa Kultury, ale nie mamy pisemnej gwarancji, że to jest stały dodatek w budżecie. W skali akademii chodzi o ponad 4 miliony, w przypadku wszystkich szkół artystycznych jest to 37 milionów. A podwyżek nie można przecież cofnąć. W tej chwili walczymy, aby sprawa środków na pensje została uregulowana rozporządzeniem. Są obietnice, że może dostaniemy 20 mln do podziału na wszystkie uczelnie. Ale my co roku potrzebujemy drugie 20 mln. Mamy niepewną sytuację – koronawirus, na łeb na szyję leci gospodarka, recesja za drzwiami – nie będzie z czego brać i jak sobie poradzić. A pieniądze są w jednym worku. Jak pani widzi, trwa remont naszego budynku. Mamy środki z Unii, ale własny wkład też trzeba dołożyć.

Kolejny problem to ewaluacja, która nie uwzględnia specyfiki uczelni artystycznych. Nie znamy ekspertów – lista jest utajniona i nie wiemy, kto nas ocenia. Na pewno nie ma żadnego profesora z warszawskiej ASP. Jak eksperci mogą wartościować dorobek uczelni i poszczególnych pracowników? Dobre nazwisko samo w sobie jest oczywiste, w pozostałych przypadkach może decydować sympatia czy antypatia danego eksperta. Dlatego chcemy, żeby oni się ujawnili, aby nie było tak, że jacyś eksperci incognito mogą wszystko, bo kogoś na przykład nie lubią. Pewne anomalie były już widoczne przy parametryzacji. Nowe wydziały „przyklejone” do szkół, których nazw nie chcę podawać, dostawały kategorię A+, a wydziałom funkcjonującym w znanych uczelniach artystycznych przypadła kategoria C lub ledwo B. Tymczasem sztuki nie da się wymierzyć – matematyka czy fizyka jest wymierna, a tu wartości są płynne. Niebezpieczeństwo jest takie, że przy zaniżonej kategorii można stać się szkołą zawodową, nie wspominając już o utracie pieniędzy. Proszę sobie wyobrazić akademię w takiej sytuacji.

Zacytuję wypowiedź ministra Jarosława Gowina opublikowaną na łamach „Forum Akademickiego”: „Uczelnie, jeśli chodzi o rozwiązania statutowe, na ogół bardzo zachowawczo podchodzą do możliwości skorzystania z szerszej autonomii. Wydaje się, że większość uczelni postanowiła zachować dotychczasową strukturę”.

W przypadku dużych uczelni badawczych, podlegających MNiSW, zmiany strukturalne mają uzasadnienie, bo wiążą się z wejściem w przestrzeń zewnętrzną, we współpracę z wielkim przemysłem itd. My jesteśmy relatywnie małymi szkołami z absolutnie inną specyfiką, innymi kategoriami się posługujemy. Wydział Malarstwa i Wydział Scenografii to dwie różne rzeczywistości, choć tu i tam malarstwo jest potrzebne. Każdy wydział ma swoją specyfikę i powinien mieć swoją autonomię. Jak się zacznie mieszać, łączyć wydziały, to się kogel-mogel zrobi, naprawdę bez sensu.



Fot. Arch. Adam Wasiak



Fot. Arch. Adama Myjaka

A jak pan ocenia zmiany związane z nadaniem stopnia doktora i doktora habilitowanego?

To, że procedury przeprowadzane są wewnątrz uczelni, jest jedną z lepszych zmian. Tylko postępowania w sprawie nadania tytułu profesora przyznano Radzie Doskonałości Naukowej. Wcześniej mieliśmy Centralną Komisję – zmieniła się nazwa, dusza jest ta sama, to tak jakby człowiekowi zmienić nazwisko.

W przypadku nowej ustawy są zapisy, które każda uczelnia interpretuje inaczej, trwają dyskusje. Zajmuje nam to wszystko dużo czasu, kupę papierów musimy wytwarzać, a moglibyśmy spokojnie funkcjonować i rozwijać się jak dotąd. Możliwości były zawsze, np. wyjazdowe, potrzebne są tylko odpowiednie środki.

Jakie znaczenia miało powołanie Rady Uczelni ASP w Warszawie?

Rada ma wiele empatii dla naszej akademii. Mam nadzieję, że będzie pomagała uczelni, że będzie szukać dodatkowych środków finansowania gdzieś na zewnątrz, potrząśnie tym czy innym biznesmenem. Tak rozumiem jej sens.

Ak jak pan ocenia możliwość wpływania przez radę na politykę związaną z edukacją?

Lepiej, żeby nie wpływała, tylko wspomagała nas. Na szczęście pani Bożena Gargas z rady jest świetnym fachowcem i życzliwie pomaga nam we wszystkich strukturalnych przemianach. Mamy też osoby związane z biznesem. Znam jednak takie rady, które zaczynają wchodzić w kompetencje organów uczelni. Mówi się, że rektor powinien mieć większą decyzyjność, większą siłę działania, z drugiej strony ma nad sobą kogoś, kto go kontroluje i autonomia w pewnym momencie zaczyna się rozmywać. Nasza rada niedawno rozpoczęła swoją działalność, niedługo będą wybory. Wszystko jest płynne, jeśli nowy rektor będzie rewolucjonistą, to wiele pozmienna. Ja w tej chwili, jak pani widzi, sprzątam. Pakuję się i chcę jeszcze uporząd-

kować ostatnie sprawy, które jestem winien ludziom. Wracając do rady: gdyby narzucała nam decyzje, a potem przyszłaby kontrola finansowa, to wie pani, kto odpowiada za każdą złotówkę w akademii? Rektor. Odpowiedzialność rektora jest ogromna – odpowiada za każdy błąd, który się wydarzy, a którego osobiście nie jest w stanie przewidywać. Rada może więc doradzać rektorowi, ale nie powinna mu niczego narzucać.

Czy Ustawa 2.0 wymusiła zmiany kadrowe w akademii?

Nie, przeszliśmy przez to płynnie. Kiedyś można było mnożyć etaty, dziś jest to trochę wyhamowane, bo ewaluacja wymaga pierwszego etatu. Rzadko zgadzamy się na pracę w akademii na drugim etacie. Wykładowca powinien dokonać wyboru, gdzie woli pracować. Ranga uczelni ma tutaj swoje znaczenie. Uważam, że ważna jest możliwość zatrzymania wybitnych osobowości, które mają autorytet na rynku artystycznym. Zawsze tak było: starsi profesorowie byli prawie jak święci, byli filarami uczelni. I nie ma znaczenia, czy taki profesor ma 65 lat, czy więcej, ważne że jest obecny w życiu szkoły, że chce pracować, ma energię, zdrowie i pasję. Przecież, jak sięgniemy głęboko do historii, to w kulturze greckiej senatorami zostawali mężczyźni w podeszłym wieku, którzy nie musieli już się dorabiać, mieli doświadczenie,

mądrość i właściwą perspektywę do oceny wielu spraw. Ten głos doradczy dziś także byłby istotny, w senacie mogłyby być takie stanowiska jak honorowy profesor. Nie wszyscy do końca życia pracują twórczo. Ja akurat uwielbiam siedzieć w pracowni, nawet cieszę się na myśl, że będę miał więcej czasu. Mam co robić do końca życia. Ale są profesorowie, którzy z wielu względów poświęcili się dydaktyce, którzy żyją tą szkołą i są nam potrzebni.

Jak przebiega kształcenie w zakresie rzeźby w warszawskiej ASP w kontekście relacji pomiędzy tradycyjnymi technikami a nowymi mediami?

Są pracownie nastawione na studium natury i to jest ich podstawowe zadanie. Na początku wszyscy studenci przechodzą przez takie ćwiczenia, a później rozchodzą się do pracowni, które mają pewną specyfikę. Niektóre są związane bardziej z nowymi mediami, ale są takie, które dalej korzystają z tradycyjnego korzenia i które na przykład ja preferuję. Uważam, że sztuka jest nieprzemijająca. Ważna jest świadomość a nie narzędzie, choć obecnie obszar możliwości się poszerzył: mamy nowe sprzęty, maszyny, nowe – często lepszej jakości – materiały.

Co chciałby pan powiedzieć na zakończenie kadencji?

Dla mnie akademii jest wspaniałym miejscem. To jest nie tylko uczelnia, lecz także środowisko. Obecnie tracą rację bytu różne związki artystów plastyków, które kiedyś były bardzo mocne. Budowanie silnego środowiska, które promieniuje na zewnątrz, jest bardzo istotne. Właśnie takie zadanie sobie założyliśmy: nie tylko dydaktyka, ale również wystawy, aktywność naszych profesorów, spotkania, wyjazdy, przenikanie się różnych postaw, idei. I ważne żeby tak zostało.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Aleksandra Ziemińska-Buczyńska

Spotkajmy się w pół drogi...

Warto rozmawiać ze studentami. Wtedy łatwiej zrozumieć ich punkt widzenia, potrzeby i zainteresowania. Ale nie przyjmujemy bezkrytycznie wszystkiego, co mówią studenci.

Zapytana przez redakcję „Forum Akademickiego”, co wiemy o naszych studentach, od razu pomyślałam: „No sporo, sporo, w końcu uczyć już szesnaście lat. Mogę o tym napisać”. To było trzy tygodnie temu. A ja nadal zastanawiam się CO tak naprawdę o nich wiem? Całe moje zawodowe życie uczyłam na uczelni technicznej. Niektórzy mogliby pomyśleć, że to trochę dziwne, zważywszy na fakt, że jestem mikrobiologiem i zajmuję się ekologią drobnoustrojów. Jednak ta tematyka badań świetnie wpisuje się w aktualne trendy inżynierii środowiska i jest tam potrzebna. Dlaczego zwracam na to uwagę? Ponieważ moja specjalizacja powoduje, że współpracuję ze studentami na kierunkach, które mają sporo z „bio” wspólnego, ale studiują na uczelni technicznej i wydaje im się, że do niczego im to niepotrzebne, bo przecież będą inżynierami. Nie ma nic bardziej mylnego.

Co gorsza, mało który student zdaje sobie sprawę z tego, że wszystkie składowe studiów, stanowiące odrębne przedmioty, są im potrzebne do poznania pewnej całości, jaką jest otaczający nas świat. Szczególnie jest to widoczne w przedmiotach przyrodniczych: biologii, chemii, fizyce. Każdy przedmiot opisuje tę samą przyrodę, jednak studenci z reguły tego nie widzą. Trudno powiedzieć, na ile winni są tu wykładowcy, którzy czasem uznają to za sprawę oczywistą, a na ile fakt, że już od szkoły podstawowej młodzież uczy się osobnych przedmiotów „pod klucz”, nie łącząc ze sobą zagadnień i faktów, które tak mocno się przenikają. Przychodzą potem na studia z wiedzą poukładaną „w szufladkach”, a my oczekujemy od nich właśnie syntezy i jesteśmy rozczarowani, że nasza współpraca nie układa się tak, jak byśmy tego oczekiwali.

Z jednej strony pojawia się pytanie, czy nauczyciele akademicy powinni nadrabiać to, czego nie nauczyli niektórzy nauczyciele niższych stopni nauczania? Z drugiej strony jednak może właśnie od przekazania takiej wiedzy powinniśmy zacząć, żebyśmy mieli możliwość budowania ich dalszej edukacji.

Czyja to jest wina?

W pierwszych latach uczenia przeszło przez moje ręce bardzo wielu studentów biotechnologii, inżynierii środowiska i ochrony środowiska. Wtedy też mocno dbałam o zawodowy dystans pomiędzy mną i studentami, których uczyłam. Teraz myślę, że każdy młody nauczyciel ma obawy, czy młodszy koledzy, którzy nagle stali się jego studentami, nie spróbują „wejść mu na głowę”. Dlatego też zgodnie z podstawową zasadą dydaktyczną na początku „przykręcałam śrubę” po to, żeby pod koniec semestru móc z czystym sumieniem ją poluzować. I wbrew pozorom

właśnie wtedy miałam ze studentami dużo lepszy kontakt niż teraz. Bardzo wielu z nich właśnie z powodu tej „śruby” realizowało dodatkowe projekty naukowe, angażowało się w popularyzację nauki i działania organizacyjne, bez pytania o to, co z tego będą mieli, bo wiedzieli, że chodzi o proces uczenia się i to obustronny. Łatwiej było im się ze mną zaprzyjaźnić i odnosić wrażenie, że wtedy tego też oczekiwali.

Od dłuższej chwili jednak obserwuję z rosnącym niepokojem – i, nie ukrywam, z żalem – zwiększanie się dystansu pomiędzy mną a moimi studentami. I z przykrością odkrywam główny powód takiego stanu rzeczy. To czas. I nie chodzi tylko o to, że zwiększa się różnica wieku pomiędzy nami, choć być może zmiana światopoglądu wraz z wiekiem jest również powodem takiej sytuacji. Chodzi głównie o czas, który mogłam poświęcić na kontakt ze studentem, na rozmowę, często pozanaukową, właśnie po to, żeby go poznać, zainteresować czymś niekoniecznie związanym z przedmiotem, którego uczyłam, pomóc znaleźć interesujące go zagadnienie, nie zawsze z mojej działości. W powodzi papierologii, działań organizacyjnych, wypełniania tabel, slotów i tworzenia regulaminów brakuję mi czasu na przyjrzenie się moim studentom uważniej, porozmawianie nie tylko o ich planach badawczych, ale też może i o czymś ważniejszym, bo o rzeczach nienaukowych. Często szukam tego czasu rozpaczliwie, jednak jak bym nie liczyła, doba ma tylko 24 godziny.

Nasuwa mi się też pytanie: czy brak czasu to tylko moja wina? Chyba nie. Przyglądając się aktualnemu pierwszemu czy drugiemu rokowi widzę, że pokolenie studentów wkraczających teraz na uczelnie ma zupełnie inne priorytety niż chociażby studenci dziesięć lat temu. Co więcej, oni też nie mają czasu na zacieśnianie relacji, nie tylko z wykładowcami. Dużo częściej uspołeczniają się wirtualnie niż na żywo. Po wykładach wsiadają w swoje samochody i jadą do domu, do pracy, na drugą uczelnię. Też nie mają czasu. Wynika to między innymi z tempa życia, narzucanego przez świat, w którym żyją.

Wielu ma bardzo wysokie oczekiwania w stosunku do studiów, które realizują. Gdy się robi wiele rzeczy na raz, jakaś część życia musi na tym ucierpieć. Zazwyczaj są to relacje z innymi, w tym z wykładowcami. Na pewno bardzo wielu młodych ludzi wybiera studia po głębokim zastanowieniu nad tym tematem. Często jednak się zdarza, że pytają mnie jako wykładowcę, czy po tym kierunku będą mieć dobrą (czytaj: dobrze płatną) pracę. I w sumie słusznie, że o to pytają. Dobrze płatna praca jest jednym z celów, które mają przyświecać kończeniu dobrych studiów. Jednak z drugiej strony studia to czas, kiedy



Rys. Sławomir Makal

poszerzamy horyzonty, uczymy się nowych rzeczy, poznajemy ludzi, a zawężanie się tylko do zdobycia konkretnego zawodu jakoś mi do tej wizji nie pasuje. Skupienie na zdobyciu zawodu powoduje, że student traci wrażliwość na możliwości, które się pojawiają, jeśli patrzy się na świat z szerszej perspektywy. Tylko czy ci młodzi ludzie żyjący w obecnych czasach mogą sobie na to pozwolić?

Dużo bardziej jednak cenię sobie studentów, którzy przychodzą na uczelnię w konkretnym celu, żeby zdobyć zawód, niż takich, którzy trafiają do nas z przypadku albo za namową rodziców, pomimo zupełnie odmiennych zainteresowań. Często nie mają pomysłu na siebie, więc w taki sposób go szukają. Pół biedy, jeśli możemy im pomóc się w tym wszystkim odnaleźć i odpowiednio ich nakierować. Gorzej jednak, kiedy oni tej pomocy z różnych względów nie chcą, a na zajęcia chodzą, bo muszą. Trudno wtedy być usatysfakcjonowanym swoją pracą, jeśli widzi się mur obojętności.

Na drugą stronę mocy

W pracy ze studentami bardzo mocno zorientowanymi na cel oraz na starszych latach studiów – kiedy studenci już wiedzą, czego chcą i w czym się dobrze czują – na pewno sprawdzają się relacje partnerskie. Dają one lepsze efekty dydaktyczne, ponieważ otwieramy się na pomysły drugiej strony, co pozwala spojrzeć na naszą pracę z wielu punktów widzenia, tworząc nową jakość. Dlatego staram się takie właśnie relacje nawiązywać ze swoimi studentami dyplomowymi, a przede wszystkim z doktorantami. Oni żartobliwie nazywają to „prześciem na

drugą stronę mocy” i być może coś w tym jest. Stając w miejscu nauczyciela, doceniają podejście, które kiedyś uważali często za zbyt surowe, i widzą to, czego jako studenci nie zauważali, dzięki czemu te relacje stają się pełniejsze. Ważne jest jednak czerpanie również z ich wiedzy. Moi studenci i doktoranci posiadają niejednokrotnie bardzo obszerną wiedzę na tematy, o których ja wiem niewiele. Coraz bardziej to doceniam, ucząc się od nich i pozwalając im „zawłaszczyć sobie” pewne zakresy naszej współpracy, na których doszlifowywanie nie mam czasu lub umiejętności. W świecie wąskich specjalizacji taka współpraca jest niezwykle pożądana i efektywna.

Od kilku lat widzę wyraźnie, że wykłady „w starym stylu” to nie jest najlepsza forma uczenia. W dobie tak powszechnego dostępu do informacji, z jednoczesnym brakiem czasu na rozmowę, coraz częściej skłaniam się ku zastępowaniu tradycyjnego wykładu innymi formami interakcji ze studentami. Szczególnie wartościowe, zarówno w odczuciu moim, jak i studentów, są wszelkiego rodzaju warsztaty doskonalące wystąpienia publiczne, oparte np. na aktualnym piśmiennictwie. Wielu studentów nie lubi występować publicznie, ponieważ boi się tego, jak zostaną ocenieni przez odbiorców. Najbardziej chyba obawiają się jednak oceniania przez nauczycieli. Od początku edukacji uczą się na oceny, co zabija w nich chęć podejmowania prób w bardzo wielu aktywnościach, także w występowaniu przed publicznością.

Na szczęście coraz częściej się zdarza, że pomimo pewnych oporów wychodzą poza strefę komfortu, podejmują ryzyko i dają to naprawdę niezwykle efekty. Szczególnie kiedy stu-

denci mogą mówić o rzeczach, które ich interesują. Niekoniecznie chodzi tutaj o zagadnienia naukowe, chociaż pasje są częstym tematem naszych rozmów. Podczas takich zajęć można się dowiedzieć, czym interesują się młodzi ludzie, odkrywając jednocześnie, jak różnorodne mogą być ludzkie pasje. Od klasycznych, jak sport, książki czy malowanie, po tak niezwykłe, jak na przykład kolekcjonowanie butów sportowych.

Te opory najmniej widoczne są u studentów z zagranicy. Aktualnie na naszej uczelni mamy całkiem sporo kursów dla obcokrajowców i kontakt z nimi bardzo mocno naprowadza nas na pożądaną przez nich formę studiowania. Wystarczy o to spytać, a oni chętnie dzielą się informacjami. Takie formy warto potem wprowadzać na polskojęzycznych kursach.

Wprowadzanie koncertu życzeń

Czasami jednak mam wrażenie, że w tym wychodzeniu naprzeciw studentom posuwamy się trochę za daleko. Chcąc zainteresować tematem, zbytnio upraszczamy pewne zagadnienia, wprowadzamy coraz więcej elementów zabawy, co z reguły kończy się tak, że na egzaminie student, owszem, pamięta tę zabawę, ale już niekoniecznie konkretną informację. Staramy się mówić prosto, ale jeśli chcemy wykształcić specjalistę, to musi on posiadać sporą dawkę specjalistycznej wiedzy i operować specjalistyczną terminologią danej dziedziny.

Często zdarzało nam się pytać studentów o to, jak widzieliby swoją edukację na danym kierunku studiów. Dostawaliśmy

wtedy cały „koncert życzeń”, który próbowaliśmy chociaż częściowo wprowadzić w życie. Efekt był jednak taki, że część studentów nadal nie była zadowolona z tego, czego i jak się uczyli. Myślę więc, że w uczeniu, tak samo jak w każdej innej dziedzinie życia, trzeba znaleźć złoty środek.

Ten tekst mogłabym podsumować krótko: warto rozmawiać ze studentami. Wtedy łatwiej zrozumieć ich punkt widzenia, potrzeby i zainteresowania. Ale nie przyjmujemy wszystkiego, co mówią, bezkrytycznie. Nie próbujemy wcielać wszystkich ich pomysłów w życie, choć wydaje nam się, że w ten sposób zachęcimy ich do studiowania, wyjeżdżania, uczenia się etc. Oni to będą robić niezależnie od tego, czy będziemy ich zachęcać, czy nie. Przesiejmy ich słowa przez sito naszych doświadczeń i wiedzy, zastanówmy się wspólnie nad plusami i minusami. Postawmy jakieś racjonalne cele tej współpracy i postarajmy się spotkać w pół drogi. Wtedy mamy szansę na to, że gdzieś w złotym środku zbliżą się młodość i doświadczenie, ciekawość świata i naukowy spokój. Słowem, partnerstwo idealne, którego efekty być może zmienią świat.

Dr hab. Aleksandra Ziemińska-Buczyńska, prof. PŚ, mikrobiolog, nauczyciel akademicki, popularyzator nauki. Pracuje w Katedrze Biotechnologii Środowiskowej Wydziału Inżynierii Środowiska i Energetyki Politechniki Śląskiej. Naukowo zajmuje się badaniem zbiorowisk bakteryjnych pod kątem zależności ekologicznych i potencjału biotechnologicznego. Od 2017 roku pełni funkcję dyrektora Centrum Popularyzacji Nauki PŚ.

Odwołani rektorzy

Opisywane przez nas w poprzednich numerach sprawy rektorów PPUZ w Nowym Targu i AWFIS w Gdańsku miały w marcu swój ciąg dalszy.

Z dniem 17 marca odwołany został rektor Podhalańskiej Państwowej Uczelni Zawodowej w Nowym Targu ks. płk. rez. dr hab. Stanisław Gulak. W ocenie MNiSW były już rektor przywłaszczył sobie autorstwo fragmentów ośmiu cudzych utworów w swojej pracy habilitacyjnej będącej podstawą nadania mu stopnia naukowego. „Przywłaszczenie (...) narusza zarówno obowiązki nauczyciela akademickiego, jak i przepis ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych” – podkreślił w swoim stanowisku minister nauki, dodając, że skala i rodzaj naruszeń zostały zakwalifikowane jako rażące naruszenie prawa.

S. Gulak miał korzystać z dorobku naukowego innych osób oraz wykorzystać m.in. prace licencjackie swoich studentek w pracy habilitacyjnej, którą bronił w Katolickim Uniwersytecie w słowackim Ružomberku. Wniosek o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego wobec niego złożył na początku marca rzecznik dyscyplinarny MNiSW dr hab. Radosław Giętkowski, prof. UG. Odwołanie odbyło się po uzyskaniu pozytywnych opinii Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych. Zgodnie z ustawowymi zapisami do czasu wyboru nowego rektora jego obowiązki przejął najstarszy członek senatu – dr Halina Zięba.

Z kolei rektorem Akademii Wychowania Fizycznego i Sportu w Gdańsku przestał być dr hab. Waldemar Moska, prof. AWFIS. „Odwołanie jest związane z uprawdopodobnieniem – w toku postępowania wyjaśniającego prowadzonego przez Rzecznika Dyscyplinarnego Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego – zarzutów dotyczących wyrządzenia szkody majątkowej w uczelni oraz dopuszczenia się niewłaściwego gospodarowania majątkiem uczelni, stanowiących nadużycie udzielonych Rektorowi Akademii

Wychowania Fizycznego w Gdańsku uprawnień oraz niedopełnienie obowiązków na niego nałożonych” – poinformowało MNiSW.

Chodzi o współpracę z chińską uczelnią Beijing Sport University. W ramach sponsorowanego przez rząd Chin programu Belt and Road młodzi adepti sportu trenują i mieszkają w kampusie gdańskiej uczelni. Formalnym partnerem pekińskiego uniwersytetu jest klub sportowy AZS AWFIS, którego prezes – Waldemar Moska – miał obarczać kosztami projektu kierowaną przez siebie uczelnię. Zawiadomienia w tej sprawie trafiły do prokuratury. Śledztwo prowadzone jest w kierunku nadużycia uprawnień lub niedopełnienia obowiązków, co miało doprowadzić do wyrządzenia uczelni szkody majątkowej znacznych rozmiarów.

Moska podał się do dymisji już w październiku ub.r., ale miesiąc później w wyborach uzupełniających ponownie otrzymał mandat do sprawowania funkcji rektora. W styczniu resort nauki wszczął postępowanie wyjaśniające, w wyniku którego zarzucono rektorowi m.in. wyprowadzenie z uczelni 4,5 mln zł zysków; wyłudzenie z MNiSW 1 mln zł dofinansowania z tytułu studiowania na kierunkach anglojęzycznych studentów zagranicznych, którzy nie znali języka angielskiego; zerwanie umowy agencji lokalnego gastronomicznego na terenie uczelni, co skutkowało koniecznością wypłaty odszkodowania w wysokości ok. 100 tys. zł; wykonywanie dodatkowej pracy zarobkowej bez zgody senatu uczelni; nieuzasadnione zwolnienie wieloletnich pracowników uczelni – działaczy związku zawodowego; przypisanie sobie autorstwa części cudzych artykułów naukowych z zakresu genetyki; manipulację przy wyborach na rektora.

Od 31 marca uczelnią kieruje wybrany w styczniu rektor elekt prof. Paweł Cięszczyk.

MK

W sumie to ja zadowolony jestem

Studenci przynoszą ze sobą na studia swoje zagadki. Odkrywanie ich stanowi dla mnie największą przyjemność w pracy na uczelni. A jeśli jeszcze te odkrycia pomagają mi we wskazywaniu studentom, jak fantastyczne możliwości w nich tkwią, wówczas mam już pełnię zawodowej i takiej zwyczajnej, ludzkiej satysfakcji.

Kilka lat temu Koło Naukowe Amerikanistyki, działające w naszym Instytucie Amerikanistyki i Studiów Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, wpadło na pomysł przeprowadzenia wywiadów z kadrą akademicką. Oczywiście wywiadów, które miały pokazać „profesora z ludzką twarzą”. Ostatnie pytanie zadane przez studenta dotyczyło motta życiowego, jakiegoś sformułowania, które mogłoby podsumować dotychczasowe moje doświadczenie jako człowieka i jako nauczyciela akademickiego. Muszę przyznać, że znalazłem się w kłopotcie, bo nigdy się nad tym jakoś specjalnie nie zastanawiałem. Ale jak to zawsze bywa w życiu doświadczonych wykładowcy – ołśniła mnie myśl: „W sumie to ja zadowolony jestem”.

I to zadowolenie naprawdę rozciąga się na moje relacje ze studentami oraz doktorantami (choć ci drudzy jednak już bardziej powinni się stawać młodymi naukowcami niż tylko bardziej dojrzałymi studentami). Na szczęście zawsze daleki byłem od postawy, która na mojej macierzystej uczelni, mocno przecież zakorzenionej w historii, nadal jest nierzadko spotykana, czyli przekonania, że dawniej studenci byli lepsi, lepiej przygotowani, dojrzałsi. I w ogóle, z dawnymi studentami to jeszcze dało się coś zrobić. A teraz? No, szkoda słów. Mnie samemu mocno utkwił w pamięci pierwszy wykład z literatury romantycznej z czasów studiów teatrologicznych. Nie pozostawiano mi najmniejszych wątpliwości: kiedyś to byli studenci, a nam to może się co najwyżej wydawać, że nimi jesteśmy.

Inni ludzie

Nigdy nie miałem przekonania, że studenci, których uczę, są w jakiś sposób gorsi niż my sami byliśmy przekraczając progi uczelni. Ale z drugiej strony – nigdy nie miałem wątpliwości, że oni są inni, że mają za sobą zupełnie inne doświadczenia wyniesione ze szkoły, z liceum (a przez pewien czas i z gimna-

zjum). Kiedyś profesor Tomasz Szlendak, socjolog z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, napisał publicystyczny artykuł pod wielce wymownym tytułem *Młodzi za każdy wysiłek oczekują nagrody*. Bez użycia hermetycznego języka próbował wyjaśnić, że czasy po prostu się zmieniły. Młodzi mają za sobą zupełnie inne doświadczenie socjalizacji. Media społecznościowe stały się integralną częścią ich ścieżki rozwoju, wychowali się w świecie nieustającej interaktywności i nadmiaru bodźców. Profesor Szlendak wcale nie narzekał na studentów, z którymi musi pracować, tylko tłumaczył, dlaczego ich zachowania mogą się wydawać kompletnie nieprzystające do szacownej instytucji uniwersytetu. Po prostu – to są inni ludzie. Z zupełnie innymi możliwościami, ale i z zupełnie innymi ograniczeniami.

Kiedy dziesięć lat temu spędzałem pracowite akademickie wakacje na York University w Toronto, opiekujący się moim pobytem profesor Paul Axelrod, były dziekan Wydziału Edukacji tego uniwersytetu, opowiadał mi o zmianach, jakie zaszły w kanadyjskich uczelniach. W XXI wieku studenci coraz częściej mają problemy natury językowej – to poziom ich angielskiego, a niekoniecznie trudność materiału, bywa powodem milczenia grupy w czasie ćwiczeń. Coraz częściej w ramach orientation week, czyli kilku dni na początku nauki poświęconych wprowadzeniu w życie uniwersyteckie, muszą organizować specjalną część przeznaczoną dla rodziców. Bo skoro oni pokrywają czesne, to domagają się wytłumaczenia, na czym mają polegać studia i czego będzie się wymagać od ich pociech (przynajmniej w teorii dorosłych). Mówił, że coraz częściej rodzice domagają się czegoś na kształt wywiadówek, co o tyle ma sens, że sami studenci potrafią wykazywać się daleko idącą niedojrzałością. I na zakończenie dodał, że nam w Polsce może się wydawać, że to nie jest nasz problem, że u nas to się nie wydarzy. Wydarzy się, bo w ramach globalnej modernizacji społec-



Fot. Stefan Ciechan

czeństwa w każdym zakątku świata uczelnie będą doświadczać podobnych przemian.

Pomimo wiedzy wyniesionej z pobytów badawczych w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie i mojego głębokiego przekonania, że fala przetaczająca się przez Amerykę Północną dotrze i do nas, nie wprowadziliśmy w Instytucie Amerykanistyki i Studiów Polonijnych wywiadówek. Przynajmniej na razie. Choć coraz częściej rodzice chcieliby się dowiedzieć czegoś o postępach nauki swoich dzieci, choć bywa, że przychodzą ze swoimi dorosłymi dziećmi załatwiać różne mniej i bardziej skomplikowane sprawy. Na szczęście w Polsce mocno broni nas RODO, które gdzieś tam bywa prawdziwą zmurą. Ale w tym przypadku zawsze możemy (i powinniśmy) się bronić, bo to jest nasza wiedza o ich dzieciach, które muszą kiedyś zacząć żyć na własny rachunek.

Każdy ze swoją historią

Uczenie się życiowej samodzielności to trudny proces. I nie ze względu na dociekliwość rodziców, lecz ze względu na moje własne przekonania staram się dowiedzieć jak najwięcej o moich studentach. Bardzo łatwo mi zauważyć, że są zupełnie inni niż ja zaczynający swoje studia trzydzieści lat temu; są zupełnie inni niż ci, który swoje studia skończyli piętnaście lat temu. Ponieważ nie pochodzę z Krakowa, a skończyłem polonistykę (za moich czasów teatrologia była tylko specjalnością na filologii polskiej), to ze sporą łatwością przychodzi mi rozpoznać, z jakiego regionu naszego kraju pochodzą uczestnicy moich zajęć. A choć ta wiedza zasadniczo nie jest do niczego potrzebna, to jednak sprawia, że studenci nie są jedynie częścią kolejnych nauczanych przeze mnie lat, tylko stają się osobami, które przyszły na nasze studia, każda ze swoją odrębną historią.

Dla mego własnego rozumienia tego, w jaki sposób można nawiązywać relacje ze studentami, pomocne są wspomniane wcześniej studia teatrologiczne. W dosyć prosty sposób można wyjaśnić, na czym polega różnica między złym a dobrym aktorem. Zły aktor jest mocno schematyczny, brakuje mu autoironii rozumianej jako krytyczne spojrzenie na samego siebie i najczęściej nie potrafi znaleźć umiaru w sposobie mówienia i poruszania się po scenie. Ale wyjaśnić, w czym tkwi różnica pomiędzy aktorem wybitnym a po prostu dobrym – o, tu już pojawia się poważny kłopot. Bo zazwyczaj decyduje o tym połączenie wielu niuansów tak drobnych, że trudno je wszystkie zauważyć i nazwać.

I podobnie jest w budowaniu relacji ze studentami. Łatwo wskazać, kto nie potrafi przełamać oczywistej bariery pojawiającej się pomiędzy profesorami a studentami. Trudno jednak wyjaśnić, od czego zależy tajemnicza umiejętność przekraczania tej bariery. Kluczowe, moim zdaniem, jest rzeczywiste zaciekawienie tymi, którzy pojawiają się na naszych zajęciach. Amerykanie mają bardzo miły zwyczaj organizowania pod koniec semestru pizza party. Pizza nie jest najbardziej typowym polskim daniem, ale bigosu bym raczej nie zaryzykował, dlatego najczęściej wybieram jakieś słodkości. To są nasze ostatnie zajęcia i chociaż bywa, że muszę jeszcze o czymś opowiedzieć albo coś jeszcze należy przedyskutować, to jednak w mniej formalnej atmosferze wspólnego objadania się słodyczkami łatwiej przejść od rozmowy o amerykańskiej polityce wobec szkolnictwa wyższego czy najnowszych przedstawieniach broadwayowskich do opowiadania o tym, co jest przecież najważniejsze, czyli o życiu.

Jeśli mam ćwiczenia, to wspominając swoje własne doświadczenie studiowania, zawsze staram się zaprosić studentów na tak zwaną kawę. Z pełnymi konsekwencjami znaczenia sformułowania „zaprosić studentów”. Układ jest prosty: oni wybierają miejsce, ale ja płacę. Nigdy nie żałowałem tych dziewięć-

dziesięciu minut spędzonych w jednym z licznych krakowskich lokali (choć zazwyczaj mamy swoje ulubione lub wręcz oczywiste wybory). To właśnie wtedy ich studiowanie nabiera najbardziej ludzkiego wymiaru. Wiem, z kim wynajmują pokój, co lubią gotować, co ich zainteresowało na tyle mocno, że zdecydowali się studiować amerykańnistykę. I oczywiście nigdy tego studentom nie powiem, bo to zabiłoby więcej niż połowę przyjemności ze wspólnego wyjścia na kawę, ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że właśnie wtedy najłatwiej osiągnąć zakładane w programie studiów „efekty uczenia się w zakresie kompetencji społecznych”.

Studia są dla ludzi

Od dawna żyję w przekonaniu, że na studiach powinniśmy kształcić nie przyszłych absolwentów wyposażonych w kompetencje poszukiwane na rynku pracy, ale ludzi. Mógłbym się tutaj odwołać do wielu publikacji, które wskazują, że uczelnie powinny przede wszystkim kształcić obywateli potrafiących zatroszczyć się o losy demokracji, najbliższego regionu, ojczyzny i całego świata. Ale nawet brak rozbudowanej bibliografii nie powinien przeszkodzić w zauważeniu, że studia są dla ludzi. I że to ludzie powinni je kończyć. Bynajmniej nie zredukowani do bycia absolwentem tego czy innego kierunku.

Może to doświadczenia wyjazdów do Stanów Zjednoczonych i Kanady sprawiły, że nigdy nie miałem obaw, by wyjść do studentów, by ich zapytać o sprawy dotyczące studiów i ze studiami niemające nic wspólnego. Nie miałem obaw, aby w czasie przerwy między zajęciami podzielić się z kimś uwagą, że dzisiaj na lunch mam dokładnie taką samą sałatkę. I znowu – może to właśnie kierunek studiów w instytucie nas do tego przygotował, ale organizowane przez koło naukowe imprezy, takie jak Thanksgiving czy Halloween Party, są znakomitą okazją, aby poza murami uczelni porozmawiać o sprawach absolutnie nieakademickich i z grubsza nienaukowych. Organizatorami tych zabaw są nasi studenci, co jest najlepszym dowodem na to, że studenci oczekują form bezpośredniego kontaktu.

Czy w ten sposób zdobyta wiedza się do czegoś przydaje? Z pewnością nie przekłada się wprost na pracę moją i moich kolegów. Nadaje jednak zdecydowanie ludzkiego wymiaru procesowi studiowania. Myślę, że nie tylko nam łatwiej jest wówczas dojrzeć w studentach ludzi z różnymi problemami, ale także z ambicjami i marzeniami. A i my przestajemy być jedynie bezosobowymi, pozbawionymi wyrazu etatowymi „nada-waczami”. Nie wiem, czy w ten sposób buduje się rzeczywiste relacje partnerskie, ale myślę, że każdemu jest milej uczyć się nie w anonimowej grupie osób, które ledwo się zna. Studenci przynoszą ze sobą na studia swoje zagadki. Odkrywanie ich stanowi dla mnie największą przyjemność w pracy na uczelni. A jeśli jeszcze te odkrycia pomagają mi we wskazywaniu studentom, jak fantastyczne możliwości w nich tkwią, wówczas mam już pełnię zawodowej i takiej zwyczajnej, ludzkiej satysfakcji.

Na zakończenie muszę dorzucić jedną uwagę. Kiedy mój genialny student obronił już swoją pracę magisterską i został przyjęty na studia doktoranckie, zaproponowałem mu, by zaczął do mnie mówić po imieniu. Nie przystał jednak na tę propozycję, więc nadal jestem „panem profesorem”. Ja w stosunku do studentów też wolę formy „pani” i „pan”. Pozostanie przy zasadach dobrego wychowania absolutnie nie musi oznaczać podtrzymywania hierarchii i wzmacniania barier. Wystarczy nie bać się studentów. I po prostu ich lubić.

Dr hab. Radosław Rybowski, prof. UJ, badacz amerykańskiego szkolnictwa wyższego, dyrektor Instytutu Amerykanistyki i Studiów Polonijnych UJ

Anna Sajdak-Burska

Jakie są nasze Maleństwa?

Od momentu, kiedy z Redakcji przyszło zaproszenie do podzielenia się z Czytelnikami refleksją na temat tego, co wiemy o naszych studentach i jak tę wiedzę możemy spożytkować, rozpoczął się we mnie proces nieustającej konfrontacji z samą sobą i z myśleniem o sobie jako nauczycielu akademickim.

Co my, nauczyciele akademicy wiemy o swoich studentach? Swojej ewentualnej niewiedzy nie możemy już schować za argumentem masowości studiów. Powoli sytuacja na uczelniach wraca do akceptowalnej normy, coraz częściej na zajęciach możemy pracować w małych grupach. Tylko co o tych studentach wiemy? Czy jesteśmy ciekawi ich świata? Czy dokonujemy wysiłku, by wejść w tę przestrzeń? A może to zupełnie niepotrzebne? Myślę, że warto się nad tym zastanowić. Wszak w poszukiwaniu doskonałości naukowej uruchamiamy programy, mechanizmy nastawione na poszukiwanie i rozwój utalentowanych studentów i doktorantów. Zakładamy, że nowoczesność kształcenia polega nie tylko na umiędzynarodowieniu programów, zwiększeniu interdyscyplinarności, wprowadzeniu nowoczesnych modeli dydaktycznych, ale także na udziale młodych ludzi w projektach społecznych. Student stał się w uczelni ważny, a ową ważność wyznacza już nie rachunek ekonomiczny, lecz przede wszystkim jego dobrze wykorzystany i wspierany potencjał, dzięki któremu ma szansę dołączyć do najlepszych zespołów badawczych.

Co zatem wiemy o naszych studentach? Jacy są? Wielokrotnie spotykam się z opiniami, że obecne pokolenie młodzieży jest egoistyczne, zapatrzone w siebie i w swoje potrzeby, chce jak najmniejszym kosztem przejść przez studia, nie chce się uczyć, bo przecież pracuje, na uczelni woli drogę na skróty, i że właśnie dlatego trzeba studentów nieustająco kontrolować, sprawdzać, rozliczać, pilnować, egzekwować zadania i w żaden sposób im nie ufać. Za każdym razem, kiedy słyszę takie wypowiedzi, reaguję sprzeciwem. Od niemal dwudziestu pięciu lat mam szczęście spotykać młodych ludzi zaangażowanych w wiele projektów naukowych i społecznych, ciekawych świata, zdolnych do podejmowania działań niestandardowych i bezinteresownych. Działając pozaformalnie i formalnie, np. w kołach naukowych, nie tylko zajmują się aktywnością naukową, lecz także organizują akcje charytatywne, działają wolontaryjnie, angażują się na rzecz innych. Są przy tym pełni pasji i własnych pomysłów. Może to specyfika kształcenia na kierunkach społecznych, jednak myślę, że na każdym kierunku, w każdym obszarze kształcenia są takie osoby, choć ich aktywność może nie być widoczna. Trzeba je tylko chcieć zauważyć i wykorzystać tkwiący w nich potencjał.

Dobrze poznać ucznia

Od momentu, kiedy z Redakcji przyszło zaproszenie do podzielenia się z Czytelnikami refleksją na temat tego, co wiemy

o naszych studentach i jak tę wiedzę możemy spożytkować, rozpoczął się we mnie proces nieustającej konfrontacji z samą sobą i z myśleniem o sobie jako nauczycielu akademickim. I kiedy tak sobie o tym rozmyślałam, przypomniał mi się jeden z zabawnych esejów pedagogicznych Klemensa Stróżyńskiego, w których autor, wykorzystując figury Kubusia Puchatka i jego przyjaciół ze Stumilowego Lasu, w zabawny, ironiczny, a zarazem gorzki sposób przedstawia przywary polskiej edukacji. W jednym z archiwalnych już numerów czasopisma dla nauczycieli („Nowa Szkoła” 02/2003) znaleźć można krótki tekst zatytułowany *Jakie jest to Maleństwo?* Do całej serii esejów odsyłam zainteresowanych Czytelników, a ten jeden postaram się pokrótce streścić.

Otóż, wykorzystując przerwę międzysemestralną w szkole, zaplanowano konferencję poświęconą refleksji pedagogicznej, wpisującą się oczywiście w przysłany z kuratorium priorytet „Szkoła dla ucznia”. Na konferencję zaproszony został gość z kuratorium w osobie Sowy – starszej kurator, która wprowadziła zgromadzonych w problematykę „wspierania rozwoju ucznia”, „wychodzenia naprzeciw indywidualnym potrzebom ucznia” oraz „zasad indywidualizacji”. Konferencja przebiegała dość gładko, wszyscy ze zrozumieniem potakiwali głowami. Wystąpienie władzy ośmielił się jednak przerwać w pewnym momencie Królik, który zwrócił uwagę, że w ich szkole zasada indywidualizacji jest nie tylko konieczna, ale nawet nieunikniona, gdyż w szkole jest tylko jeden uczeń w osobie Maleństwa. Uwaga ta wprowadziła Kurator w chwilowe zakłopotanie, które szybko jednak opanowała. Sowa zwróciła słuchaczom uwagę, iż formalna strona rzeczywistości może nas zwodzić, gdyż aby dostosować swe czynności dydaktyczne do osobistych potrzeb i możliwości ucznia, trzeba w pierw tego ucznia dobrze poznać. Po czym zaczęła przepytwać poszczególnych nauczycieli, co wiedzą o Maleństwie. I tak Kłapouchy stwierdził, że Maleństwo jest powolne, najbardziej lubi oset oraz siedzieć pod dębem i medytować, boi się natomiast tego, że wszyscy zapomną o jego urodzinach, jest z natury pesymistyczne i wyczekuje ciagle zbliżającego się nieszczęścia. Królik powiedział z kolei, że Maleństwo jest bardzo ruchliwe, energiczne, pracowite, uwielbia kapustę, niczego się nie boi, bardzo lubi majsterkować. Prosiaczek uznał natomiast, iż ich uczeń lubi żołądźcie, boi się jednak wszystkiego, zwłaszcza większych od siebie zwierząt. Oburzona Kurator przerwała odpytywanie i wygłaszając moralizatorską mowę na temat przypisywania własnych cech drugiej

osobie, kazała nauczycielom szkoły poświęcić dwa najbliższe miesiące na poznanie ucznia, po czym... odleciała. Z obrotu spraw bardzo ucieszył się Puchatek, do którego nie zdążyła dojść kolejka, a który już był przygotowany, by powiedzieć, iż Maleństwo uwielbia miód i interesuje się życiem pszczół.

Na tym kończy się ta historyjka, ale w tle pozostaje pytanie: jacy są nasi studenci?

Trzy sposoby budowania relacji

To, czy coś o studentach wiemy, zależy w dużej mierze od tego, czy w ogóle chcemy czegoś się o nich dowiedzieć, czy też traktujemy ich jak jedną masę płynącą strumieniem przez sale wykładowe. Adekwatnie do naszych wizji edukacji akademickiej budujemy ze studentami różne relacje. Analiza badań w obszarze dydaktyki akademickiej pokazuje, że można wskazać przynajmniej trzy sposoby budowania relacji ze studentami: relację „tradycyjną”, opartą na dyrektywnej i podmiotowej postawie nauczyciela akademickiego, relację humanistyczną – „terapeutyczną”, opartą na postawie wspierania studenta w jego rozwoju, oraz relację „partnerską”, opartą na postawie współdziałania dwóch podmiotów akademickich. Przyjrzyjmy się im bliżej przez optykę szansy, jaką tworzą dla znalezienia odpowiedzi na pytanie, jacy są nasi studenci.

Obserwacja polskiej rzeczywistości akademickiej podpowiada, że najbardziej rozpowszechniony rodzaj relacji pomiędzy nauczycielem akademickim a studentem jest mocno nazna-

czony podejściem tradycyjnym, opartym na narzuconym autorytecie nauczyciela. Dzieje się tak pewnie dlatego, że jest to model ugruntowany historycznie, oparty na dominującej, uprzywilejowanej pod każdym względem pozycji nauczyciela wykładającego swój przedmiot *ex cathedra*. W nauce, w dydaktyce akademickiej model ten opisywany jest jako np. paradygmat learning, podejście skoncentrowane na nauczycielu i treściach (Teacher Centered Approach) lub paradygmat behawiorystyczny, transmisyjny czy też normatywny, w których wyraźnie zarysowana jest struktura formalnych zależności. Potocznie jednak bywa określany przez samych akademików jako swego rodzaju „porządek dziobania”, w którym student znajduje się na dole hierarchii. To nauczyciel akademicki inicjuje proces komunikacji interpersonalnej czy współdziałania dydaktycznego, to on zadaje pytania, określa ramy aktywności studenta. Pytania zadawane przez nauczyciela mają najczęściej postać „odpytywania” z zadanego materiału, przerabianych treści czy rozwiązanych zadań. Przedmiotem rozmowy, komunikacji są jedynie aspekty ważne z punktu widzenia realizacji programu danego przedmiotu. Tak budowana relacja nie służy poznaniu studenta poza tym, co jest wymagane programem, zatem nauczyciel rzadko ma szansę dowiedzieć się czegoś o swoich studentach ponad to, czy uczęszczają na zajęcia i jakie osiągają wyniki. Reszta go po prostu nie interesuje.

Na przeciwległym biegunie relacji tradycyjnej stoi relacja humanistyczna, nazwijmy ją „terapeutyczną”, gdyż jej teore-

Rys. Sławomir Makal



tyczne ugruntowanie wywodzi się właśnie z terapii psychologicznej. W świecie akademickiego kształcenia znajduje swoje obrazowanie w różnych modelach związanych z tutoringami akademickim, tutoringami rozwojowym, coachingiem, mentoringiem, sprawowaniem indywidualnej opieki nad studentem, doradztwem psychologicznym, pedagogicznym i innych formach wykorzystujących podejście skoncentrowane na osobie (Person Centered Approach). Istotą modelu humanistycznego, terapeutycznego jest jego niedyrektywność. Nauczyciel akademicki, budując relacje, ma ułatwiać studentowi proces poznawania siebie, odkrywania własnego potencjału, proces rozpoznawania własnych potrzeb edukacyjnych, ma wspierać (nie wyznaczać, nie narzucać) procesy projektowania aktywności naukowej, pomagać w identyfikowaniu ewentualnych utrudnień i przeszkód, wspierać motywację uczenia się, aktywnie słuchać i udzielać informacji zwrotnych ułatwiających studentowi rozpoznanie osiągniętych celów i wyznaczanie kolejnych. Taki rodzaj relacji wymaga od nauczyciela o wiele więcej niż tylko kompetencji merytorycznych i metodologicznych, wymaga solidnego przygotowania psychologicznego i pedagogicznego.

Możliwość pojawienia się buntu i oporu

Ale to właśnie ci nauczyciele najwięcej wiedzą o swoich studentach. Znają nierzadko ich sytuację rodzinną, osobistą, ich motywacje, dylematy, autentyczne trudności, jak też możliwości, o które nikt inny danej osoby nawet nie podejrzewa. Mam szczęście znać paru takich nauczycieli. Nie lekceważyłabym tego typu myślenia o edukacji akademickiej, gdyż po pierwsze jest filarem kształcenia osób dorosłych, po drugie znakomicie nadaje się do pracy z osobami utalentowanymi, a po trzecie gwałtownie wzrasta liczba studentów, którzy znajdują się w szczególnej sytuacji zdrowotnej (zróżnicowanej kondycji fizycznej i psychicznej) i właśnie z tego powodu potrzebują swobodnego, indywidualnego wsparcia edukacyjnego.

Trzeci, najbardziej zróżnicowany typ relacji, określanej potocznie jako demokratycznej czy partnerskiej, promowanej jest przez nowoczesne ujęcia procesu kształcenia akademickiego, związane z paradygmatem konstruktywistycznym (w odmianie psychologicznej, społeczno-kulturowej i krytycznej) czy podejściem skoncentrowanym na studencie (Student Centered Approach). Punktem wyjścia do działania dla konstruktywistycznego nauczyciela akademickiego jest poznanie osoby uczącej się, jej dotychczasowej wiedzy, tzw. przedwiedzy, jej doświadczeń ważnych z punktu widzenia kształcenia, jej możliwości poznawczych i społecznych po to, by adekwatnie do nich budować zajęcia, na których studenci zetkną się z problemami, które będą miały moc rozwojową, tzn. będą autentycznym wyzwaniem, trudnym, ale możliwym do realizacji. Ważne zatem staje się dla każdego kursu, kto na niego przychodzi i jakie zasoby przynosi. W toku procesu kształcenia nauczyciele ci pełnią rolę bardziej aktywnych trenerów niż nauczających, wykorzystują aktywne działanie i współdziałanie, które zakłada również możliwość pojawienia się buntu i oporu. By tworzyć wspólnotę uczących się, dystans pomiędzy nauczycielem a studentem musi zostać skrócony. Na marginesie zauważmy, jak bardzo sprzyja takiej komunikacji język angielski; na szczęście nie w samej formie zwracania się do nauczyciela i studenta tkwi istota stylu demokratycznego, partnerskiego.

Jakie mają plany, jakiej muzyki słuchają

W czym znajomość studenta nam pomaga? Jak możemy tę wiedzę spożytkować w procesie kształcenia? Przychoǳą mi na myśl dwa pomysły. Pierwszym z nich jest praca w ramach seminarium dyplomowego i magisterskiego. I tu posłużę się

własnym doświadczeniem. Niemal cały semestr pierwszego roku seminarium poświęcam na to, by studenci zaprezentowali swoje pasje, zainteresowania i doświadczenia. Przynoszą więc książki, które ich poruszają, które są dla nich ważne, opowiadają o tym, co w życiu robią, czym się zajmują, jakie mają plany, jakiej muzyki słuchają, co robią w czasie wolnym. Nierzadko pokazują zdjęcia, prezentują osobiste materiały różnego rodzaju. Rozmawiamy, rozmawiamy, rozmawiamy. Przekonałam się już wielokrotnie, że niemal wszystko można przekuć na dobry temat pracy magisterskiej, że niemal w każdym pozornie odległym zainteresowaniu, w każdej książce, w każdym doświadczeniu można znaleźć coś, co stanie się pomostem do odkrycia tego, co interesuje młodego człowieka w studiowanej dyscyplinie i rzeczywistości, którą opisuje. Nic bardziej nie motywuje do pracy, do studiowania, projektowania i prowadzenia badań niż fakt, iż badany problem wynika bezpośrednio z zainteresowań i doświadczeń samego studenta. Zdaję sobie sprawę z tego, że to dar specyfiki kształcenia na kierunkach społecznych czy humanistycznych, ale mechanizm wprowadzania i zakotwiczenia badań w zainteresowaniach studenta ma, moim zdaniem, charakter uniwersalny.

Drugi pomysł polega na tym, by proces poznawania studenta i towarzyszenie jego rozwojowi uczynić częścią programu studiów. Idea ta znalazła swoje zobrazowanie w zaprojektowanych przez mój zespół i utworzonych od tego roku jednolitych, pięcioletnich studiach magisterskich na kierunku pedagogika przedszkolna i wczesnoszkolna w Uniwersytecie Jagiellońskim. Otóż, wychodząc z konkretnej koncepcji teoretycznej, postawiliśmy na kształcenie przyszłego nauczyciela, który będzie dysponował nie tylko ugruntowaną akademię, interdyscyplinarną wiedzą merytoryczną, nie tylko kompetencjami dydaktycznymi, metodycznymi, ale także będzie refleksyjnym praktykiem o szerokich kompetencjach społecznych inter i intrapersonalnych oraz będzie Osobą, która w toku studiów świadomie zainwestuje w swój rozwój, traktując zasoby własne jako swoiste instrumentarium. I właśnie do realizacji tego ostatniego celu ma służyć pięcioletni tutoring rozwojowy dokumentowany m.in. w portfolio, w którym mogą się znaleźć ślady wszelkiego rodzaju aktywności studenta realizowanych poza uczelnią, np. wolontariatów, akcji społecznych, odbytych kursów, zdobytych uprawnień, ale też refleksji nad obejrzanymi spektaklami, wysłuchanymi koncertami, przeczytanymi książkami itd. Portfolio ma służyć rozwojowi oraz refleksji i wglądowi w siebie. Student wspomnianych studiów ma możliwość zagospodarowania własną aktywnością aż 25 punktów ECTS, co daje przestrzeń od 625 do 750 godzin przeznaczonych na rozwijanie w sobie pasji związanych z teatrem, filmem, muzyką, muzealnictwem, sztuką nowoczesną, literaturą, poezją i dziesiątkiem innych obszarów inwestowania we własne zasoby.

Proces kształcenia (nawet na kierunkach, które są objęte ministerialnym standardem kształcenia) nie powinien być matrycją włączającą absolwentów w gotowe formy, powinien dać im natomiast przestrzeń rozwoju. Jestem głęboko przekonana, że świadome towarzyszenie studentowi w jego rozwoju, np. w postaci tutoringów, oraz zaproponowanie mu portfolio jako metody gromadzenia danych, które poddawane są nieustająco refleksji, może mieć szereg pozytywnych efektów związanych zarówno z wyszukiwaniem talentów, jak i potwierdzeniem przez uczelnię szeregu kompetencji społecznych, zdobytych poza formalną ścieżką kształcenia.

Dr hab. Anna Sajdak-Burska, prof. UJ, kierownik programu doktorskiego Szkoły Doktorskiej Nauk Społecznych UJ w dyscyplinie pedagogika, kierownik Zakładu Pedagogiki Szkolnej i Dydaktyki Akademickiej w Instytucie Pedagogiki na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego

Cisi bohaterowie

Liczę na to, że w sytuacji, w której każdy z nas drży o zdrowie i życie bliskich, nauczymy się dostrzegać to, co w relacjach międzyludzkich najważniejsze, odejdziemy od obłądnej logiki absolutyzującej na uczelniach suche przepisy prawa i dostrzeżemy, że jesteśmy przede wszystkim ludźmi i po ludzku musimy się do siebie odnosić.

Pracownikom dziekanatów Studium Magisterskiego i Licencjackiego Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, bez których sprawne funkcjonowanie uczelni nie byłoby możliwe

Kiedy w połowie lutego zostałem poproszony przez zespół redakcyjny „Forum Akademickiego” o podzielenie się refleksjami dotyczącymi relacji ze studentami, nikt nie mógł przypuszczać, że miesiąc później będziemy wszyscy tkwili w środku pandemii COVID-19, a słowo „koronawirus” będzie odmieniane przez wszystkie przypadki. W tej sytuacji rodzi się pokusa, żeby – używając górnolotnych słów – wszystkie inne sprawy przesunąć na plan dalszy. Wydaje mi się jednak, że nie byłoby to właściwe podejście. Sytuacje nadzwyczajne albo nawet kryzysy (a bieżąca sytuacja absolutnie uzasadnia w moim mniemaniu takie słowo) nie tyle całkowicie zmieniają naszą sytuację, ile uwypuklają znaczenie najważniejszych elementów wpływających również w standardowych warunkach na nasze postępowanie. Tym samym pytanie o to, co wiemy o naszych studentach, ważne i istotne w toku codziennej pracy każdego wykładowcy i dziekana, staje się absolutnie kluczowe w momencie podjęcia tak niestandardowych działań, do jakich zostaliśmy zmuszeni w drugiej połowie marca. W tym kontekście chciałbym zwrócić uwagę na grupę ludzi, dzięki którym nasza praca i kontakty ze studentami stają się znacznie łatwiejsze i których – szczególnie w świetle zadań, jakie zostały na nich nałożone w ostatnich dniach – nie waham się określić inaczej, niż jako „cichych bohaterów”.

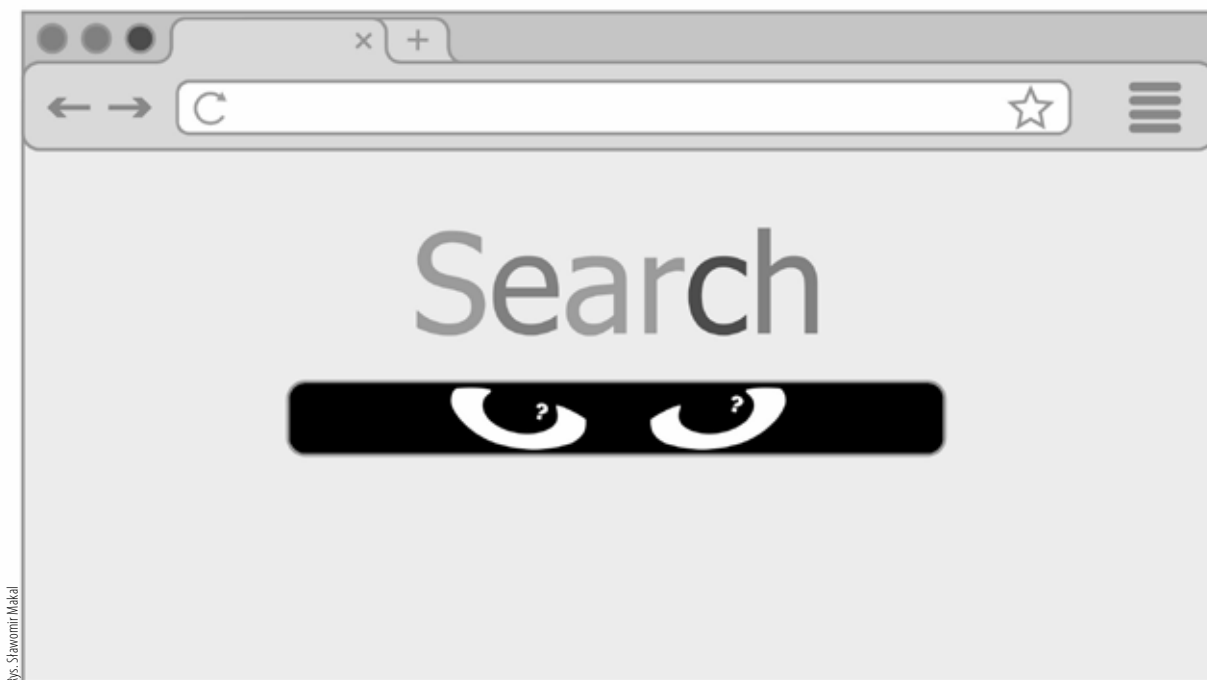
Tak, chodzi mi o obsługę dziekanatów, te przysłowiowe „panie z dziekanatu” (choć coraz częściej studenci w okienkach mogą spotkać również mężczyzn), dzięki którym praca dziekanów i wykładowców jest dużo łatwiejsza i ktorzy najlepiej znają naszych studentów. Nie ma się bowiem co oszukiwać, anonimizacja kontaktów pomiędzy wykładowcami i studentami jest coraz większa. Dużo mówimy o relacji uczeń–mistrz, ale w rzeczywistości, w której na mój wykład zapisanych jest nawet sto pięćdziesiąt osób, trudno nawiązać bliższy kontakt, który umożliwiłby lepsze poznanie słuchaczy. Nawet jeżeli przychodzić oni na nasze konsultacje i dyżury, to koncentrują się na merytorycznej stronie zajęć, nie zostawiając miejsca na rozmowy o życiu, swojej przeszłości, planach czy sprawach bytowych. Niestety, również praca z dyplomantami (ktorzy pod naszą opieką piszą prace licencjackie i magisterskie) jest pozbawiona tego elementu, studenci trzeciego roku studiów licencjackich i drugiego magisterskich najczęściej już pracują i nie

mają czasu na nic innego jak tylko ściśle ograniczone zakresem pisanej pracy zajęcia. Z kolei na dyżur dziekański przychodzą najczęściej (albo niemal wyłącznie) osoby, które mają mniej lub bardziej poważny problem. Owszem, w takiej sytuacji rozmowy wychodzą poza obszary ściśle określone planem i programem studiów, ale ich kontekst narzuca pewną formalizację relacji i uniemożliwia całkowicie swobodną rozmowę.

Widzimy nie sprawę, lecz człowieka

W takiej sytuacji kluczową rolę odrywają asystenci poszczególnych toków studiów, ktorzy stają się najlepszymi adwokatami studentów i ich spraw. To z nimi przecież studenci stykają się na co dzień, to oni doradzają, jakie podanie złożyć, do kogo przyjść na dyżur, a nierzadko wspólnie ze studentem – tam gdzie to jest możliwe – dokonują wyboru zajęć czy wykładowców. To „osoby z okienka” wiedzą o studenckich chorobach, ich trudnej sytuacji osobistej, utracie pracy lub mieszkania, które zagrażają płynności finansowej i mogą uniemożliwić opłatę czesnego. My – wykładowcy i dziekani – o tym wszystkim nie wiemy, koncentrujemy się na formalnej stronie relacji z naszymi podopiecznymi, zmuszani do tego zjawiskiem, które zwykle określamy jako postępującą jurydyzację stosunków pomiędzy uniwersytetem (kadrami naukowo-dydaktyczną) i studentami. Związani regulaminami, statutem i KPA nie możemy dostrzec za kolejnym przypadkiem składającym podanie o warunkowe zaliczenie semestru, jego powtarzanie albo urlop dziekański konkretnego człowieka z jego złożoną historią, a w przypadku studentów z zagranicy – odmiennymi zwyczajami czy barierą językową. To, że ostatecznie, rozpatrując kolejne podanie lub rozmawiając w czasie dyżuru z kolejnymi wchodzącymi osobami, widzimy nie sprawę, lecz człowieka, jest właśnie zasługą pracowników dziekanatu. Ci cisi bohaterowie pozwalają na humanizację stosunków pomiędzy kadrami akademicką a studentami, dostarczają nam niezbędnej wiedzy na ich temat i jakże często walczą w ich imieniu o korzystną decyzję dziekańską, wskazując na szczególne okoliczności sprawy konkretnego człowieka, a nie tylko studenta o numerze albumu xxx.

Jeszcze cenniejsza jest ich praca w chwili obecnej, kiedy zmuszeni przez szybkie rozprzestrzenianie koronawirusa, zawiesiliśmy standardowe zajęcia i dyżury dziekańskie. Pracując zdalnie



Rys. Sławomir Makal

i organizując wykłady, seminaria i ćwiczenia za pomocą aplikacji informatycznych, często zapominamy, że pracownicy dziekanatów wciąż zajmują swoje stanowiska pracy i zapewniają ich sprawną obsługę. Nierzadko z narażeniem zdrowia przyjeżdżają na uczelnię i tkwią dzielnie przy biurkach, ryzykując – jakkolwiek górnolotnie by to nie brzmiało – że zarażą koronawirusem siebie lub swoich bliskich, wystawiając na hazard nawet życie. Owszem, podania mogą wpłynąć drogą elektroniczną, ze studentami można porozmawiać przez telefon lub wideo chat, ale wiedza, która kryje się w głowach pracowników i prowadzonej przez nich dokumentacji (wciąż papierowej niestety, a zatem pozostającej poza dostępem zdalnej pracy), pozostaje na wagę złota. To oni, przekazując nam mailowo podania, przemycają informacje, które pozwalają na całościowy ogląd każdej rozpatrywanej sytuacji, odbierają telefony i czytają pocztę elektroniczną, filtrując strumień podań w taki sposób, aby trafiały do nas sprawy najważniejsze. Opatrują studenckie prośby komentarzami pozwalającymi na podejmowanie przez nas nie tylko trafnych i zgodnych z prawem, ale przede wszystkim LUDZKICH decyzji. Wcześniej zaś radzą studentom, choćby tym, których pandemia zastała na stypendium poza granicami Polski, jak rozwiązać ich studenckie problemy w taki sposób, żeby pomimo podjętych w zupełnie odmiennych warunkach zobowiązań, móc wrócić do kraju.

W imię interesu ogółu

Truizmem jest stwierdzenie, że obecna pandemia COVID-19 i jej możliwe konsekwencje zmieniają w ogromnym stopniu światową gospodarkę i relacje międzyludzkie, przynajmniej – jak to lubią mawiać przedstawiciele mojej profesji – w krótkim i średnim okresie. W naturalny sposób koncentrujemy się na możliwych, zmianach negatywnych, głębokim spadku poziomu PKB, szybkim wzroście bezrobocia, przyspieszającej inflacji, z rosnącym przerażeniem liczymy kolejnych zarażonych i ofiary śmiertelne. Warto jednak zwrócić uwagę na to, że przy odrobinie wysiłku z naszej strony rozlewająca się pandemia może mieć również pozytywny skutki. Głęboko wierzę, że może stać się impulsem do zmiany kierunku, w jakim podążają uczelnie. Dostrzegając w studentach ludzi (a ci z kolei

postrzegając uczelnie i ich pracowników jako coś, za co mogą i powinni być współodpowiedzialni), możemy przypomnieć sobie o tym, że uniwersytet był u zarania swoich dziejów wspólnotą profesorów i studentów, którą obecnie musimy rozszerzyć na pracowników administracyjnych. Studenci, jak na nieszczęście coraz częściej mówimy i myślimy, nie są przecież klientami uczelni, są jej immanentną częścią, która ma swoje prawa, ale i obowiązki.

Uniwersytet nie może być ani przedsiębiorstwem dostarczającym klientom produkt w postaci wykształcenia, ani tym bardziej urzędem. Jest, albo przynajmniej powinien być, czymś zupełnie innym, organizacją, ale i instytucją z silnym etosem służby i wartościami, które są uwewnętrzniane, a nie egzekwowane. Taką, w której etyczny mechanizm koordynacji zapewniający współpracę jednostek w imię interesu ogółu dominuje zarówno nad procedurami biurokratycznymi, jak i myśleniem w kategoriach rynkowych, ukierunkowanych na maksymalizację korzyści. Jednak aby tak się stało, wszyscy musimy poczuć się częścią uniwersyteckiej wspólnoty, a drogą do tego jest moim zdaniem dostrzeżenie zważając na naszych społecznych ról konkretnych ludzi. Liczę na to, że w sytuacji, w której każdy z nas drży o zdrowie i życie bliskich, nauczymy się dostrzegać to, co w relacjach międzyludzkich najważniejsze, odejdziemy od obłudnej logiki absolutyzującej na uczelniach suche przepisy prawa i dostrzeżemy, że jesteśmy przede wszystkim ludźmi i po ludzku musimy się do siebie odnosić. Jeśli się tak stanie, to istotną część zasług w tym dziele będą mogli sobie przypisać pracownicy dziekanatów, którzy już teraz podejmują daleko idące działania w tym właśnie kierunku.

Pani Diano, Pani Ireneo, Pani Moniko i wszystkie moje KOLEŻANKI i KOLEDZY z Dziekanatu Studium Magisterskiego Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie! Bardzo Wam dziękuję za wszystko to, co robicie i teraz w czasie epidemii, i na co dzień dla studentów i wykładowców – dla całej naszej uczelnianej wspólnoty. Bez Was nasza praca nie byłaby możliwa.

*Dr Piotr Maszczyk, ekonomista, adiunkt w Katedrze Ekonomii
II Kolegium Gospodarki Światowej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie,
prodziekan Studium Magisterskiego SGH*

Wolność i odpowiedzialność

Czym zastąpić habilitację i profesurę?

Osobie kierującej instytutem, katedrą czy wydziałem trudno podejmować negatywne decyzje kadrowe dotyczące kolegów i koleżanek, z którymi często pracuje od lat. W zaproponowanym systemie takie decyzje są podejmowane zewnętrznie, w odniesieniu do rozwoju jednostki i jej poziomu, a nie relacji interpersonalnych.

W naszym poprzednim artykule (*Tytuł zamiast dorobku*, FA 6/2019) przedstawiliśmy argumenty za tym, że anachroniczny system państwowych stopni i tytułów naukowych (habilitacja i profesura „belwederska”) przynosi wiele szkody polskiej nauce i hamuje jej rozwój. Mamy nadzieję, że w niedalekiej perspektywie zostanie on zlikwidowany. Pustka, która po nim powstanie, stworzy ważną szansę na wprowadzenie systemu oceny działalności naukowej promującego jakość i niezależność badań. Naszym zdaniem, aby ta szansa mogła zostać wykorzystana, konieczne jest zlikwidowanie zarówno habilitacji, jak i profesury, i uniezależnienie pozycji zawodowej polskich naukowców od posiadanych stopni i tytułów. Likwidacja jedynie habilitacji spowoduje, że profesura przejmie jej obecną rolę w systemie, a osiągnięcie niezależności przez naukowców jeszcze bardziej się opóźni.

Mimo zawartych w Ustawie 2.0 możliwości przyjmowania elastycznych rozwiązań dotyczących struktury jednostek naukowych, zdecydowana większość z nich – w tym uczelnie będące laureatami konkursu Inicjatywa Doskonałości – Uczelnie Badawcza – przyjęła podejście zachowawcze, utrzymując hierarchiczną strukturę organizacyjną, opartą na „wysłudze” i centralnym systemie awansowym. Naturalną konsekwencją zniesienia habilitacji i profesury byłaby konieczność przejęcia przez uczelnie i instytuty naukowe obowiązku oceny osiągnięć i stworzenia własnych systemów promowania pracowników. Nowe zasady powinny być nakierowane na awansowanie badaczy najlepszych, bez względu na staż, stopień czy uzyskany w obecnym systemie tytuł naukowy. W krajach o wysoko rozwiniętej nauce taki model systematycznej oceny rozwoju naukowego pracowników jest powszechny, dlatego dostępnych jest wiele sprawdzonych rozwiązań, z których można skorzystać. Co ważne, te sprawdzone na świecie praktyki funkcjonują już w kilku jednostkach w Polsce, co dowodzi, że można je wprowadzić w całym kraju.

Tylko pełna wolność naukowa

System funkcjonujący w świecie anglosaskim to trójstopniowa promocja: assistant professorship, associate professorship i wreszcie full professorship. Do każdego etapu wyznaczone są ramy czasowe i każda promocja na kolejny stopień zawiera zewnętrzną ocenę osiągnięć naukowych kandydata, przy czym ramy czasowe są regulowane z uwzględnieniem istotnych przesłanek przemawiających za ich rozszerzeniem (np. ze względu na narodziny dzieci lub poważną chorobę osoby ocenianej). Na uczelniach jest również brana pod uwagę jakość dydaktyki. Musi ona jednak być oceniana w odniesieniu do obiektywnych standardów, ponieważ szereg badań pokazuje, iż oceny studenckie są często niestabilne i stronnicze. Istotne jest to, że etapy kariery są stanowiskami związanymi z daną jednostką naukową, a nie – jak w systemie polskim – z centralnym państwowym systemem stopni i tytułów. Prestiż stanowiska jest pochodną pozycji i jakości instytucji, a nie wynikiem centralnie ustalanych zasad.

Podstawą działalności naukowej, która w rzeczywisty sposób poszerza ludzkie poznanie, jest zasada pełnej wolności i pełnej odpowiedzialności. Tylko pełna wolność naukowa pozwala badaczom na realizowanie wizji naukowej, zaspokajanie ciekawości i spełnianie naukowych marzeń i ambicji. Największe odkrycia powstają dzięki pasji indywidualnych badaczy. Realizowanie swojej pasji za publiczne pieniądze to przywilej. Dlatego też z wolnością musi się wiązać odpowiedzialność za efekty działań naukowych. Ta odpowiedzialność jest realizowana przez ocenę jakości badań naukowych. Ocena ta stanowi zatem kluczowy element systemu nauki.

Do skutecznej oceny działalności naukowej niezbędna jest przejrzysta struktura jednostek badawczych. W krajach anglosaskich, które odnoszą największe sukcesy w nauce, struktura ta jest płaska. Instytucje składają się z dobrze zdefiniowanych grup badawczych. Kierownicy tych grup są wyłanian

w otwartych konkursach. Najczęściej są to ludzie zaraz po stażu podoktorskim, w najbardziej aktywnym, dynamicznym okresie działalności naukowej i najbardziej twórczym okresie życia. W większych instytucjach grupy badawcze mogą być łączone w centra lub wydziały, ale osoby kierujące tymi strukturami nie ingerują w tematykę badań, strategię naukową grupy czy decyzje kadrowe. System ten pozwala na skuteczną i rzetelną ocenę jakości badań naukowych – to kierownik grupy badawczej jest oceniany, a nie każdy jego podwładny. Ocena pracowników w danej grupie pozostaje w gestii jej lidera. Ponieważ jakość pracy zespołu bezpośrednio wpływa na ocenę lidera, jest on zainteresowany zatrudnianiem i promowaniem najlepszych ludzi. W ten sposób realizuje się zasada pełnej wolności i pełnej odpowiedzialności kierowników grup badawczych. W Polsce dominuje system stopniowego osiągnięcia niezależności w długim okresie czasu. Nieraz polega to na „nadawaniu” niezależności przez ustępującego kierownika jednostki wybranemu przez siebie współpracownikowi, bez uwzględniania kryteriów merytorycznych. Jest to całkowicie sprzeczne z duchem nowoczesnej nauki, a przy tym tłumi potencjał młodych, ambitnych badaczy.

Całkowicie zewnętrzna ocena

Jednostki naukowe w Polsce stoją przed wyzwaniem stworzenia realnego, projekcyjnego systemu oceny pracowników naukowych. Dla znacznej części z nich punktem odniesienia stały się ministerialne wykazy wydawnictw i czasopism. Jest to próba motywowania pracowników do prowadzenia działalności naukowej, która będzie pozytywnie wpływała na wyniki ewaluacji jednostki. Ta strategia jest jednak błędna, gdyż doprowadzi do promowania produktywności kosztem jakości ze względu na chęć unikania ryzyka. Proponowanie kryteriów oceny opartych na punktach zapożyczonych z wykazów świadczy o tym, że jednostki nie mają jasnej wizji swojego rozwoju i w związku z tym nie potrafią sprecyzować krótko- i długoterminowych oczekiwań wobec swoich pracowników. Zaproponowany powyżej system zewnętrznej oceny liderów grup badawczych pozwoliłby pogodzić cel nadrzędny, jakim jest promowanie pracowników uprawiających naukę na najwyższym poziomie, z ewaluacyjnymi celami jednostek. Pozwoliłby on też podnieść poziom doktoratów, gdyż to liderzy grup badawczych – najlepsi z najlepszych – byłiby naturalnymi kandydatami na promotorów. Dzięki temu młodzi ludzie mogliby rozwijać się naukowo pod opieką aktywnych badaczy o znaczącym doświadczeniu grantowym i publikacyjnym.

Rada instytutu czy wydziału w obecnie funkcjonującym kształcie, złożona w całości lub w większości z pracowników jednostki, powinna nadal brać udział w zarządzaniu tą jednostką. Jednak ocena efektów działalności naukowej liderów grup badawczych musi być całkowicie zewnętrzna. Najlepiej, jeśli jest przeprowadzona przez Międzynarodowy Komitet Doradczy (MKD) złożony wyłącznie z zewnętrznych ekspertów. Okresowo ocena powinna opierać się na anonimowych recenzjach ekspertów powołanych przez komitet. Ocena ta może odbywać się podczas okresowych zebrań MKD. Jedną z zalet tego systemu jest to, że ocena badań i zarządzanie instytucją zostają rozdzielone. Osobie kierującej instytutem, katedrą czy wydziałem trudno podejmować negatywne decyzje kadrowe dotyczące kolegów i koleżanek, z którymi często pracuje od lat. W zaproponowanym systemie takie decyzje są podejmowane zewnętrznymi, w odniesieniu do rozwoju jednostki i jej poziomu, a nie relacji interpersonalnych.

Warto podkreślić, że wielkim problemem oceny naukowców, nierozwiązanym satysfakcjonująco nigdzie na świecie, jest równowaga między stabilnością zatrudnienia, która pozwala na podejmowanie ryzykownych, ale potencjalnie najbardziej

przełomowych badań, a surową oceną ich efektów i wiążącym się z tym brakiem stabilności i przewidywalności zatrudnienia. Każda instytucja musi znaleźć tę równowagę w zależności od swojego profilu naukowego i działań edukacyjnych oraz ambicji, co do swojej pozycji w nauce światowej. Żadne rozwiązania skrajne – całkowita stabilność zatrudnienia niezależnie od efektów działalności naukowej (sytuacja bardzo często obserwowana w Polsce) czy promowanie jedynie garstki najbardziej produktywnych badaczy – nie są korzystne dla rozwoju nauki i są wręcz szkodliwe z punktu widzenia dydaktyki.

Młodzi wyjadą

Kluczowe jest wprowadzenie do systemu elementów ekonomicznych, które będą promować właściwe wzorce. Decyzja o awansie pracownika musi się wiązać ze zwiększeniem jego uposażenia i często z podpisaniem dłuższego kontraktu, co powoduje znaczne, długoterminowe zobowiązanie finansowe dla jednostki. W obecnie obowiązującym rozporządzeniu o obliczaniu subwencji algorytm zakłada większe środki przypadające na pracownika z wyższym stopniem czy tytułem naukowym. Jest to naszym zdaniem rozwiązanie błędne, ponieważ de facto zwalnia kierownictwo jednostki z obowiązku rozważnego awansowania pracowników – każdemu awansowanemu budżet zapewni przyznane mu wynagrodzenie, niezależnie od jego osiągnięć. Naszym zdaniem konieczne jest, aby środki przyznawane „na pracownika” były niezależne od stopnia naukowego. W szerszym kontekście jest oczywiście niezwykle ważne, aby środki przeznaczone na badania naukowe w Polsce znacząco wzrosły. Powinny również wzrosnąć uposażenia badaczy, aby niskie pensje nie mogły być używane jako usprawiedliwienie dla prowadzenia działalności naukowej o znikomym znaczeniu.

Wprowadzenie powyższych rozwiązań będzie możliwe i skuteczne tylko w kontekście gruntownej przemiany mentalności w polskich instytucjach naukowych, szczególnie na uniwersytetach. Musimy wreszcie odejść od dziewiętnastowiecznej koncepcji uniwersytetu, zarzuconej dawno w krajach rozwiniętych, jako odseparowanej od świata „spółdzielni profesorów”. Uczciwość wobec obywateli, którzy w formie podatków utrzymują publiczne instytucje badawcze, wymaga, aby władze tych instytucji promowały najwyższą jakość działalności badawczej i dydaktycznej i tym samym dbały o swoją użyteczność dla społeczeństwa. Bez wątpienia najważniejszym elementem wspierania wysokiej jakości badań naukowych jest rzetelna ocena i racjonalne promowanie pracowników. Pozwoli to również poprawić jakość dydaktyki. Trwały rozwój naukowy możliwy jest tylko poprzez zapewnianie przyszłym adeptom nauki styczności z najlepszymi naukowcami i najnowszymi trendami badawczymi. Jeżeli polskie jednostki naukowe nie zreformują swojej polityki awansowej, młodzi, ambitni badacze wyjadą tam, gdzie ich potencjał zostanie doceniony.

Mamy świadomość, że przyjęcie przedstawionej przez nas koncepcji oznaczałoby rewolucję w polskiej nauce. Zburzyłaby ona anachroniczny, niewydajny system, a zbudowała nową jakość. Koncepcja ta oparta jest na sprawdzonych rozwiązaniach, realizowanych w wielu krajach osiągniętych zdecydowanie większe od nas sukcesy naukowe. Nie ma powodów, by taki system nie miał się sprawdzić również w Polsce.

*Dr hab. Natalia Letki, socjolog i politolog,
Instytut Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego*

*Dr hab. Marcin Nowotny, biolog,
Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie*

*Prof. dr hab. Barbara Klajnert-Maculewicz, biolog,
Wydział Biologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Łódzkiego*

Ciągły rozwój kluczem do sukcesu

Skonkretyzowany, mierzalny, osiągalny, a także istotny oraz określony w czasie, czyli w skrócie SMART. Tak opisuje cel jedna z koncepcji zarządzania. A jak widzą go na Uniwersytecie Warszawskim? Z pewnością jako ambitne zadanie, możliwe do zrealizowania dzięki wykorzystaniu różnego rodzaju posiadanych zasobów. Opierając się na trzech filarach, z których



pierwszy stanowi badawcza oraz dydaktyczna doskonałość uzupełniona o sprawną organizację, drugi współpraca międzynarodowa, a trzeci nowoczesna infrastruktura, całkiem realnie można myśleć o realizacji założonych celów.

O tym, jakie ścieżki wybierać, żeby droga prowadziła wprost do wymarzonego sukcesu, dowiemy się z lektury tekstu, który ukazał się na łamach uczelnianego pisma „Uniwersytet Warszawski” (nr 5/2019). Z rzeczy

ważnych warto z pewnością wymienić zainteresowanie obszarem obejmującym zdolności tkwiące w każdym człowieku. Nie od dziś wiadomo bowiem, że o prawdziwej sile każdej uczelni wyższej stanowią studenci, doktoranci, a także cała kadra dydaktyczna oraz pracownicy administracyjni. Każda z tych grup dysponuje bowiem potencjałem niezbędnym do stworzenia unikatowego miejsca, które dzięki wspólnym działaniom będzie mogło rozwijać się w najbardziej optymalny sposób.

Wdrożona na Uniwersytecie Warszawskim przejrzysta i oparta na klarownych kryteriach merytorycznych polityka kadrowa gwarantuje wszystkim zainteresowanym rzetelną ścieżkę awansu, umożliwiając w ten sposób koncentrację wyłącznie na realizowanych zadaniach. Dzięki uzyskanemu poczuciu bezpieczeństwa otwiera się przestrzeń do aktywności dla wszystkich, którzy chcą działać, czy to na polu stricte badawczym, czy w obszarach obejmujących współpracę z istniejącym wokół uczelni otoczeniem gospodarczym, społecznym i kulturalnym.

Konkretne wsparcie

„Zawodowy start – wysokiej jakości program stażowy na Wydziale Chemicznym Politechniki Rzeszowskiej” jest jednym z projektów, które uczelnia realizowała w ramach Programu Operacyjnego Wiedza Edukacja Rozwój (POWER)



Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. O założeniach, przebiegu i efektach przedsięwzięcia informuje „Gazeta Politechniki” (nr 10-11/2019).

Rzeczony program przewidywał organizację trwających dwa lub trzy miesiące wakacyjnych staży, w których mogli wziąć udział zarówno studenci III roku studiów pierwszego stopnia, jak i ci z I roku kon-

Czytelnia czasopism

tinuujący edukację na drugim stopniu w ramach kierunków: biotechnologia, inżynieria chemiczna i procesowa oraz technologia chemiczna. Warto podkreślić, że wszyscy uczestnicy mieli zapewniony całonocny pakiet, w skład którego wchodziło wynagrodzenie miesięczne, dofinansowanie do zakwaterowania poza miejscem zamieszkania, zwrot kosztów dojazdu, ubezpieczenie NNW/OC. Organizator pokrywał także koszty niezbędnych badań lekarskich.

Podczas odbywanych praktyk ich uczestnicy zyskali nie tylko możliwość zapoznania się ze specyfiką funkcjonowania różnego typu przedsiębiorstw, ale przede wszystkim dostali szansę sprawdzenia nabytej w czasie studiów wiedzy w warunkach praktycznych. Nie do przecenienia są uzyskane dzięki odbytem stażom nowe kompetencje społeczne, jak chociażby umiejętność zespołowego współdziałania, sprawność w organizacji warsztatu pracy czy wreszcie rozwój świadomości osobistej odpowiedzialności za powierzone zadania. Do tej pory w akcję, której efektem było utworzenie w każdym roku akademickim ponad 180 miejsc stażowych, włączyło się prawie 60 przedsiębiorstw z branży chemicznej i pokrewnych. Wśród zaangażowanych podmiotów znalazły się zarówno zakłady produkcyjne, jak i jednostki sektora publicznego, a więc instytuty naukowe, zakłady opieki zdrowotnej oraz organy administracji państwowej.

Siła jest w nich

Trudno przekonać studentów do wyboru naukowej ścieżki rozwoju? Może klucz tkwi w stworzeniu atrakcyjnej propozycji pozwalającej nie tylko zagospodarować istniejący w młodych ludziach potencjał, ale także stanowiącej realną alternatywę dla pojawiających się innych ofert zawodowych?

Szukając odpowiedzi, przyjrzyjmy się rozwiązaniu, jakie proponuje Samorząd Studentów Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Opracowany przez nich program „Młody Naukowiec SGH” opiera się na idei zaangażowania żaków przez pracowników naukowych przy wykorzystaniu przejrzystych i korzystnych dla wszystkich stron regulacji. Opracowany plan przewiduje m.in. prowadzenie wspólnej działalności publikacyjnej, jak też wspieranie funkcjonowania zespołów



badawczych. Jednym z ciekawszych punktów nowego projektu jest z pewnością zapis przywracający i jednocześnie formalizujący w postaci regulaminu stanowisko asystenta stażysty (research assistant). Pełnienie tego typu funkcji, która – dodajmy – jest dość popularna w strukturach uczelni zajmujących najwyższe miejsca w światowych rankingach, z pewnością może zostać uznane jako specjalne wyróżnienie. Może stać się także doskonałym bodźcem wspomagającym motywację do dalszego rozwoju.

Po więcej szczegółów dotyczących tego interesująco zapowiadającego się przedsięwzięcia odsyłamy do „Gazety SGH” (nr 2/2019).

Aneta Zawadzka

Zbigniew Drozdowicz

Nauka w okresie pandemii

Można się zastanowić nad zmianą kalendarza wyborczego i przedłużeniem funkcjonowania obecnych władz. W tym drugim przypadku potrzebna byłaby decyzja ministerialna, a może nawet korekta ustawowa. Jakież kroki trzeba będzie jednak podjąć.

Pojawienie się i szybkie rozprzestrzenianie koronawirusa SARS-CoV-2 wpłynęło nie tylko na funkcjonowanie nauki, ale także skłoniło niejedną osobę do postawienia pytania, co może ona zrobić, aby wyeliminować lub przynajmniej istotnie ograniczyć związane z nim zagrożenia. Nadzieje w tym zakresie są ogromne. Natomiast możliwości nauki na znalezienie skutecznego remedium na tego wirusa póki co są wielką niewiadomą. Dla właściwej oceny tych możliwości warto przypomnieć nie tylko wcześniejsze pandemie, ale także powiedzieć parę słów o sposobach radzenia sobie z nimi.

Nieco historii

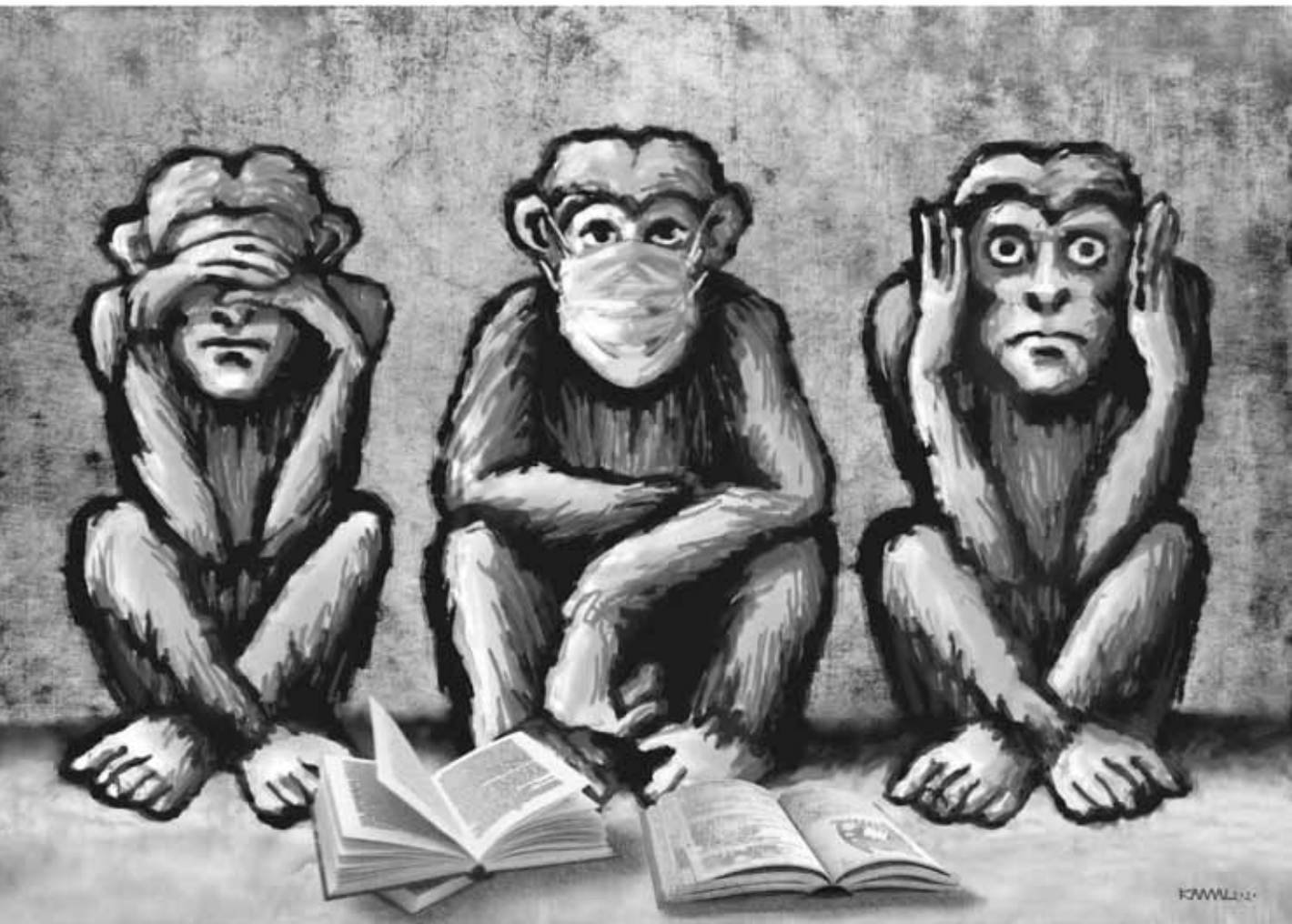
Dzisiaj przypominano sobie pandemię z lat 1918–1920, nazywaną „hiszpanką”, oraz ogromną (szacowaną nawet na 100 mln) liczbę jej ofiar. Chorobowe plagi miały jednak miejsce również dużo wcześniej, a nawet stały się częścią składową niejednego przesłania religijnego. Przypomnę tylko, że w Starym Testamencie mówi się o dziesięciu plagach, które dotknęły mieszkańców starożytnego Egiptu i skłoniły lud Hebrajczyków do exodusu na tereny dzisiejszej Palestyny. W przeszłości niejednokrotnie traktowano je i przedstawiano jako swoistą bożą karę za ludzkie grzechy. Dzisiaj wprawdzie również można spotkać się z takimi przekonaniami, jednak badania naukowe pozwoliły ustalić bardziej prozaiczne źródła przynajmniej niektórych, np. wywołujące dżumę zarodniki węgla czy spowodowane ociepleniem klimatu wylewy Nilu. Podobnie rzecz się ma z pandemią, która przeszła do historii pod nazwą „czarnej śmierci” lub „wielkiej dżumy”, której apogeum przypadło na lata 1347–1351. Szacuje się, że mogła ona spowodować śmierć od 75 do 200 milionów ludzi. Analiza molekularna DNA szkieletów ofiar tej pandemii skłaniała niektórych uczonych do wniosku, że jej źródłem była bakteria *Yersinia pestis*, powodująca dżumę dymieniową. Wprawdzie teza ta jest kwestionowana przez innych wirusologów (m.in. przez brytyjskiego zoologa Grahama Twigga), lecz zgodni są oni przynajmniej co do tego, że w jej pojawieniu się i rozprzestrzenieniu nie miały udziału siły nadprzyrodzone. Miały go natomiast szczury i żerujące na nich pchły – najpierw te, które żyły w Azji (bakteria *Yersinia pestis* ma u nich charakter enzootyczny), a później również te, które żyły w Europie oraz na innych kontynentach.

Przypuszcza się, że do Europy bakteria ta „przywędrowała” z Azji na statkach handlowych genueńskich kupców i przemieszczała się razem z nimi do krajów, z którymi prowadzili

interesy. Szacuje się, że pandemia dżumy mogła doprowadzić do śmierci nawet 60% mieszkańców naszego kontynentu, a dotarła również na Bliski Wschód i na Krym. W niektórych rejonach jej występowania przy życiu pozostało nie więcej niż 10% ludzi. Tak było m.in. w hrabstwie Dorsetshire w Anglii. Wysoki procent ofiar był również w Oxfordzie (funkcjonował w nim jeden z dwóch uniwersytetów angielskich) oraz w Londynie (w XIV w. był on jednym z największych europejskich miast). Do jej rozprzestrzenienia przyczyniały się nie tylko prowadzona wówczas wymiana handlowa, ale również ówczesne wojny (przemieszczała się ona razem z armiami) oraz nędza i związany z nią niski poziom higieny, a także warunki klimatyczne (szczególnie sprzyjające warunki znajdowała ona w regionach o ciepłym klimacie). Rzecz jasna podejmowano próby uchronienia się przed nią. Zamykano dostęp do ówczesnych miast cudzoziemcom, wędrownym artystom, obwoźnym kupcom i żebrakom. Podejmowano również próby uchronienia się przed nią poprzez eliminowanie mniejszości religijnych; w szczególności dotyczyło to mniejszości żydowskiej (w okresie apogeum pandemii miały miejsce pogromy Żydów m.in. w Strasburgu, w Moguncji i w Kolonii). Co bardziej zamożni mieszkańcy miast szukali schronienia na wsi (takie rozwiązanie stało się kanwą *Dekameronu* Giovanniego Boccaccia). Tych ostatnich było jednak stosunkowo niewiele. Niewiele też było stać na korzystanie z „dobrodziejstw” ówczesnej medycyny – polegały one na puszczaniu krwi oraz stosowaniu środków wymiotnych i moczopędnych.

O tym, że wszystkie te i inne jeszcze sposoby radzenia sobie z pandemią dżumy były mało skuteczne, świadczy m.in. jej wielokrotne występowanie w późniejszym czasie. Długa jest lista okresów i miejsc jej pojawiania się. Jedynie tytułem przykładu przypomnę, że w pierwszej połowie XVII stulecia w krajach włoskich doprowadziła ona do śmierci ponad 1,5 mln mieszkańców, w latach 1665–1666 uśmierciła około 100 tys. londyńczyków. W XVIII stuleciu dotknęła m.in. mieszkańców Maryslii, Helsinek oraz Konstantynopola i Bagdadu (szacuje się, że w tym ostatnim na dżumę zmarło około dwie trzecie jego mieszkańców). W XIX pojawiła się najpierw w Chinach, później w Indiach i w Australii, natomiast na początku XX w Ameryce Północnej.

Ich następstwem była nie tylko duża liczba ofiar śmiertelnych, pogłębienie się nędzy wielu grup społecznych oraz przesładowania tych, których oskarżano o szerzenie zarazy, ale także pogłębienie się lęku przed tymi siłami, nad którymi czło-



rys. Sławomir Makal

wiek nie był w stanie zapanować. Jednych skłaniało to do szukania wsparcia w Kościele, natomiast innych do zachowania wobec niego większego dystansu. George M. Trevelyan, opisując w swojej *Historii społecznej Anglii* skutki „czarnej śmierci” w tym kraju, wskazuje m.in. na wyraźne osłabienie zaufania ówczesnego społeczeństwa angielskiego do duchownych, którzy wprawdzie świadczyli posługę wiernym słowem i często sami stawali się ofiarami pandemii, jednak pomoc okazywała się mało skuteczna. Co gorsza, niejednokrotnie duchowni byli również roznościcielami zarazy. Zdaniem przywoływanego historyka, osłabiło to autorytet Kościoła katolickiego i przyczyniło się w dłuższej perspektywie do zaaprobowania przez społeczeństwo angielskie zerwania z nim więzów, którego dokonał król Henryk VIII. Nawet w tych dramatycznych okolicznościach życia społecznego można jednak znaleźć wygranych. G.M. Trevelyan pisze, że w wyniku „czarnej śmierci” na wsi angielskiej „połowa mieszkańców wymarła w niespełna dwa lata”, „wartość farm spadła”, natomiast „cena pracy od razu poszła w górę”, a nawroty zarazy przyczyniły się do wygasania pańszczyzny i przejmowania przez chłopów ziemi na własność.

Obecna sytuacja

Trudno oczywiście powiedzieć, jakie będą w dłuższej perspektywie następstwa obecnej pandemii. Pojawiają się wprawdzie opinie, że czeka nas recesja lub przynajmniej istotne spowolnienie gospodarcze, jednak w czasach gdy tak łatwo spowodować poważne zamieszanie społeczne samorealizującymi się przepowiedniami lub nawet zwykłymi plotkami, podchodzi się do nich z dystansem. Trudno go natomiast zachować wobec nie-

frasobliwych słów i zachowań, które – tak jak przynajmniej do pewnego momentu postępowanie władz brytyjskich i społeczeństwa brytyjskiego – można sprowadzić do stwierdzenia: „rodacy, nic się nie stało, a jeśli nawet coś się istotnego stało, to zapewne sobie z tym poradzimy”. Przeciwno takiemu myśleniu zaprotestowali m.in. brytyjscy uczeni w liście do rządu Borisa Johnsona (być może ich głos przyczynił się w jakiejś mierze do zmiany jego podejścia). Rzecz jasna aktywność tych i innych uczonych nie ogranicza się jedynie do tego rodzaju wystąpień. W mediach dosyć regularnie wypowiadają się na temat koronawirusa i związanych z nim zagrożeń różnego rodzaju autorytety naukowe. Charakterystyczne jest przy tym, że z im poważniejszymi ośrodkami badawczymi są one związane, tym ich wypowiedzi są bardziej ostrożne i wyważone. Pojawiają się również różnego rodzaju „specjaliści” od „cudownych” środków i sposobów leczenia choroby wywołanej wirusem. Są one o tyle niebezpieczne, że mogą się przyczynić do osłabienia czujności i wzmoczenia niefrasobliwości w zachowaniach tych, którzy są przekonani, że przysłowiowe „mleko” się już rozlało i teraz potrzebny jest jakiś cudotwórca, aby to „posprzątał”.

Warto jednak poważnie traktować zalecenia i sugestie tych osób, które wprawdzie nie obiecują globalnego rozwiązania problemu, jednak wskazują na prozaiczne i możliwe do powszechnego stosowania środki, jak częste mycie rąk, zachowanie odpowiedniej odległości od potencjalnych nosicieli wirusa czy podanie się kwarantannie. Nie jest to oczywiście nic nowego w zapobieganiu zarażeniu się wirusem oraz w jego rozprzestrzenianiu się. Problem jednak nie w tym, aby stawiać zarzuty dyscyplinom naukowym związanym z badaniami nad zagra-

żającymi ludzkiemu życiu patogenami, że poczyniły tak małe postępy, lecz w tym, aby zagrożenia traktować serio i brać je również do siebie, nawet jeśli oznacza to poważne utrudnienia w codziennym życiu zawodowym, zwłaszcza tych uczonych, którzy nie mogą pracować w domu, bowiem ich badania wymagają odpowiednio wyposażonych laboratoriów.

Jak to w szczegółach wygląda na polskich uczelniach, wiedzą nie tylko ich pracownicy, ale także studenci. Jedni zapewne są zadowoleni, że nie muszą prowadzić zajęć dydaktycznych i uczęszczać na nie, a nawet pojawiać się w miejscu pracy i studiów. Nie brakuje również takich, którzy patrzą na to z niepokojem. Może się bowiem okazać, że zajęcia dydaktyczne zostaną przedłużone na okres wakacyjny, a jest to przecież okres, w którym wykładowcy wypoczywają, nierzadko również odrabiają zaległości w lekturach i w pracy badawczej, natomiast studenci niejednokrotnie dorabiają w pracach sezonowych. Innym powodem do zmartwień społeczności akademickiej są przypadające na okres przerwy w zajęciach dydaktycznych i w funkcjonowaniu ciał kolegialnych uczelni wybory władz na kadencję 2020–2024. Na niektórych uczelniach z tym problemem się już uporano. Jednak jest ich niewiele. Natomiast inne mają w tym zakresie jeszcze sporo przed sobą, łącznie z przeprowadzeniem wyboru elektorów w poszczególnych grupach pracowniczych, A już dzisiaj widać, że spora część akademickiej społeczności woli nie ryzykować zdrowia i pozostaje w domu. Mogę oczywiście sobie wyobrazić sytuację, że wszystkie procedury wyborcze zostaną przeprowadzone zgodnie z przyjętą ordynacją. Jednak trudno sobie wyobrazić, że wyłonione w obecnej nadzwyczajnej sytuacji reprezentacje pracownicze będą równie reprezentatywne jak w zwyczajnych sytuacjach. Można się oczywiście zastanowić zarówno nad zmianą kalendarza wyborczego, jak i nad przedłużeniem funkcjonowania obecnych władz. W tym drugim przypadku potrzebna byłaby zapewne decyzja ministe-

rialna, a być może nawet korekta ustawowa. Jakies kroki trzeba będzie jednak podjąć, bowiem przy obecnych utrudnieniach w przeprowadzeniu procedur wyborczych wyłonione w ich wyniku władze mogą nie mieć aż tak mocnego mandatu do korzystania z uprawnień i wykonywania swoich obowiązków.

Nauka na tzw. cenzurowanym?

To, że w przeszłości nauka mogła zrobić tak niewiele dla rozwiązania problemów związanych z pandemią, wystawia jej bez wątpienia nie najlepszą ocenę. Rzecz jasna, nie tylko jej, bowiem jakaś część winy za to spadała na wiele innych sił społecznych, a także na tych, którzy stali się ich bezpośrednimi ofiarami. Różnica między tym, co było w przeszłości i tym, co jest dzisiaj, jest jednak zasadnicza. W minionych wiekach bowiem społeczne oczekiwania od nauki nie były i nie mogły być tak wielkie, jak to ma miejsce obecnie, bowiem znacznie mniejsza liczba osób angażowała się w badania naukowe, a także dysponowano znacznie mniejszymi środkami finansowymi i uboższym wyposażeniem laboratoryjnym niż ma to miejsce dzisiaj. Można postawić pytanie: czy nauka nie znajdzie się na cenzurowanym w sytuacji, gdy mimo ogromnych nakładów finansowych przeznaczonych w wielu krajach na badania nad koronawirusem nie znajdzie w miarę szybko odpowiedniego sposobu uporania się z nim? Dzisiaj takim wiodącym pod względem badań naukowych krajem są Stany Zjednoczone. Jednak nawet tamtejsi uczeni wypowiadają się ostrożnie na temat znalezienia skutecznego remedium, a w każdym razie nie obiecują na tyle szybkiego znalezienia go, aby mogło to zaspokoić społeczne oczekiwania. Wprawdzie od czasu do czasu w mediach pojawiają się informacje, że w jakimś laboratorium odkryto już obiecujący środek leczniczy. Traktowałbym to jednak bardziej jako wyraz myślenia życzeniowego niż świadectwo dokonania w tym zakresie istotnego przełomu.

Rezygnacja szefa ERC

Przewodniczący Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych Mauro Ferrari ogłosił 7 kwietnia rezygnację z zajmowanego stanowiska. Decyzja jest wynikiem jednogłosego żądania wszystkich dwudziestu aktywnych członków Rady Naukowej ERC zgłoszonego 27 marca.

Tak zdecydowane działanie członków Rady ERC wynikało z oceny dotychczasowych, trzymiesięcznych działań przewodniczącego. Zarzuciła ona prof. Ferrariemu brak zrozumienia istoty powołania i działania ERC, wspierającej najbardziej ambitne badania naukowe zgłoszone przez samych naukowców. Warto w tym miejscu przypomnieć, że budżet ERC stanowi około 17% całkowitego budżetu Unii Europejskiej przeznaczanego na finansowanie nauki. Pozostałe 83% budżetu jest kierowane na finansowanie badań, których tematykę definiuje ogólnie Komisja Europejska.

Rada Naukowa ERC zarzucała także przewodniczącemu brak zaangażowania w sprawy agencji: absencję w ważnych dla ERC spotkaniach, spędzanie nadmiernej ilości czasu w Stanach Zjednoczonych, gdzie ma powiązania biznesowe, a także mało widoczne działania w obronie misji i działań ERC. Jednocześnie Mauro Ferrari zaangażował się w prywatnie definiowane inicjatywy wobec Komisji Europejskiej, bez konsultacji czy informowania o tym Rady Naukowej ERC. Członkowie Rady stwierdzili, że własne sprawy i interesy przewodniczącego, realizowane kosztem jego zob-

wiązań wobec ERC, stanowiły jaskrawy przykład nieakceptowalnego konfliktu interesów.

Mauro Ferrari w swoim oświadczeniu dla mediów, złożonym w dniu rezygnacji, próbuje uzasadnić swoje odejście brakiem poparcia przez Radę Naukową ERC jego pomysłu ustanowienia specjalnego programu badawczego ERC dotyczącego koronawirusa COVID-19. Jednogłosem decyzją Rady w tej sprawie wynikała z faktu, że programy badawcze poświęcone temu konkretnie zagadnieniu uruchomiła już wcześniej Komisja Europejska w ramach innych obszarów finansowania programu ramowego Horyzont 2020. Warto dodać, że ERC od lat finansuje ambitne badania koronawirusów i innych rodzajów patogenów, a także zagadnień epidemiologicznych, zgłoszone przez samych naukowców. Rada Naukowa ERC daje także swobodę grantobiorcom w modyfikowaniu programów ich badań, tak aby odpowiadały na aktualne wyzwania, a wręcz zaleca takie działania, o ile jest szansa, by w czasie realizacji grantu uzyskać znaczące wyniki.

Mimo trwania epidemii i związanych z tym utrudnień, ERC kontynuuje działania związane z obsługą trwających właśnie konkursów na Consolidator Grants i Starting Grants.

*Na podstawie oświadczenia Rady Naukowej ERC
Andrzej Jajszczyk, członek Rady Naukowej ERC*

Jak wdrażać kompetencje społeczne?

Nauczyciele akademicy nie są właściwie przygotowani do sensownego włączania kompetencji społecznych w efekty kształcenia swych zajęć ani też do pełnienia roli wzorotwórczej w tym zakresie.

W numerze 11/2019 „Forum Akademickiego” zamieszczony został artykuł pt. *Projekt DASCHE Erasmus+. Społeczna odpowiedzialność uczelni i absolwentów* poświęcony zagadnieniu kształtowania kompetencji społecznych studentów. Badanie dotyczące tego zagadnienia jest głównym celem projektu „Development, assessment and validation of social competences in higher education” (DASCHE). Partnerami Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, która przewodzi projektowi, są: Uniwersytet w Bremie (Niemcy), Uniwersytet w Durham (Wielka Brytania), Uniwersytet Twente (Holandia), Centrum Badań nad Szkolnictwem Wyższym (Czechy), Centrum Informacji Akademickiej (Łotwa). Projekt rozpoczął prace we wrześniu 2017 roku i dziś podsumowuje wyniki badań, które prowadzone były metodą analiz przypadku w uczelniach w sześciu wymienionych krajach europejskich. Celem projektu było rozprowadzenie dobrych praktyk w kształtowaniu kompetencji społecznych w wybranych ośrodkach kształcenia wyższego oraz sformułowanie rekomendacji dla władz europejskich, krajowych, regionalnych, instytucjonalnych dotyczących potrzeby i sposobów formowania kompetencji społecznych w szkołach wyższych.

Ramy tego artykułu nie pozwalają na przedstawienie wszystkich wyników projektu. Relacja ograniczona zatem zostanie do najważniejszych konkluzji i rekomendacji płynących także z dyskusji na końcowej konferencji projektu zatytułowanej *Social competences – the new dimension of the traditional mission of higher education*, która odbyła się w Warszawie w 28 lutego 2020 oraz z debaty na temat kształtowania kompetencji społecznych w polskich uczelniach, zorganizowanej w siedzibie Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego w lutym 2020.

Jak kształcić dla przyszłości

Projekt DASCHE rozpoczął się od pytania, dlaczego kompetencje społeczne absolwentów szkół wyższych są ważne? Odpowiedzi na to pytanie szukano najpierw w analizie tzw. wyzwań współczesności i konieczności sprostania im przez absolwentów szkół wyższych. Skoro zgodnie z tradycją i przepisami szkolnictwo wyższe ma przekazywać wiedzę, umie-

jętności i formować kompetencje społeczne, to czy i jak mogą one pomóc w opanowaniu już trwającej technologicznej rewolucji 4.0 i jej skutków (m.in. spadku zapotrzebowania na pracę ludzką), wszechogarniającej digitalizacji nie tylko wytwórczości, ale stricte społecznych obszarów życia, wyzwań demograficznych i rosnących nierówności społecznych oraz migracji, zagrożeń demokracji (włączając terroryzm) czy wreszcie niepokojących zmian klimatu.

Cechą wspólną tych wyzwań jest dynamika zmian i towarzysząca im niepewność przyszłości, a przygotowanie do sprostania im wymaga nie tylko dyscyplinarnej i interdyscyplinarnej wiedzy i umiejętności na poziomie wyższym, lecz przede wszystkim zrozumienia tych wyzwań i zaangażowania w ich rozwiązywanie. W poprzednim artykule o DASCHE zwrócono uwagę, że umacniający się w systemach szkolnictwa wyższego model uczelni odpowiedzialnej i responsywnej (*responsible and responsiveness*) i takichż absolwentów ma sprzyjać temu przygotowaniu. Jedną z konkluzji projektu powiada: „Wyzwania życia społecznego związane z permanentną zmianą, procesami demograficznymi i wykluczeniem społecznym, zagrożeniami dla demokracji, przewidywanym spadkiem zapotrzebowania na pracę ludzką i digitalizacją, migracjami i terroryzmem, a wreszcie ze zmianami klimatu wymagają od systemów edukacji rozwijania kompetencji, które pozwolą tym wyzwaniom sprostać”.

Wyraźnie widać to na przykładzie ONZ-etowskich Celów Zrównoważonego Rozwoju (SDG) i akcji „Shaping our future together”: zaangażowanie personalne i grupowe, motywacja do działania w imię dobra publicznego są warunkami koniecznymi do ich osiągnięcia.

Zatem, pojawia się pytanie, jak kształcić dla przyszłości? Które elementy systemów kształcenia zachowują, względnie przynajmniej, trwałość i mogą pomóc w rozumieniu świata i jego przemian, motywują do podjęcia prospołecznych działań? Takie cechy mają „twarda wiedza” i „miękkie kompetencje”. Podstawy teoretyczne wiedzy starzej się wolniej niż wiedza stosowana i wąskie umiejętności praktyczne. Dają wspomniane „rozumienie świata” (w tym dylematów współczesnej cywilizacji) i nie podlegają szybkiemu starzeniu się, jak to się

dzieje w przypadku umiejętności operacyjnych, dostosowanych do „tu i teraz”. Nota bene powoduje to, że „wymagania rynku pracy” znajdują inną odpowiedź, ponieważ wśród tych życzeń napotykamy coraz częściej prośby o tzw. kompetencje tranzytywne, zachowujące względną trwałość i uniwersalność. Jest ich wiele, najczęściej wymienia się tutaj: adaptację do zmiany (rozumienie i kontrolę zmiany), uczenie uczenia się – LLL, krytycyzm i autokrytycyzm, rozwiązywanie problemów, innowacyjność, współpracę i komunikację. Część z nich nosi w sobie składową nazywaną kompetencjami społecznymi, które cechuje trwałość i adaptowalność do wielu sytuacji, zarówno w życiu zawodowym, jak osobistym i społecznym.

Można dostrzec wspólną cechę wszystkich podejść

Te wyzwania wobec edukacji są dobrze rozpoznawane przez instytucje związane z systemami szkolnictwa wyższego. Zarówno instytucje europejskie, np. EUA, ESU, BFUG, ENQA czy Komisja Europejska, jak i instytucje krajowe (w Polsce np. KRASP i Rada Główna) wydają oświadczenia i deklaracje dotyczące nowego wymiaru tradycyjnej misji uniwersytetu – kształtowania postaw. Szczególnie dobrze widać to w rezultatach projektu EUA Effect, gdzie w *European Principles for Enhancement of L&T* jako główny cel kształcenia wskazuje się: „Szkolnictwo wyższe wspiera i umożliwia rozwój osób uczących się jako odpowiedzialnych obywateli, krytycznych myślicieli rozwiązujących problemy, gotowych do uczenia się przez całe życie. Edukacja wyższa wyposaża ludzi w wiedzę i umiejętności pozwalające żyć i uczyć się w zmieniającym się świecie, zdolnych do aktywnego zaangażowania ich samych w wielkie wyzwania współczesnego świata”.

Czy szkoły wyższe spełniają te zalecenia i rekomendacje? Niekoniecznie. Poniższy wykres, będący rezultatem badania prowadzonego przez EUA, pokazuje, że wprawdzie 46% szkół wyższych w Europie zachęca studentów do zaangażowania społecznego, ale tylko 17% uczy, jak i dlaczego to czynić. Tyleż samo oferuje pewną pulę punktów kredytowych za efekty kształcenia przynieszone spoza uczelni, a związane z działalnością prospołeczną.

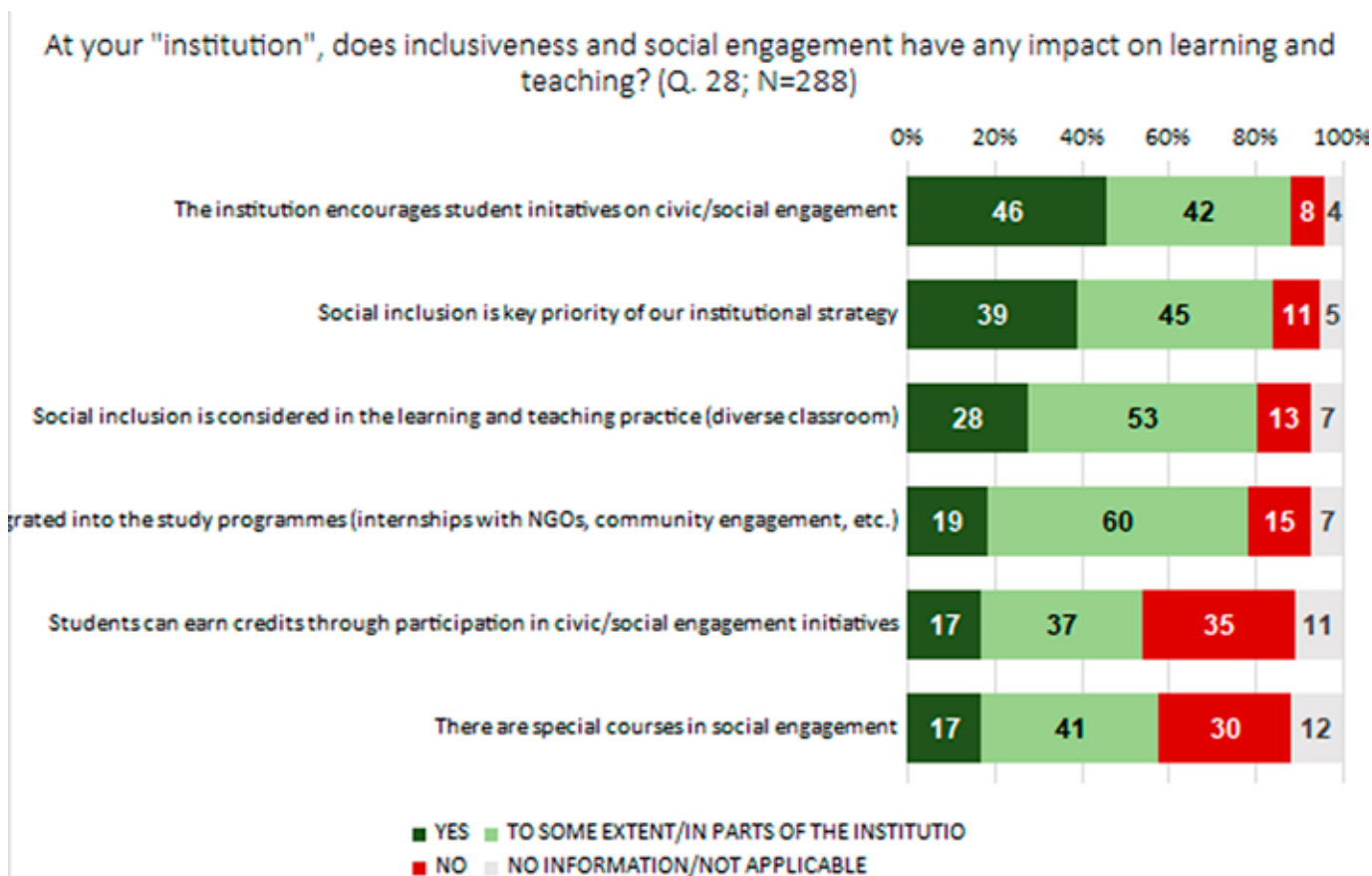
Wyniki wywiadów fokusowych przeprowadzonych w Polsce potwierdzają, że i w naszym kraju sytuacja nie jest lepsza, choć znane są przypadki dobrych i bardzo dobrych praktyk.

Ta konstatacja sprawiła, że drugim podstawowym celem projektu DASCHE stało się wspieranie polityk w obszarze kształcenia wyższego na poziomach europejskim i krajowych oraz w uczelniach w zakresie projektowania, kształtowania i weryfikacji kompetencji społecznych studentów.

Badania (metodą case studies) przeprowadzono w 26 uczelniach (4 – UK, 3 – Holandia, 4 – Niemcy, 5 – Czechy, 5 – Łotwa, 5 – Polska).

W Polsce badaniu poddano następujące uczelnie i programy: Szkoła Główna Handlowa – program międzynarodowy CEMS; Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Elblągu – Centrum Kompetencji Społecznych i moduł zajęć poświęcony tym kompetencjom; Uniwersytet Jagielloński, Collegium Medicum – kierunki: lekarski i pielęgniarstwo, z koncentracją na kompetencjach zawodowych związanych z pracą grupową i kontaktami z pacjentem; Politechnika Łódzka – International Faculty of Engineering, kompetencje wynikające z zastosowania metody „problem-based” learning; Uniwersytet SWPS – kierunek i program psychologia 2.0.

Badania rozpoczęto od próby ustalenia operacyjnej definicji tego, czym są kompetencje społeczne. Brano pod uwagę



Wykres 1

definicje z dokumentów europejskich, głównie dotyczących ram kwalifikacji oraz kompetencji kluczowych, jak też krajowe rozwiązania (w tym przepisy prawa) dotyczące zobowiązań uczelni. Respondentów w uczelniach pytano o ich rozumienie kompetencji społecznych. W rezultacie otrzymano wielką różnorodność podejść i definicji, która jest cenna poznawczo, ale utrudnia porównania i syntezę. Wspólne rozumienie, które daje się wyabstrahować z tej różnorodności, brzmi: „Jedna i jednowymiarowa definicja dla wszystkich nie jest ani możliwa, ani pożądana... Jednakże wbrew różnorodności charakterystyk kompetencji społecznych uwarunkowanych tradycją szkolnictwa wyższego w danym kraju oraz jego kontekstem prawnym, można dostrzec wspólną cechę wszystkich podejść. Jest to uznanie kompetencji społecznych za metakompetencję nadbudowaną nad wiedzę i umiejętnościami, wzbogaconą o refleksję aksjologiczną pozwalającą na samodzielne i odpowiedzialne ich zastosowanie prowadzące ku pożytkom społecznym”.

Jest to bardzo zbliżone do „postaw” w polskiej tradycji edukacyjnej, które uznawane są właśnie za metakompetencje nadbudowane nad wiedzę i umiejętnościami, dopełnione o trwałą motywację do zachowań.

Czy kształtujemy kompetencje społeczne?

Deskryptory Polskiej Ramy Kwalifikacji wprost zobowiązują uczelnie do kształtowania tych kompetencji, powiadając, że absolwent studiów jest gotów (cytat za deskryptorami szóstego poziomu) „do krytycznej oceny posiadanej wiedzy, wypełniania zobowiązań społecznych, inicjowania działania na rzecz interesu publicznego, myślenia i działania w sposób przedsiębiorczy itd. Ma także znać i rozumieć dylematy współczesnej cywilizacji”. Ponadto polskie uczelnie zobowiązane są ustawowo do wprowadzenia do programów zajęć oferujących kształcenie humanistyczne (w domyśle związanych ze wspomnianą powyżej refleksją nad wartościami) za całe 5 punktów ECTS. To bardzo wątpliwa zachęta, ale ją mamy.

Czy zatem w naszym kraju i w innych kształtujemy kompetencje społeczne? A jeśli tak, to w jaki sposób? Wszyscy respondenci w kraju i za granicą stwierdzali, że kształtowanie kompetencji społecznych jest ważnym celem edukacji wyższej. Wszyscy uważali, że zbyt mało uwagi poświęca się temu, czym są kompetencje społeczne i jakimi metodami je kształtować oraz jakie są skutki społeczne zaniechania świadomego kształtowania tych kompetencji. Większość respondentów uznawała, że otrzymuje zbyt małe wsparcie w tej sprawie ze strony rozwiązań prawnych stanowiących zaplecze działań edukacyjnych uczelni oraz ze strony osób podejmujących decyzje systemowe. Wszyscy respondenci uważali, że należy to zmienić, rozpoczynając od debaty konceptualizującej zagadnienie kompetencji społecznych na poziomie krajowym i instytucjonalnym. Tylko w niektórych krajach i uczelniach takie dyskusje się odbyły i podjęto działania służące wprost, świadomie i celowo kształtowaniu kompetencji społecznych – w większości pozostawia się to indywidualnemu zaangażowaniu nauczycieli i studentów bądź traktuje jako naturalny efekt uboczny innych treści i metod kształcenia, a także uczestniczenia w życiu środowiska akademickiego. Tymczasem nauczyciele akademicki nie są właściwie przygotowani do sensownego włączania kompetencji społecznych w efekty kształcenia swych zajęć ani też do pełnienia roli wzorotwórczej w tym zakresie.

Znikomy poziom zrozumienia

Formowanie kompetencji społecznych nie jest dobrze rozpoznawane i oceniane przez wewnętrzne systemy zapewniania jakości oraz przez instytucje akredytacyjne. Podobne zda-

nie, choć czasami dobitniej, formułowali respondenci z Polski. Przytoczmy opinię już prezentowaną na tym forum: „Od 2011 r. obserwujemy problem z kompetencjami społecznymi – nie wiemy, co z nimi zrobić, nie rozumiemy, jak je kształtować. Zakładano, że student zdobywa je sam przez się. W uczelniach brak jest czasu i ochoty na dyskusje o kompetencjach społecznych. Nawet twórcy programów studiów mają problem z określeniem, czym one są. Analiza ok. 100 programów jednego z uniwersytetów potwierdza, że wśród nauczycieli akademickich poziom zrozumienia potrzeby definiowania kompetencji społecznych w efektach kształcenia jest znikomy. Warto wskazywać, jaki będzie wpływ obniżenia poziomu tych kompetencji na zmianę społeczną; co się stanie, jeśli kompetencje społeczne nie będą wzmacniane przez edukację”.

Na tle tych wypowiedzi rekomendacja główna projektu DASCHE jest dość oczywista: Należy stworzyć zachętę i platformę do refleksji nad projektowaniem, rozwijaniem i oceną kompetencji społecznych studentów w szkołach wyższych. Należy prowadzić stałą debatę pomiędzy uczelniami, ich stowarzyszeniami, stowarzyszeniami studenckimi, agencjami zapewniania jakości, pracodawcami, NGO-sami, krajowymi i europejskimi ciałami decydującymi o strategiach rozwoju szkolnictwa wyższego, która to debata dotyczyć będzie koncepcji i sposobów kształtowania kompetencji społecznych w uczelniach.

Tej ogólnej rekomendacji towarzyszą długie listy rekomendacji szczegółowych, różne dla różnych krajów. Można je znaleźć na stronie www.dasche.eu.

Projekt DASCHE, jak większość projektów Erasmus+, nie jest projektem wyłącznie badawczym, jego celem jest nie tylko poznanie nowych faktów lub dostarczenie argumentów za głoszonymi postulatami. Cel jest także praktyczny – w jego ramach mieści się działanie, które powinno sprzyjać wdrożeniu rekomendacji w życie. Dlatego i na konferencji podsumowującej projekt, i podczas debaty w Radzie Głównej w lutym 2020 jako główne pytanie skierowane do uczestników stanęła kwestia: co dalej robić, aby rekomendacje projektu nie pozostały na papierze, lecz wpłynęły na akademicką rzeczywistość? Unikając oczywiście indoktrynacji i inżynierii społecznej, przed którymi ostrzegano w dyskusjach. Członkowie zespołu DASCHE uzyskali od „associated partners” projektu deklaracje wszczęcia takich debat na forach reprezentowanych przezeń organizacji. Będą także zachęcać PKA do prób opracowania standardu oceny uzyskiwania efektów uczenia się właściwych dla kompetencji społecznych. Z natury tych kompetencji oraz z dyskusji toczonej w projekcie wynika, że nie mogą one mieć charakteru ścisłych kryteriów podlegających zerowej ocenie, ale raczej charakter autorefleksji, samooceny uczelni czy jednostki dotyczącej realizacji tego fragmentu jej misji. Do ciał europejskich (EQF AG, grupy robocze BFUG, EUA, ESU, ENQUA i innych) oraz polskich instytucji zajmujących się szkolnictwem wyższym rozesłane zostaną materiały przedstawiające wyniki i postulaty projektu. Trudno a priori ocenić skuteczność tych działań, lecz niewątpliwie będzie to próba stworzenia platformy do dyskusji nad coraz pilniejszym tematem kompetencji społecznych.

Raporty krajowe, broszurę zawierającą główne konkluzje i rekomendacje projektu DASCHE, a także materiały z konferencji końcowej projektu można znaleźć na www.dasche.eu.

Prof. dr hab. Ewa Chmielecka, Szkoła Główna Handlowa, kierownik projektu DASCHE

Marek Wroński

Toruński doktorat „na źródłach”

Metoda zastosowana przez doktoranta jest prosta i polega na podaniu w innej kolejności faktów znanych z wcześniejszych biografów, rozbudowaniu „swojego” już tekstu i udokumentowaniu treści przypisami podanymi przez autorkę.

Sprawa, której chciałbym poświęcić miejsce, dotyczy doktoratu Radosława Krajniaka *Pralaci i kanonicy warmińskiej kapituły katedralnej do 1466 roku. Studium prozopograficzne* (promotor: prof. Andrzej Radziwiński), obronionego w końcu października 2017 r. na Wydziale Historycznym UMK w Toruniu. Doktorant magisterium z historii otrzymał w 2009 r. na podstawie pracy *Skład osobowy kapituły katedralnej w Chełmży do 1466 roku. Studium prozopograficzne* (promotor: A. Radziwiński). W tym samym roku rozpoczął doktoranckie studia dzienne pod opieką prof. Radziwińskiego. Zakończył je 20 września 2016 r. bez przedstawienia rozprawy doktorskiej. Ta została przekazana promotorowi dopiero na początku lutego 2017 r.

Już 22 lutego rada wydziału wyznaczyła recenzentów: prof. Krzysztof Ożóg z Instytutu Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego to wybitny mediewista, dyrektor Archiwum UJ i członek PAU, a dr hab. Teresa Borawska, em. prof. UMK, do jesieni 2014 r. pracowała w Zakładzie Historii Średniowiecza. Jest wybitną znawczynią historii średniowiecznej, nowożytnej kultury umysłowej Pomorza i Warmii, kapituły katedralnej i prozopografii kanoników we Fromborku (XIII-XVI w.), jak również badaczką kopernikanów.

Prof. Borawska otrzymała doktorat do recenzji pod koniec marca 2017 r. Kiedy się z nim dokładnie zapoznała, poczuła się nieswojo. Prowadziła wieloletnie badania nad składem osobowym kapituły warmińskiej i ich efektem było przeszło 350 biografów, które opublikowała pod swoim nazwiskiem i z pełnym aparatem naukowym w *Słowniku biograficznym kapituły warmińskiej*, wydanym w nakładzie 500 egz. w Olsztynie w 1996 r. Pamiętała, że ze względu na ograniczenia objętości książki, opracowywane przez wiele lat pracy biografy musiały zostać znacznie skrócone, a przypisy uproszczone. Tym niemniej przez kolejne dwadzieścia lat, szukając w przeróżnych archiwach, uzupełniała dane dotyczące kanoników, planując wydanie obszernej monografii. O temacie opracowywanym przez mgr Radosława Krajniaka, który zasadniczo powielił jej ustalenia, nie miała pojęcia, mimo że prof. Radziwiński przed laty był jej uczniem i dobrze znał tematykę badań, którymi się zajmowała.

Recenzentka z niedowierzaniem i zdumieniem stwierdziła, że autor za podstawę swojego tekstu przyjął 278 opracowanych przez nią biografów na łączną liczbę przedstawionych przez

niego 297 życiorysów, jednak nigdzie nie zaznaczył (a taka jest prawidłowa i wymagana forma), że „jego lekko udoskonalone” biografy wiele lat wcześniej zostały sporządzone przez Teresę Borawską, natomiast powoływał się na skrót „SBKW”. Natomiast gdy odwoływał się do opracowanych przez siebie biografów wcześniej wydrukowanych w *Encyklopedii Gdańskiej* (zamieszczone były bez aparatu naukowego), zawsze podawał własne nazwisko. Podobnie postąpił z biografami innych autorów, podając ich nazwiska. Prof. Borawska uznała więc, że mgr Krajniak ukrył jej autorstwo oraz ustalenia naukowe, posługując się przy dokumentacji omawianych życiorysów treścią i przypisami wziętymi z opracowanych przez nią biografów. A to właśnie one stanowią fundament i główną konstrukcję oraz zasadnicze treści jego dysertacji.

Technika pracy

We wstępie doktorant podkreślał, że wcześniejsze ustalenia w *Słowniku biograficznym kapituły warmińskiej* w większości wypadków wymagały poprawek i uzupełnień, zaś doktorat „jest w dużej mierze dyskusją z wynikami tej pracy”. Jednak zdaniem prof. Borawskiej brakuje podstaw do dyskusji z jej wynikami, gdyż R. Krajniak dokonał jedynie korekty i uzupełnień tekstu sprzed 22 lat na podstawie nowych publikacji. Ciekawe, że doktorant podaje „Nieliczne biografie i pojedyncze informacje z życiorysów, które nie zostały opatrzone przypisami, każdorazowo opracowane zostały na podstawie »Słownika... (SBKW)«”. Jednak po dokładnym sprawdzeniu te „nieliczne” biografy, oparte wyłącznie na dotychczasowych ustaleniach Teresy Borawskiej, stanowią niemal jedną trzecią – bo chodzi aż o 91 biografów – wszystkich życiorysów zamieszczonych w pracy doktorskiej. Warto podkreślić, iż spośród 297 życiorysów kanoników omówionych w doktoracie tylko pięciu ustalonych i jedenastu domniemych nie figuruje w biografach Borawskiej ze *Słownika biograficznego kapituły warmińskiej*. To jest całkowicie własny wkład autora do doktoratu!

Aby pokazać Czytelnikom, jak uprawiano „poletko naukowe T. Borawskiej”, poniżej przedstawiono kilka biografów z 1996 r. i ich twórczą zmianę w doktoracie z 2017 r.

Arnold z Braniewa: Syn mieszczanina braniewskiego Mikołaja. Był magistrem sztuk wyzwolonych oraz studentem prawa

kanonicznego, gdy 19 I 1367 otrzymał papieską prowizję na kanonię warm. Nie wiadomo jednak, czy wszedł w posiadanie prebendy (Borawska, s. 12-13).

Arnold von Braunsberg (de Brunsberg): Pochodził z Braniewa. Był synem niejakiego Nikolausa. Prowizję na kanonię w kapitule otrzymał 19 I 1367. W momencie otrzymania prowizji studiował prawo kanoniczne oraz tytułował się magistrem sztuk wyzwolonych. Nic więcej o nim nie wiadomo (Krajniak, s. 474).

Buselbeyn Bertold: Pochodził z diecezji mogunckiej i 27 XI 1394 otrzymał papieską prowizję na dużą kanonię we Fromborku. Później zamienił ją z K. Wetterheimem na parafię w Melzaku (Pieniężno) oraz średnią prebendę warm., co zostało potwierdzone przez papieża 7 V 1395. Jest to również ostatnia wiadomość o żyjącym B. (Borawska, s. 30).

Berthold Buselbeyn: Pochodził być może z Rzeszy, z diecezji mogunckiej. 27 XI 1394 został zatwierdzony przez papieża na kanonii i prebendzie warm., która zaważowała po śmierci Hermanna von Prag. Dość szybko dokonał jednak zamiany z K. Wetterheimem, mocą której przejął po nim średnią prebendę warm. oraz został plebanem kościoła parafialnego w Pieniężnie. Zamianę tę potwierdził 7 V 1395 papież. Nic więcej o nim nie wiemy (Krajniak, s. 207-208).

Kontakt z dziekanem

W drugiej połowie maja 2017 r., po wielu tygodniach dokładnego sprawdzania i porównywania obu tekstów, zbulwersowana prof. Borawska spotkała się z dziekanem, prof. Stanisławem Roszakiem, jak również z prof. Waldemarem Rozynkowskim – ówczesnym dyrektorem Instytutu Historii oraz przewodniczącym komisji doktorskiej. Poinformowała ich, że doktorat został całkowicie oparty na jej ustaleniach naukowych sprzed ponad dwudziestu lat, zaś autor nie powołał się bezpośrednio i „ukrył” jej nazwisko w bibliografii. Z tego powodu nie ma możliwości przyjęcia tej pracy jako doktoratu, gdyż jest niesamodzielną. Rozmawiała także z prof. Andrzejem Radziwińskim, któremu zasugerowała wycofanie doktoratu, bowiem ignoruje on i przemilcza jej dokonania naukowe oraz narusza prawa autorskie.

Spotkała się z całkowitym niezrozumieniem. W związku z tym, że wpłynęła już pozytywna recenzja prof. Krzysztofa Ożoga, zaproponowano jej, by złożyła krótką, jednozdaniową rezygnację z recenzowania, a praca zostanie „poprawiona” i powoła się innego recenzenta.

W połowie czerwca 2017 r. na ręce dziekana Roszaka wpłynęła rezygnacja prof. Teresy Borawskiej, w której na dwóch stronach przedstawiła powyżej opisane fakty. Jakiś czas później prof. Radziwiński przekazał jej „poprawioną” wersję pracy, liczącą 568 stron (11 stron więcej), gdzie w bibliografii wprowadzono do wszystkich biogramów nazwisko autorki. Dokonano też zmian w tekście, podkreślając jej dokonania badawcze.

Obrona doktoratu

Na początku września 2017 r. prof. Andrzej Radziwiński wystąpił do Rady Wydziału Nauk Historycznych UMK o powołanie nowego recenzenta. Zarówno on, jak i dziekan nie poinformowali, że powstała nowa wersja pracy doktorskiej, w której 11 stron zajęły wyszczególnione odniesienia do biogramów T. Borawskiej. Tę drugą, poprawioną wersję doktoratu w połowie września 2017 r. przesłano nowej recenzentce, dr hab. Ewie Wólkiewicz, świeżo upieczonej profesor w Instytucie Archeologii i Etnologii PAN w Warszawie, mediewistce zajmującej się m.in. badaniami nad władztwem kościelnym (biskupim) na Dolnym Śląsku. Jej pozytywna recenzja nosi datę 2 X 2017 r.

Publiczna obrona doktoratu odbyła się 26 X 2017 r. Na obronę przyszedł tłum studentów, ale nie było dziekana. Także ze względów zdrowotnych nie przyszedł prof. Borawska, ale

uczestniczył w niej jej mąż, dr Henryk Rietz, wieloletni emerytowany adiunkt Wydziału Nauk Historycznych UMK, historyk czasów nowożytnych.

Komisji doktorskiej przewodniczył prof. Waldemar Rozynkowski, ówczesny dyrektor Instytutu Historii, który nie wstrzymał obrony. A przecież wiedział o zarzutach niesamodzielnosci pracy, poinformowany bezpośrednio przez prof. Borawską, był na jej spotkaniu z dziekanem Roszakiem, a z urzędu otrzymał kopię jej rezygnacji z promotorstwa, gdzie przedstawiła merytoryczne zarzuty niesamodzielnosci pracy.

Dr Henryk Rietz na publicznej obronie zdążył tylko powiedzieć, iż doktorant swoją pracę oparł głównie na ponad 270 biogramach kanoników warmińskich opublikowanych w 1996 r. przez T. Borawską, gdy prof. Rozynkowski przerwał jego wypowiedź, stwierdzając, że może jedynie zadać pytanie. Rietz zapytał więc tylko, czy doktorant nie boi się, że złamał jedno z przykazań dekalogu, i że może być wysunięty zarzut plagiatu. Na wystąpienie nikt nie zagregował. Milczeli wszyscy, w tym recenzenci: prof. K. Ożóg i dr hab. E. Wólkiewicz. Komisja doktorska (wśród jej członków byli też prof. Janusz Tandecki z Katedry Archiwistyki i Zarządzania Dokumentacją UMK, prof. Sławomir Józwiak z Katedry Historii Średniowiecza i Nauk Pomocniczych Historii UMK oraz prof. Radosław Biskup z Katedry Historii Skandynawii i Europy Środkowo-Wschodniej UMK) przyjęła obronę jednomyślnie siedmioma głosami.

Po obronie, a na tydzień przed planowanym posiedzeniem Rady Wydziału w dniu 14 listopada 2017 r., kiedy miało się odbyć głosowanie nad nadaniem stopnia mgr. R. Krajniakowi, dr Rietz skierował siedmiostronicowe, emocjonalne pismo na ręce dziekana S. Roszaka, w którym „w trosce o dobro Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i w imię rzetelności badań naukowych” prosił o przekazanie członkom Rady Wydziału oraz recenzentom „moich spostrzeżeń związanych z publiczną obroną pracy doktorskiej mgr. R. Krajniaka. (...) W tym wypadku na polecenie promotora A. Radziwińskiego doktorant przejął wydrukowane w 1996 roku przez T. Borawską 272 życiorysy prałatów i kanoników warmińskich i starannie to ukrywając przedstawił jako własne. Metoda zastosowana przez R. Krajniaka jest prosta i polega na podaniu w innej kolejności faktów znanych z biogramów T. Borawskiej, rozbudowaniu »swojego« już tekstu i udokumentowaniu treści przypisami podanymi przez autorkę. Wszystkie korekty i uzupełnienia, także w przypisach, doktorant przedstawia jako własne niebywałe osiągnięcia naukowe. Unikając cytowania nazwiska T. Borawskiej często przypisuje jej ustalenia »ulubionym« innym autorom. Dla przykładu R. Krajniak powołuje się w swojej dysertacji na wybranych osiem stron artykułu prof. dr hab. Krzysztofa Mikulskiego (*Mikołaj Kopernik. Środowisko społeczne, pochodzenie i młodość*, Toruń 2015, s. 65-69, 75-77) aż 66 razy, chociaż ten podaje jako źródło swoich informacji właśnie jej biogramy. Taka forma zapisu bibliograficznego i narracji łamie podstawowe zasady warsztatu naukowego historyka. (...) Przebadane szczegółowo przez T. Borawską środowisko kanoników warmińskich nie stwarzało możliwości wielkich odkryć, toteż R. Krajniak zdołał jedynie opisać losy 22 nieznanych dotąd duchownych, zresztą od dawna odnotowanych w kartotece T. Borawskiej. (...) W rzeczywistości aż w 81 biogramach R. Krajniak nic nie zmienił, tylko innymi słowami powtórzył ustalenia T. Borawskiej, dokumentując je wykorzystanymi przez nią źródłami i cytowaną literaturą. W 52 innych biogramach przejętych od T. Borawskiej doktorant wprowadził zaledwie drobne, »kosmetyczne« uzupełnienia. Zgodnie z prawdziwym obrazem pracy R. Krajniaka jego dysertacja może otrzymać tylko następujący tytuł: »Teresa Borawska, Prałaci i kanonicy warmińskiej

kapituły katedralnej do 1466 roku. Skorygował i uzupełnił Radosław Krajniak».

Dalej dr Rietz stwierdził, że w czasie publicznej obrony komisja doktorska miała przed sobą dysertację R. Krajniaka liczącą 568 stron i taki sam egzemplarz był udostępniony w czytelni Biblioteki Głównej UMK w Toruniu. „Jednak recenzent, prof. Krzysztof Ożóg, w swej opinii z 15 maja 2017 r. oparł się na innej pracy, bo liczącej 557 stron. To w tym egzemplarzu R. Krajniak zataił autorstwo biogramów T. Borawskiej i zastąpił je skrótem „SBKW”. W recenzji prof. K. Ożoga nie zostało więc nawet wymienione nazwisko Teresy Borawskiej jako autorki biogramów, które składają się na treść dysertacji.

Recenzja dr hab. Ewy Wólkiewicz z 2 października 2017 r. opierała się na innym egzemplarzu dysertacji, liczącym 568 stron. Enigmatyczne wzmiankowanie nazwiska T. Borawskiej nasuwa jednak pytanie, czy recenzentka celowo przeczyła wyraźnie zaznaczone przez doktoranta w tekście autorstwo T. Borawskiej. Zadziwia zwłaszcza to, że recenzentka nie dostrzegła wyliczonych przez R. Krajniaka w spisie literatury na przeszło 10 stronach (s. 537-548) 272 życiorysów kanoników autorstwa T. Borawskiej, które stanowią zasadniczą treść dysertacji”.

Dalej dr Rietz zapytywał: „Na czym też polega dostrzeżone przez recenzentów **poważne i oryginalne osiągnięcie naukowe** (K. Ożóg) lub że praca jest **oryginalna i samodzielna** (E. Wól-

kiewicz), skoro na jej treść składają się 272 przepracowane w „oryginalny” sposób biogramy pióra T. Borawskiej oraz tylko 22 biogramy własne doktoranta? Czy recenzenci oraz promotor po porównaniu tekstu R. Krajniaka z ustaleniami T. Borawskiej nie dostrzegają w dysertacji daleko idących zapożyczeń i tym samym znamion misternie zakamuflowanego plagiatu? Czy członkowie Komisji Doktorskiej poinformowani zostali, że recenzje pracy doktorskiej R. Krajniaka dotyczą **dwóch różniących się egzemplarzy**? Czy przewodniczący Komisji Doktorskiej rozważał, że ten dziwny i niewytłumaczalny przypadek przekazywania do oceny **2 różniących się egzemplarzy** pracy doktorskiej może być działaniem celowym i zaplanowaną manipulacją? Czy o swoich wątpliwościach poinformował członków Komisji?

Czy taki sposób przeprowadzenia obrony pracy doktorskiej nie narusza obowiązujących przepisów?”.

Kopie swojego pisma dr Rietz skierował w kopertach pocztowych zaadresowanych imiennie do kilkunastu profesorów z Wydziału Historycznego UMK, jak również do rektora Andrzeja Tretyna.

Dziekan Stanisław Roszak, mimo obowiązku prawnego, nie przedstawił pisma Radzie Wydziału, a ta, już o nic nie pytając, 14 listopada 2017 r. zatwierdziła doktorat. Odpowiedział nadawcy jednak następnego dnia, stwierdzając, że „uważnie zapoznał się z dokumentami” i cała procedura przewodu doktorskiego i obrony pracy przeprowadzona została prawidłowo, zaś ewentualne uwagi dr. Rietza do tekstu doktoratu powinny zostać poddane pod dyskusję w czasopiśmie naukowym.

Także na moje pytania o tę sprawę zarówno dziekan, jak i promotor odpowiedzieli, że wszystko było w porządku.

Postępowanie dyscyplinarne

Jedynym efektem pisma dr. Henryka Rietza było to, że na polecenie rektora Andrzeja Tretyna prof. Bogusław Sygit, rzecznik dyscyplinarne UMK, wszczął 18 grudnia 2017 r. trzy wyjaśniające postępowania dyscyplinarne: wobec dr. R. Krajniaka w związku z zarzutami naruszenia praw autorskich dr hab. Teresy Borawskiej; w sprawie podejrzenia naruszenia procedury obowiązującej w toku przeprowadzenia przewodu doktorskiego przez dopuszczenie do obrony wersji pracy doktorskiej innej niż przyjęta przez Radę Wydziału, tj. o czyn uchybiający obowiązkom osób odpowiedzialnych za przebieg obrony pracy doktorskiej zgodnie z obowiązującymi przepisami, co dotyczyło prof. W. Rozyńskiego oraz w sprawie otrzymanych od prof. A. Radziwińskiego przez T. Borawską esemesów, których treść miała wymusić rezygnację z podnoszenia zastrzeżeń pod adresem pracy doktorskiej R. Krajniaka, co odbierała jako groźby wobec niej samej i jej pozycji naukowej w środowisku akademickim, tj. o czyn naruszający prawa i uchybiający godności nauczyciela akademickiego (art. 139 ust. 1 cyt. ustawy).

Prof. Sygit 11 lutego 2018 r. umorzył postępowanie wyjaśniające wobec dr. Krajniaka, uzasadniając, że w czasie przedłożenia promotorowi i Radzie

Bys. Sławomir Małaj



Wydziału w lutym 2017 r. nierzetelnej pracy doktorskiej oraz wypowiedzianemu w dniu 26.10.2017 r. pod adresem T. Borawskiej słów obraźliwych i szkalujących jej dorobek, nie miał statusu nauczyciela akademickiego (sic!). Studia doktoranckie ukończył bowiem 20 września 2016 r., a zatrudniony został jako nauczyciel akademicki od 7 stycznia 2018 r.

3 marca 2018 r. zostało złożone zażalenie H. Rietza na umorzenie, z argumentami, iż w dostępnych źródłach R. Krajniak określany był zawsze jako „młody pracownik i naukowiec z UMK”. Na tej podstawie otrzymał w maju 2017 r. 28 tys. złotych stypendium „Start” z Fundacji Nauki Polskiej, jak również 21 grudnia 2017 r. uzyskał także grant rektora UMK na wyjazdy badawcze do Polskiej Misji Historycznej w Würzburgu (Niemcy), a w regulaminie konkursu wyraźnie zaznaczono: „O granty mogą ubiegać się nauczyciele akademicy i doktoranci UMK”.

Uczelniana Komisja Dyscyplinarna, której przewodniczył wtedy dr hab. Wojciech Pośpiech z Zakładu Muzykoterapii Collegium Medicum w Bydgoszczy, a która rozpatruje takie zażalenia, w żaden sposób nie odpowiedziała na zażalenie, co stanowi naruszenie prawa.

Z kolei 28 lutego 2018 r. prof. Sygit złożył wniosek do przewodniczącego UKD o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego wobec prof. A. Radziwińskiego i prof. W. Rozynkowskiego, żądając odpowiednio ukarania naganą i upomnieniem. Powinno to nastąpić niezwłocznie. Jednak skład orzekający do tej sprawy został powołany dopiero po dziesięciu miesiącach – 21 grudnia 2018 r., kiedy dwa miesiące wcześniej Senat formalnie odwołał prof. W. Pośpiecha, gdyż ten z końcem sierpnia odszedł z pracy w uczelni, wcześniej zaniedbując swoje obowiązki w UKD. Nowo

nominowany przewodniczący komisji dyscyplinarnej, dr hab. Maciej Wróblewski, prof. UMK, od listopada 2018 r. zaczął porządkować tę „dyscyplinarną stajnię Augiasza”, powołując na przewodniczącego składu prof. Aleksandra Gocha, kardiologa z Collegium Medicum w Bydgoszczy. Ten wyznaczył pierwszą rozprawę na 8 kwietnia 2019 r. Podczas posiedzenia w sposób wysoce naganny przesłuchiwał dr Rietza. Po skardze do rektora podał się do dymisji. Wcześniej, na wniosek prof. Sygita, 20 marca 2019 r. wyłączył z postępowania sprawę prof. Rozynkowskiego, motywując, że ze względu na ekonomikę procesową (sic!) karę upomnienia może wymierzyć sam rektor. W mojej opinii nie można było tak zrobić i jest to naruszenie prawa.

Kolejnym przewodniczącym składu orzekającego została 7 stycznia 2020 r. prof. Alina Sionkowska, która po kilku tygodniach studiowania akt zrezygnowała z pracy w UKD, tłumacząc się chorobą. Wyznaczony 24 lutego br. na jej miejsce prof. Grzegorz Zwara, umorzył 13 marca 2020 r. postępowanie dyscyplinarne wobec prof. Radziwińskiego. Uzasadnił, że następuje to z mocy prawa, gdyż poprzednia ustawa o szkolnictwie wyższym z 2005 r., na podstawie której wszczęto postępowanie wyjaśniające, „automatycznie” przedawniała wszelkie postępowania, które nie zakończyły się w ciągu dwóch lat od chwili złożenia wniosku o ukaranie, a ten okres minął 28 lutego 2020 r.

Tak wygląda rzetelność akademicka na Wydziale Nauk Historycznych oraz sprawność postępowań dyscyplinarnych w uniwersytecie badawczym, jakim jest obecnie toruński Uniwersytet Mikołaja Kopernika.

Marekwro@gmail.com

Po publikacji artykułu Marka Wrońskiego Rektorska habilitacja w internetowej wersji FA 3/2020 otrzymaliśmy sprostowanie dr. hab. inż. Mariusza Cygnara, prof. PWSZ, rektora PWSZ w Nowym Sączu. Publikujemy je w zakresie zgodnym z wymogami prawa prasowego.

Warto zauważyć, że słowo „sprostowanie” w prawie prasowym, zgodnie z orzecznictwem polskich sądów, nie oznacza tego samego, co w słownikach języka polskiego.

Sprostowanie

1. Nieprawdziwe jest stwierdzenie, że badania prowadzone w ramach habilitacji były prywatnym moim przedsięwzięciem. Byłem członkiem zespołu badawczego projektu pt. „Silnik spalinowy dwuobiegowy o zmiennym zapłonie iskrowym i samoczynnym”, grant nr: N N509 405036. O fakcie mojego uczestnictwa, przed zgłoszeniem grantu, śp. prof. Sendyka poinformował Dyrekcję Instytutu Pojazdów Samochodowych i Silników Spalinowych WM PK i nie budziło to ich żadnego sprzeciwu. Trudno jest mi odnieść się do pisma, o którym zarówno ja, jak i śp. prof. Sendyka nie wiedzieliśmy. Dyrekcja Instytutu wiedziała o mojej habilitacji, a jej stanowisko po 8 latach, gdy nigdy wcześniej nie kierowano takich zarzutów, jest próbą wykorzystywania faktu, iż kierownik projektu, prof. Sendyka nie żyje.

2. Nieprawdą jest, jakoby nie wykonywał badań i w monografii naukowej nie wskazał miejsca ich wykonywania. Informacja o miejscu i nr grantu widnieje w monografii.

3. Nieprawdą jest, iż seminarium instytutowe miało się odbyć na żądanie ówczesnego Dyrektora Instytutu. To prof. Sendyka zainicjował go w celu dyskusji, a ja zapraszałem pracowników Instytutu. Obecny na spotkaniu prof. Brzeżański

nie zgłaszał uwag merytorycznych, tylko twierdził, że nie widywał mnie w Instytucie, czego nie potwierdzili pozostali uczestnicy. Po skończeniu doktoratu, czynnie uczestniczyłem w procesie badawczym Instytutu, czego efektem były dotacje z MNiSW na realizację z moim udziałem prac, m.in.:

Zastosowanie bezpośredniego wtrysku paliwa w silniku z zapłonem iskrowym – Część XII; Praca naukowa 15/12/2009;

Zastosowanie bezpośredniego wtrysku paliwa w silniku z zapłonem iskrowym – Część XI; Praca badawcza 04/12/2008;

Zastosowanie bezpośredniego wtrysku paliwa w silniku z zapłonem iskrowym – Część X; Praca naukowa 31/12/2007.

Nieprawdą jest także, jakoby wyniki moich badań były zaczerpnięte z pracy doktorskiej M. Nogi. Dotyczyły one zupełnie innych problemów. W oparciu o ten sam silnik spalinowy uzyskano nowy model spalania dla silnika pracującego w trybie zapłonu iskrowego i samoczynnego.

4. Nieprawdą jest, że ówczesny Dziekan prof. Wojnar zaprosił mnie na rozmowę w celu wyjaśnienia przeze mnie wątpliwości. Na spotkaniu tym prof. Wojnar poinformowa-

nia mnie o sytuacji panującej na Wydziale i nieprzychylności wielu osób wobec prof. Sendyki, która to nieprzychylność mogła mieć skutki także dla mnie. W związku z tym zasugerowałem mi wycofanie się z dalszego procedowania. Wyłączenie to powody były przyczyną omawianego spotkania z prof. Wojnarem. Jeśli natomiast chodzi o fakt niepobierania wynagrodzenia z grantu, to wynikało to z mojej decyzji podjętej w związku z tym, że już wówczas pracowałem w PWSZ w Nowym Sączu. Jednocześnie fakt zatrudnienia w PWSZ nie wykluczał mojego udziału w projektach realizowanych w innych jednostkach, w tym w PK, gdzie obroniłem pracę doktorską.

5. Fakt, że na tablicy ogłoszeń Rady Wydziału Budowy Maszyn i Lotnictwa PRz pojawiła się informacja, że temat mojego seminarium będzie zbieżny z tematem mojego doktoratu, wynikał wyłącznie z błędu technicznego, co mogą potwierdzić uczestnicy tego seminarium. Błąd ten nie miał żadnego wpływu na moją habilitację.

6. W celu opracowania monografii pt. *Zastosowanie systemu zapłonowego iskrowego i samoczynnego w silniku spalinowym* zwróciłem się do Wydawnictwa Naukowego PK o uzyskanie zgody na wykorzystanie zawartych w poprzedniej monografii wyników badań. Uzyskałem stosowną zgodę i na jej podstawie wydałem ww. monografię. Nieprawdą jest,

że jedynymi wykonawcami byli wyłącznie pracownicy Instytutu PSiSS, a dowodem tego jest wspólny artykuł uczestników projektu: Cygnar M., Sendyka B., Noga M., *System of electronic control of changing ignition from spark-ignition to compression-ignition in a four stroke engine*, 4th International Congress on Combustion Engines PTNSS, Radom 2011. Nieprawdą jest też, że w ramach tego projektu powstał doktorat M. Nogi, grant dotyczył „Silnika spalinowego dwuobiegowego o zmiennym zapłonie iskrowym i samoczynnym”, a nie „Wpływu zastosowania dwuwtryskiwaczowego układu zasilania na parametry robocze silnika spalinowego”, co było tematem pracy doktorskiej M. Nogi.

7. Nieprawdziwą jest informacja o braku zgody na przebywanie na terenie Katedry celem wykonywania badań bez wiedzy kierownictwa Instytutu. Osobiście zanośliłem pismo do Dyrektora Instytutu skierowane przez prof. Sendykę o ww. zgodę, którą otrzymałem.

8. Ze zdziwieniem odbieram fakt, że kiedykolwiek moją osobą zajmowało się CBA. Nic mi o tym nie wiadomo, w tej sprawie nie otrzymałem także żadnej oficjalnej informacji od Centralnej Komisji ds. stopni i tytułów naukowych.

dr hab. inż. Mariusz Cygnar, prof. PWSZ

Odpowiedź autora

W pełni podtrzymuję treść artykułu i leżący u jego podstaw zarzut niewykonywania badań będących „filarem” zarówno „krakowskiej”, jak i „rzyszowskiej” monografii habilitacyjnej.

Ad. 1. Aczkolwiek dr inż. Mariusz Cygnar we wniosku grantowym początkowo został wpisany jako wykonawca, to członkowie grupy badawczej zgodnie zaświadczyli, że nie wykonywał żadnych badań eksperymentalnych na silnikowym stanowisku badawczym i nie otrzymał żadnego honorarium.

Ad. 2. W monografii krakowskiej nie ma żadnej informacji o tym, gdzie i kiedy wykonano badania. Dr Marcin Noga, z którego doktoratu i prac dane liczbowe „cudownie” weszły do obydwu monografii napisał: „Jeśli chodzi o działalność w ramach projektu badawczego N N509 405036, p.t.: Silnik spalinowy dwuobiegowy o zmiennym zapłonie iskrowym i samoczynnym to brałem udział w przygotowaniu wniosku oraz pracowałem jako wykonawca przez cały okres jego realizacji. Wraz z pracownikiem inżynierijno-technicznym mgr. inż. Łukaszem Rodakiem uczestniczyłem w przygotowaniu koncepcji i budowie stanowiska do zrealizowania projektu. Następnie byłem odpowiedzialny za przygotowanie planu badań eksperymentalnych, uczestniczyłem w przeprowadzeniu tych badań, a po tym opracowywałem i analizowałem uzyskane wyniki, które konfrontowałem także z rezultatami badań symulacyjnych prowadzonych w projekcie przez dra hab. inż. Władysława Mitiańca. Poza tym prowadziłem bieżącą obsługę silnika badawczego, który, jak to konstrukcja eksperymentalna, ulegał stosunkowo często awariom. Po zakończeniu realizacji projektu brałem udział w opracowaniu raportu końcowego oraz sprawozdania merytorycznego. (...) Nie jest mi wiadome, ażeby

na silniku badawczym wykorzystywanym w projekcie prowadzono inne badania w systemie ze zmiennym zapłonem iskrowym i samoczynnym, aniżeli te, o których pisałem powyżej”.

Ad. 3. Prof. Sendyka był już wtedy emerytem i nie miał mocy sprawczej odnośnie organizowania zebrań naukowych w Instytucie Pojazdów Samochodowych i Silników Spalinowych PK. Wyniki w Pańskiej monografii zostały zaczerpnięte zarówno z doktoratu, jak i z innych publikacji dr. M. Nogi i dr. hab. W. Mitiańca – widać to doskonale na obszernych konkordancjach, które zostały wykonane.

Ad. 4. Charakter Pańskiego spotkania z dziekanem Wojnarem przedstawiono w artykule na podstawie pisemnej relacji tego ostatniego.

Ad. 5. Napisano prawdę.

Ad. 6. Czytaj odpowiedź Ad. 2 i Ad. 3.

Ad. 7. Chętnie zobaczę skan tego pisma. Kierownictwo Katedry tego nie potwierdziło, jak również nigdy „nie miało szczęścia” spotkać Pana przy badaniach eksperymentalnych.

Ad. 8. CBA nie zajmowało się sprawą Pańskiej habilitacji, natomiast przekazało informację o podejrzeniach niezręczności naukowej do Centralnej Komisji. Ta nie powiadamia zainteresowanych, jeśli uzna zarzuty za niepotwierdzone.

Zajmuję się patologią nauki od 23 lat, mój artykuł nie był więc „bezpodstawnym i oszczerczym atakiem” na Pańską osobę, jak to przedstawiono na stronach internetowych PWSZ w Nowym Sączu, ale rzetelnym przedstawieniem faktów, które są odzwierciedlone w dokumentach. Na ich podstawie zarzuty będzie wyjaśniał Rzecznik Dyscyplinarny Ministra. O jego ustaleniach poinformujemy.

Dr hab. Marek Wroński, prof. uczelni



Marek Misiak

Na czym się nie znają redaktorzy i autorzy

Fot. Stefan Ciechan

Przyszła pora, aby wskazać, na czym redaktor może się nie znać (aby potencjalni autorzy byli na to wyczuleni), ale też podzielić się moimi doświadczeniami co do tego, na czym często nie znają się autorzy (a sądzą, że się znają). Zaczynam rzecz jasna od siebie.

Jednym z filmów mojego dzieciństwa była *Siła magnum* (*Magnum Force*, USA 1973, reż. Ted Post), kontynuacja kultowego *Brudnego Harry'ego* nakręcona w 1973 roku. Tu także Clint Eastwood jako bezkompromisowy, działający na granicy prawa inspektor Harry Callahan walczył z przestępczością w San Francisco, jak wskazuje tytuł głównie z użyciem wielkokalibrowego rewolweru Colt 45 Magnum. Ujmując rzecz językiem bohaterów tej filmowej serii, w drugiej części pedał został dociśnięty niemal do podłogi: bohater jest mężczyzną tak twardym, że jego charyzma niemal wybrzusza ekran. Inni bohaterowie (np. skorumpowany przełożony) bezskutecznie starają się mu dorównać, Clint Eastwood zaś – równie bezskutecznie – ostrzega ich, że trzeba znać swoje ograniczenia.

Podczas pracy w wydawnictwie naukowym także można, czasem boleśnie, przekonać się o własnych i cudzych ograniczeniach (przede wszystkim własnych). Pracuję z osobami, których kompetencje są znacznie szersze niż moje i bywa, że dzień za dniem muszą się przyznawać do niewiedzy lub niedostatków wiedzy w jakimś obszarze. Przyszła zatem pora, aby wskazać, na czym redaktor może się nie znać (aby potencjalni autorzy byli na to wyczuleni), ale też podzielić się moimi doświadczeniami co do tego, na czym często nie znają się autorzy (a sądzą, że się znają). Zaczynam rzecz jasna od siebie.

Śmiałość i pokora

Przede wszystkim ograniczona jest wiedza redaktorów na temat szczegółowych zagadnień poruszanych w specjalistycznych tekstach. Redaktorów można z grubsza podzielić na dwie grupy. Pierwsi zdobyli wykształcenie w dziedzinie, w której specjalizują się jako redaktorzy, a umiejętności redaktorskie uzyskali później. Drudzy mają filologiczne wykształcenie, a wiedzę fachową z dziedzin, których dotyczą redagowane teksty, zdobywają w miarę nabierania doświadczenia zawodowego. W żadnym jednak przypadku nie będą dorównywać poziomem wiedzy fachowej specjalistom-naukowcom; w wydawnictwie medycznym jest to widoczne szczególnie wyraźnie. Dlatego zawsze czuję się niepewnie, gdy w innych wydawnictwach redaktorzy idą w zaparte w polemikach z autorami, nie zdając sobie najwyraźniej sprawy, że pokazują w ten sposób nie cudze błędy, lecz własne ograniczenia. Człowiek wykształcony, inteligentny i doświadczony w pracy redakcyjnej może zweryfikować wiele rzeczy w ogólnodostępnych publikacjach i w zaufanych źródłach internetowych, ale dokładne zrozumienie wielu szczegółowych zagadnień pozostaje jednak dla niego niedostępne. Dlatego autorzy nie powinni ustępować pewnym siebie redaktorom, jeśli widzą, że może to doprowadzić do przeinaczeń w tekście; pewność siebie może mieć różne pod-

stawy, rzetelna wiedza jest tylko jedną z możliwych. Rodzi to jednak zobowiązanie także w drugą stronę: autorzy nie mogą oczekiwać, że redaktorzy wychwycą błędy merytoryczne. Jeśli nie zauważyli ich recenzenci, to redaktor zauważy najpewniej rzeczy najbardziej oczywiste, np. błędy w obliczaniu procentów lub wymienne używanie nietożsamyh pojęć. Ważne jest odróżnienie redakcji merytorycznej od językowej – od redaktora merytorycznego należy oczekiwać wychwytywania błędów rzeczowych, od redaktora językowego – tylko w ograniczonym stopniu.

W publikacjach z obszaru niektórych nauk – w języku polskim jest to szczególnie widoczne w tekstach prawniczych – spotkać można specyficzne konstrukcje językowe, które w normie wzorcowej w języku ogólnym byłyby niepoprawne, a w najlepszym razie stylistycznie wątpliwe. Poprawianie takich prac wymaga od redaktora zarówno śmiałości, jak i pokory. Z jednej strony czasem po prostu trzeba zainterweniować, z drugiej niektóre z tych sformułowań są na tyle silnie zakorzenione w tradycji prawniczego (lub innego) profesjolektu, że ich zamienienie na inne konstrukcje czyniłoby tekst mniej zrozumiałym dla innych prawników (a nikt inny nie będzie go czytał). Pokora ze strony redaktora jest tu tym istotniejsza, że w grę wchodzi nie rzadko poprawność nie gramatyczna, a stylistyczna, przy której większą (choć warto dodać: nie absolutną) rolę odgrywa subiektywne odczucie, a fachowe publikacje poprawnościowe nie zawsze obejmują facholekty. Może się zatem zdarzyć tak, że jakieś sformułowanie mi się „nie widzi”, ale to kwestia moich prywatnych stylistycznych upodobań (niektórych nieuświadomionych). Jednak redaktor nie może się też dawać autorom za każdym razem spychać do narożnika argumentacją, że jest to fachowy język, sformułowanie „przyjęte w branży” albo (już kiedyś o tym pisałem) „zrozumiałe dla specjalisty”. Czasem faktycznie, a czasem zasada nieinterwencji (jak przy siłach pokojowych ONZ) mogłaby doprowadzić do powstawania „doktoratów pisanych grypsą” (tytuł programu TVP z lat dziewięćdziesiątych).

Coś mi tu nie pasuje

Zdarzają się w pracy redaktora sytuacje, gdy zdanie w tekście wydaje się niejasne – i nie wynika to z niedostatków tekstu, lecz z niepełnej orientacji redagującego w danym zagadnieniu. Wówczas przyda się możliwość skonsultowania z redaktorem merytorycznym lub po prostu specjalistą w danej dziedzinie. Nie może być tak, że autor przerabia zdania lub całe akapity, cierpliwie czekając, aż redaktor zrozumie myśl. Czasem jest tak, że nie wiem, co konkretnie jest nie tak, ale coś mi nie pasuje. Wtedy lepiej ustalić z autorem, co miał na myśli, a nie zaznaczać tylko, że zdanie nadaje się do przerobienia (jest duża szansa, że autor po prostu nie zrozumie, o co właściwie nam chodzi).

Zdarzają się też jednak sytuacje, w których to autor usiłą przeforsować swoje koncepcje, mimo iż prowadzi to do powstania publikacji przygotowanej w sposób niezgodny z edytorskimi kanonami, a czasem wręcz ze zdrowym rozsądkiem. Takie przepychanki między autorem a redakcją mają szczególnie dwuznaczny posmak, jeśli autor płaci za publikację z własnej kieszeni – w świetle reguł wolnego rynku wydawałoby się logiczne, że ma prawo zamknąć dyskusję sformułowaniem „płacę i wymagam”. Tyle że to nie takie proste. Nawet w przypadku vanity publishing ani autor, ani wydawnictwo nie mogą sobie pozwolić na podpisywanie się pod czymś, co osoby mające podstawowe pojęcie o edytorstwie zwyczajnie wyśmieją (najczęściej nie w obecności zainteresowanych, ale jednak). A niestety zarówno z mojej, jak i bardziej doświadczonych redaktorów praktyki wynika, że wiele osób uprawiających zawo-

dowo naukę uważa także, że całkiem przyzwoicie znają się na redakcji, korekcie, składzie i projektowaniu graficznym. Co ciekawe, w minimalnym stopniu zależy to od posiadanego stopnia, tytułu naukowego czy dorobku. Zdarzają się fantastyczni we współpracy profesorowie o europejskim formacie i doktoranci komunikujący się tylko w jedną stronę. Zdarza się też, że autorzy – choć dobrze znają język obcy (chodzi rzecz jasna głównie o angielski) – nie zetknęli się nigdy z edytorstwem w tym języku. Nie idzie tu o niedostateczną znajomość języka, bo z tym stykam się naprawdę rzadko, ale o przenoszenie polskich konwencji edytorskich do innych języków. Zdarzało mi się tłumaczyć komuś, że wiszące spójniki nie są w publikacjach w języku angielskim postrzegane jako problem.

Nie zajmuję się projektowaniem graficznym, w tym designem okładek, ale nawet ja widzę, że niektóre pomysły nie są najfortunniejsze. Już kilka razy byłem natomiast świadkiem sytuacji, gdy autorzy sugerowali własną wizję pierwszej lub czwartej strony okładki: projektowali ją sami lub zatrudniali do tego kogoś z zewnątrz (np. uzdolnioną w korzystalniu z pakietu Adobe progeniturę). Żaden z tych pomysłów nie wyglądał dobrze, z reguły przypominały prace zaliczeniowe z liceum lub okładki z lat dziewięćdziesiątych. W przypadku elementów wymagających wrażliwości i wyobraźni wizualnej szczególnie warto zaufać fachowcom. Wielokrotnie się przekonałem, że moja wyobraźnia odruchowo steruje albo w stronę kiczu, albo najbardziej standardowych rozwiązań (i obawiam się, że nie jestem wyjątkiem). Często autorom chodzi po prostu o to, by okładka była możliwie efektowna i kolorowa, a tendencja w edytorstwie naukowym jest raczej odwrotna.

Nie można wytłuszczać co drugiego zdania

Autorzy chcący decydować o składzie to rzadkość, ale z tym także się zetknąłem. Nietrafione sugestie czy oczekiwania mają, moim zdaniem, dwa korzenie. Pierwszy to przyzwyczajenia z wcześniejszej kariery. Naukowcy starszej daty – i to, co chcę podkreślić, jest niezwykle cenne – często uczyli się lub byli uczeni podstaw adiustacji tekstu i znają np. znaki korektorskie. Niestety, czasem ta wiedza obraca się przeciwko redaktorom, z którymi współpracują. Przygotowując manuskrypty, pracownicy przenoszą wiszące na końcu linii spójniki za pomocą wymuszonego złamania wiersza, spacji lub tabulatorów. Wlewianie takiego tekstu do programu DTP to potem znacznie więcej pracy. Zdarza się też, że autorzy preferują określony sposób składu tytułów, nagłówek i śródtytułów lub określone fonty. Wszystkie te elementy mogą dobrze wyglądać na wydruku komputerowym pracy doktorskiej albo w publikacji półamatorskiej, ale nie profesjonalnej.

Korzeń drugi to niedocenywanie wagi pewnych kwestii związanych z profesjonalnym DTP. Podam tylko kilka przykładów, z którymi się zetknąłem. Nie można w dowolny sposób zmienić odległości między znakami, słowami czy wierszami, by uzyskać pożądaną układ tekstu w szpaltach. Nie można umieszczać ilustracji i tabel na stronie w sposób całkowicie dowolny. Nie można wytłuszczać średnio co drugiego zdania. Takie działania nie wpłyną pozytywnie na czytelność publikacji i nie ułatwią korzystania z niej, a mogą to wręcz utrudnić. Mało który autor jest w stanie spojrzeć na własną książkę oczami czytelnika.

Zawód redaktora to ciągłe uczenie się na błędach – cudzych, ale niestety także własnych. To ważne, bo praca ta daje możliwość odgrywania roli wyroczni, kogoś, z kim się nie dyskutuje. Sam potrafię temu ulegać, nie jestem wolny od kompleksów. Czasem wydaje mi się, że moją profesjonalną dewizą powinien być werset z *Księgi Przysłów*: „Pycha poprzedza upadek” (w tłumaczeniu Biblii Tysiąclecia: „Przed porażką – wyniosłość, duch pyszny poprzedza upadek”; Prz 16,18).

Z bliska widać lepiej

Patrzanie na świat z perspektywy mikroskali jest fascynującym przeżyciem. Oglądanie szczegółów niedostępnych na co dzień dla ludzkiego oka, może wywołać prawdziwy dreszcz emocji. Wiedzą o tym dobrze wszyscy, którzy w swoich badaniach posługują się skaningową mikroskopią elektronową. Efekty tego typu metody eksploracji rzeczywistości podziwiać można na stronach popularnonaukowego pisma Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach „No Limits”. W premierowym numerze periodyku, powstałego, by przybliżyć działalność naukowo-badawczą uniwersytetu, który znalazł się w gronie pierwszych uczelni badawczych, są także informacje z zakresu medycyny, nanotechnologii, ochrony środowiska, historii czy sztuki.

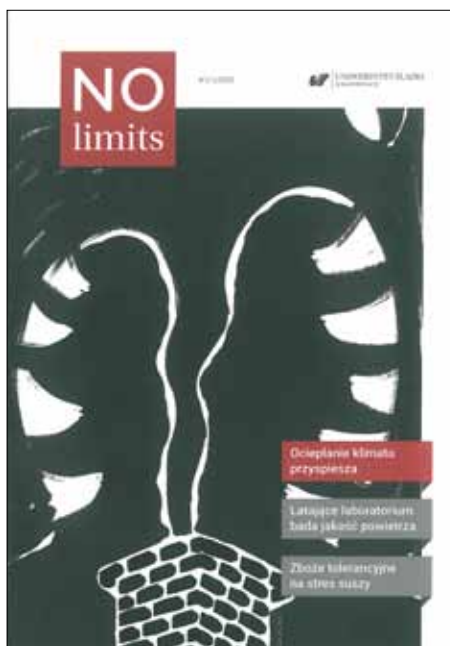
Warto zwrócić uwagę na prezentację specjalnych urządzeń przeznaczonych do diagnostyki zaburzeń górnych i dolnych dróg oddechowych. Jedno z nich posłuży do wykrywania guza płaskonabłonkowego i nadciśnienia płucnego, drugie, czyli w tym przypadku, ustnik dwurożny, rozpozna nowotwory płuc, krtani czy choroby oskrzeli. Medyczny wątek badawczy uwyrażnia się także w zainteresowaniu śląskich naukowców nowymi związkami, których potencjał mógłby zostać wykorzystany do łagodzenia objawów występujących w chorobie Alzheimera. Chęć znalezienia substancji leczniczych o lepszej wchłanialności, a co za tym idzie o zwiększonej skuteczności terapeutycznej, dało z kolei asumpt do poszukiwania alternatywy dla związków występujących w tabletkach w postaci krystalicznej. Śląskich naukowców zainteresowały substancje aktywne w postaci amorficznej, których cechą charakterystyczną jest dobra rozpuszczalność w wodzie i wysoka przenikalność przez błony komórkowe. W implantologii natomiast gros uwagi skierowane zostało na projektowanie dobrze naśladujących ludzkie tkanki biomateriałów, jak też na korzystanie z metody nanoszenia na powierzchnię implantu cienkich, porowatych warstw, będących nośnikami leków przeciwzapalnych. Eksperymentalne rozwiązania pojawiły się także w obszarze rehabilitacji, gdzie odpowiednio użyta wirtualna rzeczywistość stała się sojusznikiem w walce z różnego rodzaju dysfunkcjami. W nanotechnologii natomiast zwrócić warto uwagę na specjalne membrany z tlenku grafenu i celulozy, które mogą znaleźć zastosowanie w chemii analitycznej.

Jedną z ważniejszych kwestii dla całego świata jest obecnie stan środowiska naturalnego. Występujące coraz częściej i na

coraz większą skalę tak negatywne zjawiska, jak smog, gwałtowne pożary czy długotrwałe susze, wymagają od naukowców stawiania właściwych diagnoz oraz poszukiwania skutecznych rozwiązań. Jako pierwsi i jedyjni w Polsce badacze z US, dzięki napowietrznemu laboratorium znajdującemu się w koszu żałogowego balonu na ogrzane powietrze, zbierają szereg danych pozwalających ustalić jakość powietrza, którym oddychają mieszkańcy śląskiej metropolii. Uzyskane za pomocą tej unikatowej metody pomiary, po zanalizowaniu, przekazywane są jednostkom władnym podjąć konkretne decyzje. O tym,

że zmiany klimatyczne są faktem, nie trzeba dziś nikogo przekonywać. Wyniki prac śląskich naukowców potwierdzają, że degeneracja wielu obszarów dokonuje się w niezwykle szybkim tempie. Za przykład niech posłuży wzmrożona deglacją lodowców. Zaobserwowane przyspieszone przemieszczanie się lodu z lądu do morza, którego skutkiem jest podnoszenie się poziomu oceanu światowego, uznane zostało za realne zagrożenie dla przyszłości wielu miejsc na Ziemi. Ziemia, która zaczyna cierpieć także z powodu przewlekłej suszy. Przeglądając się temu negatywnemu zjawisku, genetycy z US rozpoczęli poszukiwania nowych form hodowlanych jęczmienia, wykazującego większą odporność na czynnik stresowy, jakim jest długotrwały niedobór wody.

Środowisko czy medycyna to ważne z punktu widzenia funkcjonowania człowieka obszary, ale z pewnością nie wszystkie. Do pełnego obrazu brakuje jeszcze szeroko rozumianej kultury. Śląscy naukowcy od lat eksplorują jej różne przejawy. Troszcząc się o inkunabuły i starodruki, za pomocą nowoczesnych metod konserwatorskich przywracają do życia te bezcenne świadectwa minionych wieków. Tego rodzaju praca wymaga nie tylko fachowej wiedzy, ale benedyktyńskiej wręcz cierpliwości. Uzyskane efekty wynagradzają z pewnością cały włożony trud. US stoi też specjalistami zajmującymi się badaniami pismoznawczymi, którzy weryfikują m.in. autentyczność sygnatur twórców dzieł sztuki, dając w ten sposób oręż do ręki wszystkim potrzebującym potwierdzenia, że obraz konkretnego mistrza na pewno nie jest falsyfikatem. Historycy z kolei pochylają się nad wyczynami Olafa Haraldssona, norweskiego wikinga, monarchy i świętego, którego symbol – topór trzymany przez lwa, do dziś widnieje w godle Norwegii.



Mariusz Karwowski

Mysz komputerowa zamiast laboratoryjnej

W największej komputerowej bazie związków chemicznych zarejestrowanych jest ponad 160 mln substancji. Co miesiąc pojawia się milion nowych, a ich toksyczność testuje się na żywych organizmach.

Myszy było najwięcej – przeszło 81 tysięcy. Szczurów blisko trzykrotnie mniej. Ryb policzono 19 tysięcy. Popytem cieszyły się też króliki, norki, bydło, konie, ptaki, koty, psy... W sumie w 2018 roku do badań naukowych wykorzystano w Polsce ponad 153,4 tys. zwierząt. W całej Europie liczba ta każdego roku przekracza 12 milionów. Służą do testowania m.in. nowych substancji mających być podstawą leków czy detergentów.

– Z powodzeniem do tych badań można by zastosować metody alternatywne – przekonuje dr Agnieszka Gajewicz-Skrętna.

Związkowi kandydaci

Jest chemoinformatyczką. Zaczynała wprawdzie od chemii, ale dziś już nie wyobraża sobie jej bez połączenia z informatyką. Zresztą określanie tego, czym się zajmuje, jedynie przez pryzmat tych dwóch dyscyplin nie daje pełnego obrazu. Interdyscyplinarność chemoinformatyki rozpościera się bowiem także na matematykę, statystykę, chemometrię, toksykologię, a nawet inżynierię materiałową. To właśnie na styku tych nauk działają badacze stosujący w chemii metody komputerowe.

Początkowo służyły one jedynie do projektowania nowych farmaceutyków. Za pomocą algorytmów tworzone wirtualne biblioteki milionów kombinatorycznie wygenerowanych związków. Z tej bazy wybierano najbardziej obiecujące, które następnie optymalizowano. W ten sposób powstały m.in. leki przeciwbakteryjne (Norfloksacyna) czy przeciwwirusowe (Zanamir). Tradycyjnymi sposobami zajęłoby to nawet dwie dekady, a i tak bez pewności, że wybrany „kandydat” trafi pod postacią kapsułki, tabletki czy maści na apteczne półki. Dlatego, by znacznie ograniczyć koszty i skrócić czas, także przy tworzeniu środków ochrony roślin, do dziś sięga się po wypróbowane już metody chemoinformatyczne.

Repertuar zastosowań, od czasu gdy pod koniec ubiegłego wieku po raz pierwszy użyto tego terminu, znacznie się poszerzył. Sprzyja temu postęp technologiczny. Algorytmy wykorzystuje się m.in. przy ocenie ryzyka chemicznego stwarzanego przez istniejące bądź nowo projektowane związki. Służą do szukania cech strukturalnych, które mogą być odpowiedzialne za ich toksyczność. Pozwala to na lepsze zrozumienie mechanizmów stojących za szkodliwym działaniem niektórych substan-

cji oraz wyznaczenie wartości toksyczności związku, który nie został przebadany metodami *in vivo*. Zaletą tego rozwiązania jest bez wątpienia ograniczenie w badaniach udziału zwierząt. Żeby ocenić w sposób kompleksowy tylko jeden związek chemiczny, np. pestycyd wykorzystywany w rolnictwie lub ogrodnictwie, konieczne jest przeprowadzenie eksperymentów z udziałem – uśredniając – blisko 7 tys. organizmów żywych. Koszt kilkuletniego procesu liczony jest w dziesiątkach milionów dolarów. Skalę przedsięwzięcia najlepiej obrazuje największa komputerowa baza związków chemicznych, w której zarejestrowano już przeszło 160 mln substancji organicznych i nieorganicznych. Co miesiąc pojawia się w niej milion nowych. Oczywiście, nie każda trafia od razu do środowiska. Występują w nim zresztą nie tylko związki syntezowane w sposób zamierzony, ale i powstające w efekcie działalności przemysłowej czy w wyniku naturalnych procesów fizycznych, chemicznych, biologicznych, fotochemicznych. Trudno więc oszacować rzeczywistą liczbę związków obecnych w środowisku. Pewne jest jedno: część z nich – według różnych źródeł od 15 do 46% – nie została nigdy w sposób kompleksowy przebadana.

Sąsiedzkie podobieństwa

Wśród metod komputerowych wyróżnia się dwie grupy, które stanowią obecnie „złoty standard” w ocenie ryzyka chemicznego. Pierwsza, klasyczna, to techniki ilościowego modelowania zależności pomiędzy strukturą chemiczną a aktywnością biologiczną (tzw. metody QSAR). Kluczem jest w tym przypadku powiązanie aktywności związków z ich budową chemiczną i właściwościami fizykochemicznymi. Do prawidłowego działania metody te wymagają odpowiednio dużego i reprezentatywnego zbioru danych eksperymentalnych. Pewnym ograniczeniem jest zbyt mała dla określonych grup związków ilość dostępnych danych, co uniemożliwia w praktyce stworzenie, a później przeprowadzenie walidacji modelu.

W takiej sytuacji sprawdza się druga grupa metod. To techniki szacowania przekrojowego, tzw. *read-across*. Właśnie w nich specjalizuje się moja rozmówczyni. Tak jak metody QSAR, opierają się one na założeniu, że związki o podobnej budowie wykazują zbliżoną aktywność biologiczną. Struktura



Wspomina, że metody komputerowe przez długi czas miały czarny PR. Powodem braku społecznej akceptacji było ich nadmierne forsowanie do oceny ryzyka chemicznego, ale bez rzetelnej oceny. Zmiana dokonana się wraz z postępem naukowo-technologicznym. Tym niemniej, zdaniem bohaterki artykułu, nieuzasadnione jest na obecnym etapie przypisywanie metodom komputerowym większej wiarygodności danych od samego eksperymentu. „Nauczenie” modelu bez dostarczenia mu wysokiej jakości danych eksperymentalnych jest niemożliwe. Rola algorytmów sprowadza się więc póki co do wspierania eksperymentu, a dopiero w przyszłości, po udoskonaleniu metod, będzie można mówić o zastąpieniu go.

Ścieżkę postępu wyznaczył po trosze „test króliczy” amerykańskiego ginekologa Jamesa Chadwicka, który polegał na wprowadzeniu moczu kobiety do organizmu samicy królika, po czym zwierzę zabijano i przeprowadzano autopsję, a jeśli po pięciu dniach rozpoznawano w nim zmiany typowe dla

poczęcia w postaci pobudzonych narządów rozrodczych, znaczyło to ni mniej, ni więcej, że kobieta jest w ciąży. Praktykowano go jeszcze w XX wieku, aż do czasu, gdy standardem stał się o wiele praktyczniejszy i niesprawiający cierpienia test ciążyowy.

Kiedy podobnego rozwiązania można spodziewać się przy ocenie toksyczności związków chemicznych? Dr Agnieszka Gajewicz-Skrętna nie ma wątpliwości, że algorytmy staną się podstawowym narzędziem testowania. Przytacza memorandum Amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska, która do 2025 roku zapowiedziała znaczące ograniczenie prowadzenia badań z udziałem ssaków, a w ciągu kolejnych dziesięciu lat całkowite zaprzestanie ich finansowania. Niewiadomą pozostaje to, czy prędzej myszy komputerowe zastąpią laboratoryjne, czy moja rozmówczyni zdobędzie Koronę Maratonów. Pobieгла już w Tokio i Chicago, szykuje się na Berlin. Ten rok ma szansę zakończyć w połowie upragnionego celu.

Pamięci działające jak ludzki mózg

Za najbardziej rokujący został uznany związek Mn₁₂. Ta molekula posiada wysoki spin, ma zatem silny moment magnetyczny. Dzięki wprowadzeniu pewnych modyfikacji uzyskano rozpuszczalną formę Mn₁₂, która okazała się bardziej odporna na warunki atmosferyczne.

W jednym milimetrze kwadratowym nośnika magnetycznego nawet sto milionów bitów? Sieci neuronowe zbudowane z pojedynczych molekuł? Czy to możliwe? Zespół kierowany przez dr. hab. Łukasza Laskowskiego z Zakładu Inżynierii Molekularnej i Nanoelektroniki Instytutu Fizyki Jądrowej Polskiej Akademii Nauk, pracujący nad separacją pojedynczych cząsteczek magnetyków molekularnych, zmierza do osiągnięcia tego celu.

Dzięki najnowszym badaniom w zakresie uzyskiwania pojedynczych molekuł magnetycznych (SMM) naukowcy uczynili kolejny krok na drodze do uzyskania supergęstych pamięci magnetycznych oraz molekularnych sieci neuronowych, a zwłaszcza budowy pamięci autoasocjacyjnych i systemów optymalizacji wielokryterialnej działających na wzór ludzkiego mózgu. Ponadto udało się tego dokonać dzięki zastosowaniu metod dostępnych w przeciętnym laboratorium chemicznym.

Problemy z separacją

Do końca lat osiemdziesiątych panowało przekonanie, że własności ferromagnetyczne są związane ze strukturą krystaliczną i mogą dotyczyć jedynie ciał krystalicznych o odpowiednio dużych rozmiarach. Jednak w roku 1991 pojawił się materiał zbudowany z molekuł Mn₁₂O₁₂(OAc)₁₆(H₂O)₄, skrótnie nazwany Mn₁₂, który zaprzeczył temu utartemu pogładowi. Okazało się, że poniżej pewnej temperatury wykazuje on cechy ferromagnetyka. Właściwości te nie wynikały z własności struktury krystalicznej, jak w przypadku ferromagnetyków, lecz z cech pojedynczej molekuly. Dlatego też materiały tego typu nazwano magnetykami molekularnymi (SMM – single-molecule magnet). Mogły one znaleźć zastosowanie w supergęstych jednostkach pamięci czy elementach sieci neuronowych, tak się jednak nie stało. Na przeszkodzie stanęły problemy z ich separacją oraz uzyskaniem odpowiedniego układu pojedynczych cząsteczek oddalonych od siebie na tyle, aby nie wpływały na siebie nawzajem. Co więcej, po uzyskaniu takiego układu należało opracować metodę obserwacji molekuli o rozmiarach zaledwie 2 nm.

Podstawowym założeniem prac było uzyskanie rozseparowanych molekuł magnetycznych na powierzchni neutralnej

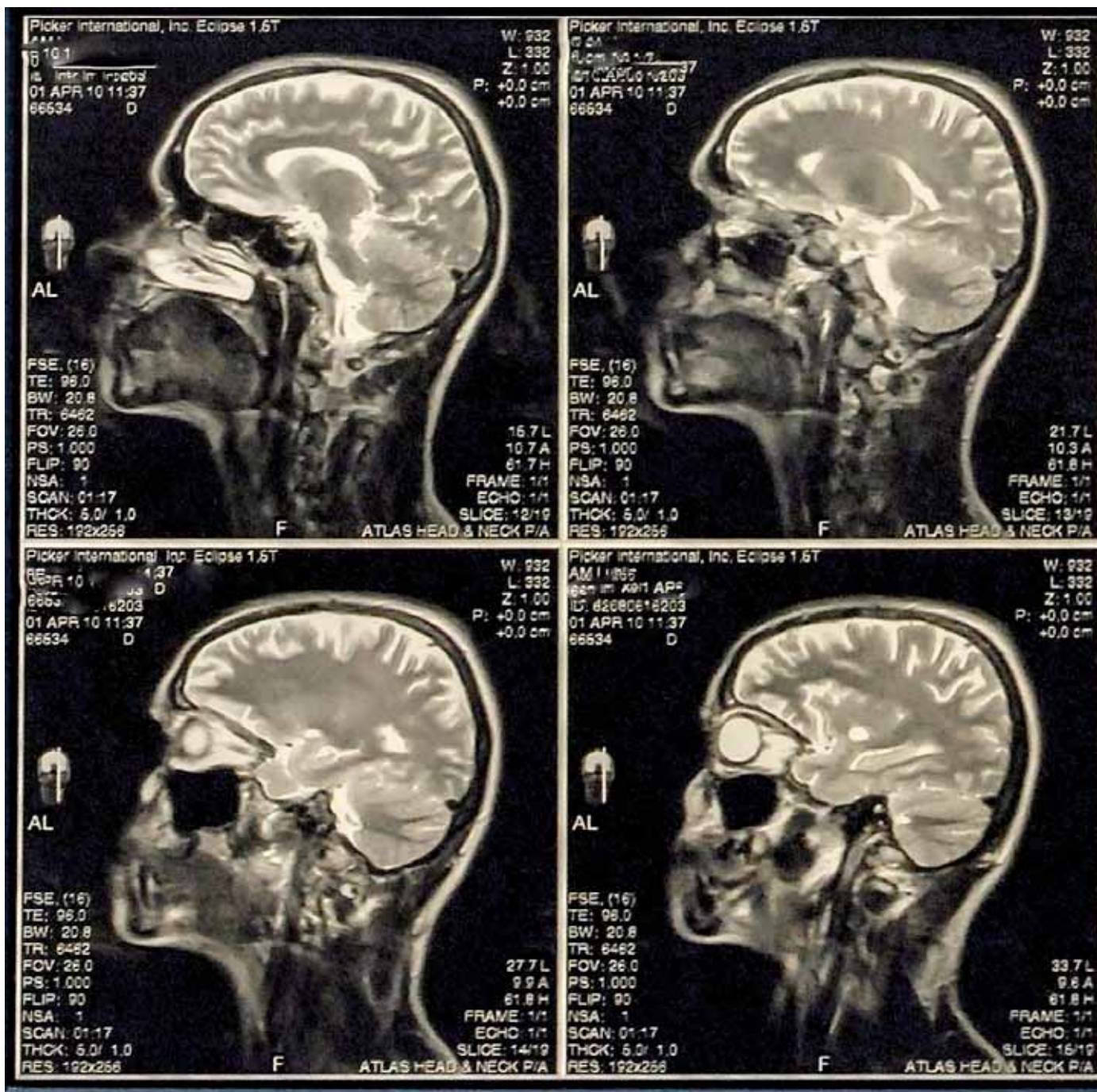
magnetycznej oraz bezpośrednia ich obserwacja bez zastosowania zaawansowanych technik laboratoryjnych, tak aby opracować procedurę do zastosowań technologicznych. Po dokonaniu wyboru charakterystyki materiału pod kątem cech fizykochemicznych i mechanicznych oraz struktury molekularnej należało opracować procedurę syntezy tak, aby atomy same ułożyły się w oczekiwany sposób, tworząc pożądaną nanomateriał. Następnie badacze musieli dokonać wyboru magnetyka molekularnego, podłoża (matrycy), rodzaju zakotwiczenia molekuł na powierzchni podłoża, sposobu kontrolowania ich rozkładu i odległości pomiędzy nimi oraz metody bezpośredniej obserwacji takich cząsteczek.

Za najbardziej rokujący został uznany związek Mn₁₂. Ta molekula posiada wysoki spin w stanie podstawowym S = 10, ma zatem silny moment magnetyczny. Dzięki wprowadzeniu pewnych modyfikacji uzyskano rozpuszczalną formę Mn₁₂, która dodatkowo okazała się bardziej odporna na warunki atmosferyczne.

Rozpatrując typ i formę użytego podłoża, naukowcy wzięli pod uwagę aspekt obserwacji otrzymanego materiału. Jednocześnie potwierdzeniem sukcesu byłaby bezpośrednia obserwacja molekuł Mn₁₂ na powierzchni matrycy. Było to jednak trudne z powodu ich niewielkich rozmiarów. Rozwiązaniem okazało się zastosowanie sferycznej krzemionki. Magnetyki molekularne osadzono na kulkach krzemionkowych o średnicy około 300 nm. Dzięki sferycznemu kształtowi i względnie małym rozmiarom takiego podłoża można je było dokładnie obserwować przy użyciu transmisyjnej mikroskopii elektronowej (TEM). Badacze skupili się na obserwacji samego horyzontu (obrzeża) takiej sfery i obserwacji zakotwiczonych na niej molekuł magnetycznych.

Procedura jest powtarzalna i nieskomplikowana

Powierzchnia krzemionki ma liczne grupy wodorotlenowe, które następnie mogą być przekształcone w grupy kotwiczące. Te z kolei z łatwością wychwytyją i unieruchamiają pojedyncze molekuly Mn₁₂. Problem kontrolowania rozkładu kotwiczył został natomiast rozwiązany za pomocą grup dystansowych,



Fot. Stefan Cichan

co pozwala na monitorowanie dystrybucji grup kotwiczących jeszcze na etapie syntezy.

Materiały były syntetyzowane w laboratorium Zakładu Inżynierii Molekularnej i Nanoelektroniki IFJ PAN. Prace nad nimi trwały od 2018 roku. Otrzymane substancje zostały zbada- ne pod względem własności strukturalnych z wykorzystaniem mikroskopii TEM oraz spektroskopii wibracyjnej. Wła- ności magnetyczne wyznaczono za pomocą magnetometrii SQUID. Udało się rozmieścić pojedyncze cząsteczki magne- tyczne na powierzchni krzemionki, a ponieważ procedura jest powtarzalna i nieskomplikowana, może być stosowana przez naukowców i przedstawicieli przemysłu dysponujących prze- ciętnie wyposażonymi laboratoriami. Dodatkowo zaimplemen- towano bardzo prostą metodę bezpośredniej obserwacji nie- wielkich molekuł osadzonych na podłożu krzemionkowym przy użyciu mikroskopii TEM. Nie mniej ważnym osiągnięciem badawczym okazało się udowodnienie, że magnetyki molekularne zachowują swoje własności, nawet gdy są odseparowane od siebie i osadzone na podłożu. Dodatkowo możliwe było okre- ślenie sposobu kotwiczenia molekuł magnetycznych w zależ- ności od koncentracji grup kotwiczących.

Aktualnie zespół opracowuje szczegółowe wyniki pomia- rów magnetycznych analizowanych substancji w funkcji kon- centracji molekuł Mn_{12} , a także trwałości wytwarzanych nano- kompozytów. Kolejnym krokiem będzie regularyzacja otrzy- manych układów. Obecnie odległość pomiędzy molekułami magnetycznymi jest regulowana w sposób statystyczny, doce- lowo jednak magnetyki molekularne Mn_{12} mają być rozmiesz- czone na powierzchni w układzie regularnym heksagonalnym. Będzie to możliwe dzięki zastosowaniu mezoporowatej krze- mionki o uporządkowanej strukturze kanałów w postaci cien- kiej warstwy oraz precyzyjnej wieloetapowej funkcjonalizacji podłoża.

Neuroróżnorodność – nowe spojrzenie na autyzm

Badania naukowe wykazują, że wiele cech związanych z autyzmem może być wykorzystane w bardzo pozytywny sposób. Osoby dorosłe z diagnozami ze spektrum autyzmu często wskazują na swoje specjalne zainteresowania (które są jednym z objawów według klasyfikacji diagnostycznych) jako źródło sukcesu zawodowego oraz zadowolenia z życia.

Odpowiedź na pytanie, czym jest autyzm, zmieniała się radykalnie w ostatnich dziesięcioleciach. To pytanie jest ważne nie tylko dla naukowców, którzy chcą poznać naturę zjawiska. Osoby autystyczne oraz ich rodzice udzielają w codziennym życiu własnych odpowiedzi, a subiektywny sposób rozumienia autyzmu wydaje się mieć ogromny wpływ na ich życie. Sposób rozumienia autyzmu nazywany neuroróżnorodnością został zaproponowany w latach sześćdziesiątych przez osoby autystyczne i od tego czasu przykuwa coraz większą uwagę.

Co wiemy o spektrum autyzmu

Mówimy tu o „spektrum”, co oznacza, że każda osoba z autyzmem jest zupełnie inna: ma inny profil oraz inne nasilenie objawów. Osoby ze spektrum autyzmu mają trudności w interakcjach z ludźmi, np. w prowadzeniu rozmowy lub odczytywaniu znaczenia gestów i wyrazów twarzy. Trudność stanowi dla nich także elastyczne podejście do codziennych wydarzeń. Przykładowo, zdarza się, że dziecko chce chodzić do szkoły tylko jedną drogą, a każda propozycja zmiany wywołuje duży stres. Charakterystyki autyzmu można opisać w trzech sferach: interakcji społecznych, komunikacji oraz elastyczności zachowania.

Dodatkowo większość osób autystycznych odczuwa w nietypowy sposób dźwięki, zapachy, kolory, dotyk i inne doświadczenia odbierane przez zmysły. Dla niektórych osób lekki dotyk jest nie do zniesienia, a inne czują się w pełni zrelaksowane, kiedy są mocno ściskane. Wiele osób ma nadwrażliwe zmysły, np. nadwrażliwość słuchowa oznacza, że zwykle dźwięki (odgłos przejeżdżającego autobusu, szum odkurzacza) stają się bardzo nieprzyjemne.

Badacze od lat starają się zrozumieć osoby autystyczne poprzez próby odkrycia tego, jak „działają” ich umysły. Wiemy, że osobom z autyzmem nie przychodzi w sposób naturalny rozpoznawanie stanu umysłu (np. emocji, intencji) drugiej osoby po obserwacji drobnych zmian wyrazu twarzy. Wiemy także, że osoby z autyzmem za bardzo koncentrują się na szczegółach, przez co umyka im kontekst sytuacji. Małe dzieci ze spektrum autyzmu, odwrotnie do rówieśników o typowym roz-

woju, obserwują w dużo większym stopniu przedmioty niż ludzi. Badacze przez długi czas poszukiwali genów odpowiedzialnych za pojawienie się autyzmu lub czynników związanych ze środowiskiem, które łączą się z częstszym występowaniem autyzmu. Poszukiwali również obszaru w mózgu, który łączyłby się z objawami. Obecnie uważają, że prosta, pojedyncza przyczyna nie istnieje.

Inny sposób myślenia o autyzmie

Opisy autyzmu zwykle zawierały wiele informacji o deficytach i zaburzeniach. Podejściem, które przedstawiło autyzm w zupełnie inny sposób, jest neuroróżnorodność.

W latach sześćdziesiątych grupa osób ze spektrum autyzmu sprzeciwiła się opisywaniu go jako zbioru deficytów, które należy „wyleczyć” lub „naprawić”. Grupa nie zgadzała się z narracją na temat autyzmu, którą stosowały organizacje zajmujące się wsparciem osób autystycznych – mówieniu o sposobach na usunięcie objawów i przedstawianiu autyzmu w czarnych barwach.

Poglądy niewielkiej grupy wkrótce rozpowszechniły się za pomocą mediów i okazało się, że znalazły wielu zwolenników. Koncepcja nazwana przez osoby z autyzmem neuroróżnorodnością, stała się dla wielu osób filozofią życiową oraz jednocześnie ruchem społecznym. Neuroróżnorodność oznacza przyjęcie innych założeń na temat spektrum autyzmu: autyzm to alternatywna ścieżka rozwoju człowieka, nie jest brakiem umiejętności czy zaburzeniem, ale raczej rodzajem umysłu, który jest wynikiem naturalnej wariacji genetycznej w populacji, podobnie jak kolor oczu lub płęć. Neuroróżnorodność nie podważa konieczności wspomagania rozwoju dziecka, lecz promuje traktowanie symptomów podobnie do cech charakteru, a nie braków czy deficytów.

Fala nowych poglądów na autyzm wywołała wiele kontrowersji wśród rodziców, terapeutów oraz badaczy, a także wśród samych osób autystycznych. Autyzm dotyczy wielu osób z bardzo różnymi cechami, niektóre osoby mają znaczne trudności uniemożliwiające im samodzielne życie. Poza tym często współwystępuje z dodatkowymi diagnozami, np. niepełno-

sprawnością intelektualną, depresją, zaburzeniami snu, epilepsją, dlatego doświadczenia osób z autyzmem są ogromnie zróżnicowane. Nowa narracja nie zgadzała się zwłaszcza z doświadczeniem rodziców dzieci dotkniętych poważnymi trudnościami.

Ostatnie lata w badaniach wskazują, że duża część osób ze spektrum autyzmu to tacy, którzy radzą sobie samodzielnie: pracują, zakładają rodziny i realizują własne pasje. Często uzyskują diagnozę dopiero w dorosłości. Mówimy także o szerokim fenotypie autyzmu, tzn. takich jego cechach, które wykazują osoby o typowym rozwoju. Cechy te nie są na tyle nasilone, żeby można było zdiagnozować spektrum autyzmu, jednak oznaczają „autystyczny” sposób myślenia, np. duże przywiązanie do rutyn, motywację do zgłębiania wąskiej dziedziny wiedzy, poczucie dyskomfortu podczas kontaktów z ludźmi.

Koncepcja neuroróżnorodności wydaje się nieść dużą wartość dla zrozumienia sytuacji osób z autyzmem. Przede wszystkim dlatego, że skłania do słuchania głosu osób ze spektrum, które opowiadają o własnych potrzebach i priorytetach. Po drugie, zwłaszcza dla osób z mniejszym nasileniem cech ze spektrum autyzmu, neuroróżnorodność zmienia postrzeganie własnej sytuacji.

Wartość neuroróżnorodności

Osoby autystyczne, które udzielają się w przestrzeni publicznej, mówią o autyzmie, nazywają siebie self-advokatami lub samorzecznikami. Jedną z nich jest trzynastoletni Naoki Higashida, autor książki *Dlaczego podskakuje?* Naoki pisze między innymi o tym, dlaczego osoby autystyczne nie lubią kontaktu wzrokowego, dlaczego powtarzają słowa zamiast odpowiedzieć na pytanie oraz dlaczego lubią wykonywać czynności w ten sam sposób.

Poglądy Naokiego są dla wielu osób rewolucyjne. Przykładowo: osoba z autyzmem, która wykazuje echolalię zamiast odpowiedzieć na pytanie (np. chcesz sok?), powtarza to samo (chcesz sok). Przez długi czas echolalia traktowana była jako „bezsensowna mowa”, którą najlepiej ignorować lub jeszcze lepiej oduczyć. Tymczasem osoby takie jak Naoki, które posługiwały się echolalią, tłumaczą, że jest to dla nich sposób na skon-

centrowanie się na rozmówcy lub wyrażenie chęci do rozmowy, której w inny sposób na obecnym etapie nie są w stanie wyrazić.

Jeżeli w sytuacji, kiedy echolalia pomaga dziecku w skupieniu się na rozmowie, terapeuta (który być może nie rozumie przyczyn tego zachowania) będzie chciał oduczyć dziecko stosowania echolalii, nie będzie ono w stanie uczestniczyć w rozmowie i będzie czuło frustrację. W tym przypadku o wiele lepsze byłoby postrzeganie echolalii jako „dobrego początku” komunikowania się. Wiedza na temat autyzmu „od wewnątrz” jest bezcenna, zwłaszcza dla rodziców i terapeutów. Dzięki niej są w stanie dobrze zinterpretować dane zachowanie, naprawdę je rozumieć i odpowiednio reagować.

Zwolennicy neuroróżnorodności uważają, że autystyczny umysł to nie tylko trudności, lecz również wiele mocnych stron, np. osoby z tym typem umysłu mają bardzo często umiejętność koncentrowania się na długi czas na temacie swoich zainteresowań, potrafią bez uczucia zmęczenia zgłębiać wybraną przez siebie dziedzinę wiedzy, z pełnym zaangażowaniem i dokładnością wykonywać pracę, doceniać piękno tkwiące w szczegółach, zachowywać się lojalnie i szczerze mówić o tym, co myślą, dobrze organizować własną pracę, myśleć analitycznie... Badania naukowe wykazują, że wiele cech związanych z autyzmem może być wykorzystane w bardzo pozytywny sposób. Osoby dorosłe z diagnozami ze spektrum autyzmu często wskazują na swoje specjalne zainteresowania (które są jednym z objawów według klasyfikacji diagnostycznych) jako źródło sukcesu zawodowego oraz zadowolenia z życia.

Koncepcja neuroróżnorodności zaczyna być coraz częściej obecna w szkołach. Nauczyciele identyfikują różne profile kognitywne – tzn. różne sposoby myślenia, które wiążą się z talentami i trudnościami – i wykorzystują je dla dobrego dopasowania treści i form uczenia. Dzieci świadome różnorodności w większym stopniu nastawione są na współpracę i integrację. W tym podejściu nie istnieje nieprawidłowy „typ umysłu”, dla każdej osoby ważne jest odnalezienie odpowiedniego miejsca, w którym będzie ona mogła jak najlepiej się rozwijać.

Mgr Kinga Ferenc, pedagog specjalny, doktorantka psychologii na Uniwersytecie SWPS we Wrocławiu, specjalizuje się w zakresie autyzmu.



Fot. Stefan Ciechan

Uniwersytet Stefana Batorego w Warszawie i Poznaniu

czyli tam i z powrotem. Cz. 1

Warszawa, która wydawała się daleko od frontu i bezpieczna, przyjęła Uniwersytet Wileński gościnnie. Dobytek złożono w Politechnice Warszawskiej, a kancelarię umieszczono w Uniwersytecie, przy Krakowskim Przedmieściu.

Ze wszystkich nowych uniwersytetów państwowych, które powstały po roku 1918, Uniwersytet Stefana Batorego znajdował się w najtrudniejszym położeniu pod każdym względem. Dotyczyło to zarówno infrastruktury, budynków, pomieszczeń dla nauczania i studentów, zasobów bibliotecznych i przyrządów naukowych, zgodnych z elementarnymi wymaganiami nowoczesnej nauki, jak i, a może nade wszystko, kadry naukowej wywodzącej się z miejscowej inteligencji. Pamiętać trzeba bowiem, że w żadnym z zaborów nie było tak brutalnego prześladowania narodowego, jak w rosyjskim, i tak masowej emigracji. Owe prześladowania połączone były z konsekwentną rusyfikacją. Nie bez znaczenia były także niepewność politycznego położenia i zniszczenia wojenne kolejnych okupacji miasta. A jednak w końcu drugiego półrocza roku akademickiego 1919/20 Uniwersytet Wileński, chociaż wciąż jeszcze w stadium organizacji, z dnia na dzień stawał się coraz silniejszym, dając nadzieję na trwałą rozwój i bliską stabilizację. Zaakceptowano w Polsce, że jest on kontynuacją sławnej Almae Matris Vilnensis, umieszczając go w spisach polskich szkół akademickich tuż po Jagiellońskiej Wszechnicy w Krakowie. Także w międzynarodowym „Index generalis” uniwersytetów dostrzeżono XVI-wieczną proveniencję uczelni wileńskiej, wymieniając ją wśród starszych w Europie. Zapraszani na wileńskie katedry profesorowie ze wszystkich szkół akademickich w Polsce z reguły nie odmawiali prośbom, a studenci, którzy rozpoczęli lub kontynuowali studia, przybywali ze wszystkich zaborów, a nawet ze Śląska i Pomorza, które czekały jeszcze na przyłączenie do Macierzy. Niestety, którego nikt się nie spodziewał, przyniosły zmienne losy wojny w momencie, gdy po ukończonym letnim półroczu część profesorów i uczniów rozjechała się na wakacje.

Potrzebne są trzy duże wagony towarowe

Przełamany i rozpaczliwie broniony front wojenny zaczął się z przerażającą szybkością zbliżać do Wilna. 2 lipca 1920 roku poinformowano władze uniwersytetu oficjalnie o niebezpieczeństwie, sugerując ewakuację. Ale już następnego dnia Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich w Wilnie polecił przygotować się do ewakuacji, a 5 lipca naznaczono ostateczny jej termin. Zaznaczono przy tym, by przygotowania owe odbywały się w miarę możliwości w tajemnicy, „aby na razie nie płoszyć ludności”. Szczupłe grono profesorów pozostałych w Wilnie i wtajemniczonych w działania pracowników administracji musiało bez rozgłosu i budzenia niepokojów postarać się o skrzynie i rozpocząć gorączkową pracę. Dniem i nocą pakowano najcenniejsze przyrządy naukowe i archiwum, starając się zwłaszcza uratować akta zawierające osobiste dowody studentów. Spakowano pamiętki i świadectwa dawnego uniwersytetu oraz cenne dary, które uczelnia otrzymała w chwili powstania. Służbie i wszystkim pracownikom administracji wypłacono trzy miesięczną pensję, by mogli zabezpieczyć byt rodzin pozostających w Wilnie.

7 lipca po południu miało miejsce posiedzenie Senatu Akademickiego z udziałem rektora Michała Siedleckiego, prorektora Józefa Ziemackiego, dziekanów: Ludwika Janowskiego, Władysława Zawadzkiego, Ferdynanda Ruszczyca, Alfonsa Parczewskiego, Józefa Czajkowskiego, ks. Bronisława Żongołłowicza, Stanisława Władyczki i Wiktora Staniewicza. Ewakuację rzeczową uczelni postanowiono powierzyć intendentowi Janowi Latwisowi, ale wcześniej pilnie zakończyć sprawy letniego półrocza i zatrzymać wszelkie roboty budowlane na uniwersytecie. Uznano też, że pełnomocnictwa senatu, który spotykać

się w czasie wojny nie może, należy przenieść na wąski komitet, któremu przewodniczyć będzie rektor. W skład komitetu wejść mieli dziekani Staniewicz, Ruszczyk, Władyczko i Janowski. Na koniec zdecydowano, że na wypadek ewakuacji komitetu opiekę nad uniwersytetem powierzy się Ludwikowi Abramowiczowi.

Tuż po zebraniu senatu rektor napisał do Zarządu Cywilnego zapotrzebowanie na wypadek ewakuacji: „Zaznaczam, że Uniwersytet wywozić był wyłącznie tylko archiwa oraz najcenniejsze przedmioty, których łączna wartość dochodzi obecnie do sumy około 20.000.000 mk” – napisał, wyliczając szczegółowo: „Do przewiezienia rzeczy potrzebne są trzy duże wagony towarowe. W razie gdyby miano pozostawić materiały oraz środki żywności zawarte w składnicy Uniwersyteckiej, których łączna wartość przenosi 1 milion marek, ilość wagonów mogłaby wynieść dwa i pół normalnego wagonu (po 10000 kg).

Do przewiezienia reszty personelu wraz z rodzinami pozostającymi dotychczas w Wilnie, liczącego łącznie około stu osób należałoby zarezerwować stosowną ilość miejsc. Przypuszczam, że część rodzin odjedzie jeszcze w najbliższych dniach, korzystając z tego, iż rozpoczęły się wakacje, dlatego wystarczyło by na pewno 2 wag. osobowe lub nawet jeden duży”.

Studenci do broni

Następnego dnia odbył się uzgodniony z władzami uniwersytetu wiec młodzieży, zorganizowany przez Radę Młodzieży Akademickiej, na którym jednomyślnie uchwalono wstąpienie studentów do wojska, a postanowienie to od razu w czyn wprowadzono. We wspomnieniach rektora M. Siedleckiego znajdziemy taki opis wiecu:

„Młodzież stawiła się bardzo licznie na wiecu i to bez różnicy partii politycznych. Zauważyłem wśród młodzieży nawet pewną ilość, choć dość nieliczną, młodzieży żydowskiej. Wielu z pomiędzy studentów stawiło się już w mundurach ochotników. Po bardzo krótkiej dyskusji w niezmiernie podniosłym nastroju, zapadła jednomyślna uchwała młodzieży, wzywająca wszystkich pod broń, a wszystkie studentki do służby pomocni-

czej. Młodzież uchwaliła, że w roku następnym tylko ten będzie miał prawo zapisać się na Uniwersytet, kto się wykaże służbą dla Państwa w czasie wojennym. Pamiętam dobrze, jak byliśmy wszyscy wzruszeni na tym wiecu, na którym sam objąłem obowiązki kuratora. Jednak muszę to podkreślić, że w oczach młodych ludzi czytałem pewną zawziętą wolę zwycięstwa i nadzieję, tak że właściwie nie było wcale potrzeba podnosić ducha ani wzbudzać nadziei u tych ludzi, którzy sami mieli więcej wiary w dobrą przyszłość niż może bardzo wielu ze starszego pokolenia. Istotnie po tej uchwale cała młodzież wstąpiła do wojska lub do innej służby dla państwa”.

Uchwała wiecu miała tę rzeczywistą konsekwencję, że gdy uniwersytet rozpoczął jesienią pracę, o przyjęciu w poczet studentów decydowała Rada Młodzieży Akademickiej, funkcjonująca jako komisja kwalifikacyjna „na mocy uchwały wiecu akademickiego z dnia 8 lipca 1920 r.”.

W nocy z ósmego na dziewiątego lipca załadowano paki z częścią cennego dobytku na samochody ciężarowe i przewieziono na dworzec towarowy. Rankiem do trzech wagonów towarowych oddysponowanych dla uniwersytetu rozpoczęto składnie pak i dobytku ewakuowanych pracowników. 10 lipca miejsca przeznaczone dla pasażerów zajęli profesorowie i ich rodziny, wywożąc ze sobą bardzo nieznaczny część prywatnego dobytku. Wśród nich prorektor J. Ziemacki, ks. prof. B. Żongolowicz, prof. J. Dąbrowski i inni. Pociąg wyruszył z Wilna jednak dopiero 11 lipca i po trzech dniach dojechał do Warszawy.

Polska tu rządzić nie będzie

W Wilnie pozostali jeszcze profesorowie: Staniewicz, Zawadzki, Jerzy Aleksandrowicz i rektor. W ostatnich dniach przed zajęciem Wilna przez wojska bolszewickie uporządkowali oni ostatnie rachunki, tak by nikt z dostawców uniwersytetu nie pozostał bez zapłaty. Zapasy znajdujące się w składnicy uniwersyteckiej, których nie pozwolono ewakuować, o ile się nadawały, zostały oddane wojsku lub szpitalom polowym. Zapasy żywności i ubrań rozdzielono na równe części i rozdano służbie,



Wejście do gmachu głównego USB od ul. Świętojańskiej z tablicą projektowaną przez Ferdynanda Ruszczyca, Wilno 1919 r.



Fot. Jan Bułhak

Członkowie pierwszego Senatu USB, Wilno po 13 października 1919 r. Siedzą od lewej: Ferdynand Rusczyk (dziekan Wydziału Sztuk Pięknych), Piotr Wiśniewski (dziekan Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego), Józef Ziemański (prorektor), Józef Kallenbach (dziekan Wydziału Humanistycznego), ks. Bronisław Żongołłowicz (dziekan Wydziału Teologicznego). Stoją od lewej: Wiktor E. Staniewicz (prodziekan Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego), Stanisław Władyczko (prodziekan Wydziału Lekarskiego), Michał M. Siedlecki (rektor), Emil Godlewski (dziekan Wydziału Lekarskiego), ks. Kazimierz Zimmermann (prodziekan Wydziału Teologicznego).

która w ten sposób została bardzo obficie zaopatrzona. Udało się uratować uniwersytet przed rozrabowaniem, które mogło nastąpić jeszcze przed ewakuacją. W szczegółach sytuację tę opisał we wspomnieniach rektor Siedlecki:

„[...] w gmachu uniwersyteckim pojawił się niejaki K., dawny t.zw. *smotritiel*, t.j. dozorca służby w gmachach, które teraz zajmował Uniwersytet, a które dawniej były zajęte przez władze rosyjskie. Zebrał on służbę, i mówiąc po rosyjsku, oświadczył, że teraz już Polska tu rządzić nie będzie, a natomiast on obejmuje władzę jako przedstawiciel Rosji. Kazał sobie nawet wydać klucze, zwłaszcza zaś klucze od t.zw. składnicy uniwersyteckiej, w której mieściły się towary dla kooperatywy profesorów i urzędników Uniwersytetu. Na ten właśnie moment przypadkowo przyszedł prof. Alexandrowicz, który, widząc co się dzieje i rozumiejąc, że wystąpienie takiej osoby mogłoby zaprowadzić do zniszczenia Uniwersytetu, pośpieszył mnie o tem uwiadomić. Do dziś dnia z wdzięcznością myślę o prof. Alexandrowiczu, który mi dał tak ważną wiadomość”.

13 lipca, gdy rektor otrzymał rozkaz opuszczenia miasta, oddano uniwersytet pod opiekę L. Abramowiczowi, który miał pozostać w Wilnie. Prof. Staniewicz wyjechał z ostatnim taborem sztabowym, prof. Zawadzki jednym z ostatnich pociągów ewakuacyjnych, a prof. Aleksandrowicz i rektor wyruszyli z ostatnim połowym szpitalem, szosą na Landwarów. Prof. Siedlecki wioził ze sobą, właściwie niósł, jako że odwrót szpitala odbywał się przeważnie piechotą, rachunki uniwersyteckie i najcenniejsze regalia akademickie. W Landwarowie rektor dostał się do pociągu przeznaczonego dla urzędników wojskowych i resztę drogi spędził na ławce pod ścianą wagonu. W nocy został okradziony: „Szczęściem miałem te rachunki zanotowane w notesie, a po powrocie do Wilna uzyskałem ich kopje od dostawców. Jediną rzeczą, którą ocaliłem, były insygnja rektorskie i toga, które leżały tuż przy mnie i których opryszek nie zabrał”.

Czy opuszczający Wilno uczeni zdawali sobie sprawę z tego, że kilka dni wcześniej, w belgijskim Spa, podpisany został układ

między państwami Ententy a Polską, w którym znalazł się zapis, że „Wilno ma być niezwłocznie oddane Litwinom”? Nie wiemy. Ale najpewniej tak, skoro pisała o tym prasa. 20 lipca prof. F. Rusczyk zanotował w swoim dzienniku: „Są warunki rozejmu – straszne. Polska zeszlaby do kalibru jakiegoś Luksemburga. Najfatalniejsze, że obok tych narzuconych, stworzyliśmy sami dobrowolnie jeden warunek: to, że sami przyznaliśmy Wilno Litwie”.

Front zbliżył się do Warszawy

Warszawa, która wydawała się daleko od frontu i bezpieczna, przyjęła Uniwersytet Wileński gościnnie. Dobytek złożono w Politechnice Warszawskiej, a kancelarię umieszczono w Uniwersytecie, przy Krakowskim Przedmieściu. Pieczęć nad majątkiem powierzono prof. Kazimierzowi Sławińskiemu. Część pracowników USB, którzy dotarli z transportem do Warszawy, próbowało tu znaleźć jakieś zajęcie. Byli bibliotekarze, Michał Brensztejn i Lucjan Szczuka, zgłosili się za zgodą Senatu do pracy w Bibliotece UW. Prof. Rusczyk i Jan Bułhak zgłosił się do Armii Ochotniczej. Inni rozjechali się po Polsce, do Bydgoszczy, Torunia.

17 lipca 1920 roku w gmachu Uniwersytetu Warszawskiego odbyło się pierwsze i jedyne – choć dla USB już piętnaste – posiedzenie senatu poza Wilnem. Naturalnie w niepełnym składzie, ale obecni byli rektor, prorektor, dziekani – ks. Żongołłowicz i Parczewski, prodziekani – Janowski, Zawadzki, Piotr Wiśniewski i Władyczko. Pierwszym punktem posiedzenia była wiadomość, że w walkach pod Wilnem brał udział Oddział Akademicki, który poniósł znaczne straty. Przyjęto ją w ciszy, a senat powstał i uczcił poległych. Ponieważ prorektor prof. Ziemański, jako lekarz, został powołany do służby wojskowej i niebawem miał wyjechać na front, podjęto także decyzję, że jego obowiązki przejmą dziekani, względnie prodziekani według porządku wydziałów.

W niespełna dwa tygodnie front zbliżył się do Warszawy i w początkach sierpnia ponownie polecono władzom USB przy-

gotować się do ewakuacji, tym razem do Poznania. 9 sierpnia po raz drugi spakowano archiwum i wespół z nierozpakowanymi przyrzadami naukowymi cenne paki po sześciu dniach jazdy znalazły się w stolicy Wielkopolski. Do Poznania trafiły biura, archiwum, kasa oraz część wartościowego majątku uniwersytetu. Rektorat, kwestura i majątek ruchomy USB zostały umieszczone w Uniwersytecie Piastowskim oraz w składzie w byłym zamku. Z personelu uniwersytetu przyjechali do Poznania: rektor, ks. prof. Żongołłowicz, jako zastępca rektora, Bronisław Umiastowski – kwestor, Maria Hryniewiczówna – buchalterka, Barbara Maciejewiczówna i Jadwiga Skrobotanowa – kancelistki, a także woźny Józef Szczerba. Dla nich w końcu sierpnia rektor starał się o dodatki finansowe, w związku z obowiązkami poza Wilnem, oraz zakwaterowanie. Niektórzy profesorowie USB znaleźli się również w Poznaniu, ale nie zostali objęci oficjalnym poleceniem Ministerstwa WRiOP, które oznaczało przeniesienie urzędowe. Realizowali, jak się wydaje, prywatne zaproszenia. Wiemy, że w Poznaniu był prof. Marian Massonius z żoną Anielą i wygłaszał na terenie uniwersytetu wykład na temat bolszewizmu.

Pobyt w Poznaniu nie trwał długo i nie zostawił niemal śladów w aktach posiedzeń Senatu Uniwersytetu Poznańskiego. Wydaje się też, że przed samym przyjazdem w ogóle nie brano pod uwagę ewentualności „emigracji” Wilna do Wielkopolski. Jakimś dziwnym zrzędzeniem wypadków, krótko po rozlokowaniu się biur USB w Warszawie, intendent Jan Latwis znalazł pracę sekretarza Wydziału Rolno-Leśnego UP, a jego kandydatura została zatwierdzona 2 sierpnia. W początkach sierpnia musieli Uniwersytet Piastowski oddać część swoich pomieszczeń na potrzeby ministerstw ewakuowanych z Warszawy, ale mimo to planował wznowienie wykładów i zajęć. Po raz pierwszy sprawa profesorów wileńskich pojawiła się na posiedzeniu Senatu UP 17 sierpnia i dotyczyła wyrażonej przez wileńców gotowości do współdziałania „w Wydziale Informacyjno-Zagranicznym, Komitecie Obrony Narodowej oraz sekcji odczytowej”. Tam też zaznaczono, że prof. Massonius będzie miał odczyt o bolszewictwie, na który zaproszeni będą wyżsi urzędnicy poznańscy „ze względu na charakter naukowy tej prelekcji”. Kolejne posiedzenie Senatu UP rozpatrzyć musiało kwestię pomieszczeń dla Uniwersytetu Wileńskiego. Dowiadujemy się, że „ubikacje nr 9 i 10 w parterze oddał do użytku panu Rektorowi UWil. prof. Siedleckiemu, conclave zaś dla kasy i rektoratu wileńskiego”.

Na wygnaniu

Zwycięstwo w bitwie warszawskiej i kontrofensywa nad Niemna, pozwoliły wojskom polskim odzyskać ziemie utracone na rzecz armii bolszewickiej. Sprawą pilną stało się także odzyskanie terenów, które w lipcu 1920 roku zajęły wojska litewskie w porozumieniu z Armią Czerwoną. 6 sierpnia 1920 roku rząd litewski i sowieckie władze wojskowe podpisały konwencję w sprawie przekazania Litwinom rejonu Święcian oraz Wilna. Na mocy wspomnianej konwencji wojska litewskie wkroczyły do miasta 26 sierpnia, czyli już po zwycięstwie wojsk polskich nad Wisłą. Wcześniej jednak rozpoczęły się nieoficjalne rokowania z Litwą na temat losów Polaków w Wilnie. 21 sierpnia rektor Siedlecki pisał do Macieja Rataja, ministra WRiOP, z prośbą, by w razie rokowań z władzami litewskimi zabezpieczyć los uniwersytetu: „Rektor otrzymał prywatne, lecz z pewnych źródeł pochodzące wiadomości, że byłaby możliwość poruszenia tej sprawy już obecnie, a nawet Rektora zapytywano o zdanie w sprawie samodzielności lub ewentualnej utrakwizacji Wszechnicy Wileńskiej. Rektorat, który w powyższych sprawach dotychczas się nie wypowiadał, sądzi jednak, że sprawa jest widocznie już obecnie aktualną i dlatego gorąco



Michał Marian Siedlecki, pierwszy rektor USB w latach 1919-1921, Wilno 1919 r.

uprasza Ministerstwo o interwencję”. Informacja o możliwości (litewskiej propozycji?) nauczania na uniwersytecie w dwóch językach jest jedyną na ten temat. I trudną do zweryfikowania.

W następnym liście, tym razem do MSZ, rektor ponownie wrócił do sprawy rokowań: „Doszło do wiadomości Uniwersytetu, że w najbliższym czasie mają się rozpocząć rokowania z Litwą. Jest rzeczą prawdopodobną, że w trakcie tych rokowań mogłaby być poruszona także sprawa Uniwersytetu Wileńskiego. Rektorat uprasza przeto, aby o ile to będzie możliwe, już teraz postarano się zabezpieczyć los Uniwersytetu, jako instytucji polskiej, a w każdym razie aby o stanie ewentualnych rokowań Rektorat został na czas zawiadomiony, tak, aby mógł służyć niezbędnymi danymi. W razie gdyby Mini-



Fot. Juliusz Kłos

Studenci Koła Filozoficznego USB z kuratorem prof. Władysławem Tatkiewiczem na dziedzińcu Piotra Skargi, Wilno 1921 r.



Fot. Jan Bultak

Profesorowie i studenci USB przed kościołem św. Janów, Wilno 25 czerwca 1921 r.

sterstwo uważało to za stosowne przedstawiciel Uniwersytetu Wileńskiego byłby gotów wziąć udział w dotychczasowych tej sprawy naradach”.

Świadomość perspektywy takich rozmów zmusiła uniwersytet do prolongowania pobytu w Poznaniu. Rektor Siedlecki jeździł do Warszawy, by odbierać w kasie ministerstwa pieniądze dla uniwersytetu i na rozmowy z władzami. Tam spotykał się z uczonymi, którzy przebywali w stolicy, wydawał pobory. Na początku września 1920 roku zastępujący rektora prof. Żongołłowicz zabiegał w Urzędzie Mieszkaniowym w Poznaniu o zgodę na pobyt nowych pracowników USB „na wygnaniu”: „W Poznaniu odbywa się dalsze urzędowanie biur Uniwersytetu Wileńskiego. Z personelu Uniwersytetu przyjechała obecnie z obowiązku urzędowego pomocnica kwestora Uniwersytetu Wileńskiego p. Aleksandra Umiaszowska z matką Heleną Umiaszowską. Upraszam Urząd mieszkaniowy o udzielenie Aleksandrze i Helenie Umiaszowskim pozwolenia na stały pobyt w Poznaniu”.

Pewne zawiłości polityczne

Równocześnie, prowadzono rozmowy w sprawie powrotu do Wilna, choćby symbolicznego. Przede wszystkim jednak pilna stała się kwestia zapewnienia ciągłości władz uniwersytetu. 4 września rektor pisał do MSZ na ręce ministra WRiOP: „W myśl życzenia wyrażonego podczas narady JW Pana Szefa Sekcji prof. dr. A. Wrzoska oraz Rektora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie prof. dra Siedleckiego z JW Panem Wiceministrem Janem Dąbskim, Rektorat Uniwersytetu Wileńskiego zwraca się niniejszym z prośbą o wskazówkę w następującej sprawie: Z powodu działań wojennych Uniwersytet Wileński musiał opuścić dotychczasową siedzibę. Jego biura oraz uratowany dobytek znajdują się tymczasem w Poznaniu. Pierwszy rok istnienia wskrzeszonej Wszechnicy kończy się z dniem 1-go października b.r., w tym dniu również kończy się automatycznie okres, na który został mianowany zarząd Uniwersytetu a mianowicie: Rektor, Prorektor i Dziekani. Rektorat stoi na stanowisku, że w obecnym czasie nie można dawać nawet pozorów iż jest zamierzona lub dokonana likwidacja Uniwersytetu Stefana Batorego w Wil-

nie. Z tego powodu jest rzeczą konieczną, aby agendy kancelaryjne tej instytucji nie doznały przerwy, oraz aby władze tegoż Uniwersytetu mogły nadal istnieć jako jego przedstawicielstwo. Sprawa jednak mianowania nowego Zarządu Uniwersytetu na następny rok szkolny (1920-21) mieści w sobie pewne zawiłości polityczne: Uniwersytet Wileński był otwarty przez Naczelnika Państwa zaś na mocy osobnego rozkazu był zrównany z innymi Wszechnicami Polskimi i faktycznie jest Uniwersytetem państwowym polskim, utrzymywanym przez Skarb Państwa Polskiego i zależnym od Ministerstwa WRiOP w Warszawie, a nie od Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich. Wobec tego byłoby rzeczą najprostszą gdyby Nowy Zarząd Uniwersytetu został utworzony przez dalszą nominację. W razie gdyby to było, ze względów politycznych niemożliwe to można by w ogóle nie przeprowadzać nominacji, a w takim razie ustępujący Rektor zostałby automatycznie prorektorem (w myśl ogólnych ustaw uniwersyteckich) zaś dziekani – prodziekanami a wszyscy pełniliby czynności urzędowe tylko zastępczo. Drugi sposób załatwienia sprawy ma tę złą stronę, że mógłby być tłumaczony zwłaszcza przez koła litewskie, bardzo wrażliwe na sprawę Uniwersytetu w Wilnie jako zrzeczenie się praw do Uniwersytetu Wileńskiego, przez zerwanie ciągłości jego zarządu. Dać by to mogło powód do pogłosek o likwidacji Uniwersytetu Wileńskiego, czego zarówno Rektorat jak i Ministerium WRiOP koniecznie pragną uniknąć.

Przedstawiając też sprawę Rektorat uprasza Ministerium Spraw Zagranicznych o spieszność decyzję i wskazówkę jak w tym wypadku postąpić oraz zaznacza, że sprawa jest bardzo pilna gdyż od 15 września wchodzi w życie nowa ustawa, która wprowadza nowy sposób wyboru zarządu Uniwersytetu Wileńskiego”.

CDN

Dr hab. Mirosław Adam Supruniuk, UMK w Toruniu, historyk nauki, kultury i sztuki, wydawca, twórca Archiwum Emigracji i Muzeum Uniwersyteckiego w Toruniu

Dr hab. Anna Supruniuk, UMK w Toruniu, historyk nauki, mediewista, kierownik Archiwum UMK

Magdalena Bajer

Nusbaumowie-Hilarowicze

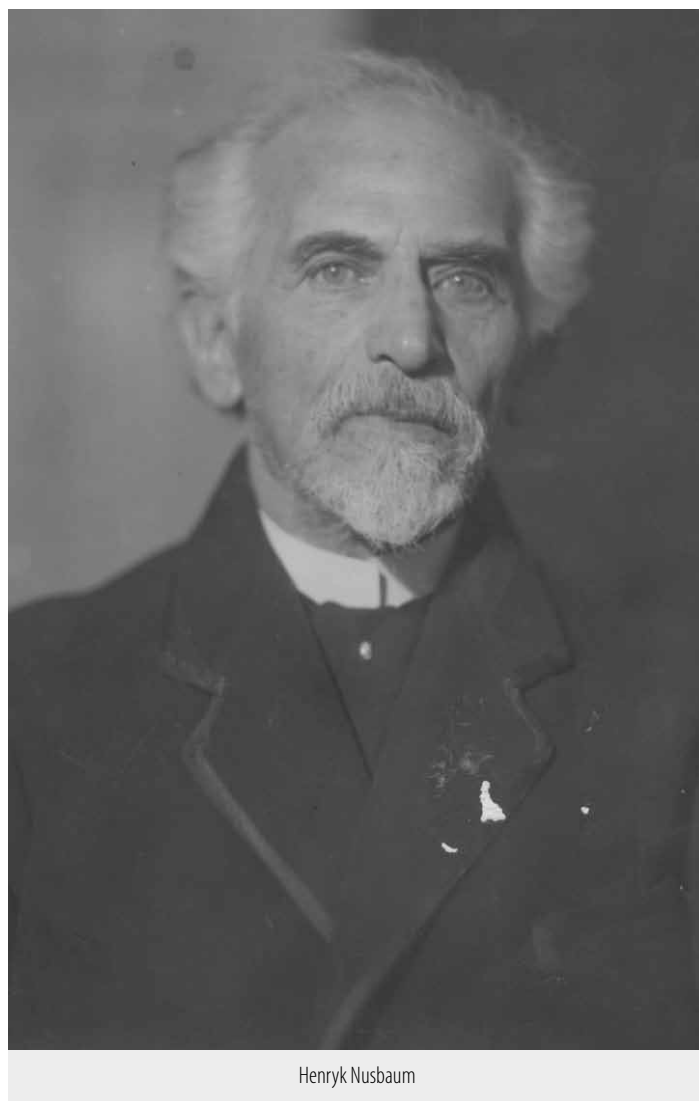
Synowi humanisty przyszło pracować naukowo w czasie, gdy wiedza o życiu przechodziła radykalne zmiany perspektyw i metod badawczych. Profesor zaangażował się w krzewienie nowych idei. Napisał pierwszy, zarazem awangardowy (to określenie jest tutaj na miejscu), polski podręcznik anatomii porównawczej.

Wiele już razy, gdy rozmawiałam z przedstawicielami różnych uczonych rodów, wspominano kogoś z Nusbaumów-Hilarowiczów albo stwierdzano, że wielu o tym nazwisku zasłużyło się nauce, a jeszcze większa liczba upowszechnianiu jej osiągnięć, właściwych adeptom nauki perspektyw widzenia świata, postaw i aktywności. Zajmują strony encyklopedii powszechnych, leksykonów przedmiotowych i innych rejestrów osób wartych poznania i zapamiętania. Owoce ich pracy naukowej i działalności edukacyjnej stanowią żywną glebę przemian modernizacyjnych, jakie w Polsce kiełkowały w XIX stulecie, a zaczęły dojrzewać w przerwie między wielkimi wojnami. Czas, by najważniejsze postaci tej szeroko skoliigaconej, zasymilowanej żydowskiej rodziny poznać bliżej.

Zanim jeszcze w rodzie Nusbaumów pojawili się utytułowani akademicy, zaczęła się tradycja zasług intelektualnych – od blisko spokrewnionego Mojżesza Tenenbauma, pisarza i działacza oświatowego z początku XIX wieku. W następnych pokoleniach miało się okazać, że ten protoplasta niejako wyznaczył główne kierunki działania potomkom, aktywnym i świadomym pilnych społecznych potrzeb. Do najpierwszych należało oświecanie społeczeństwa, będące w epoce zaborów także niezbywalną powinnością patriotyczną.

Ożeniony z córką pisarza, Ewą Tenenbaum, Hilary Nusbaum, żyjący w latach 1820–1895, był znanym publicystą, pisującym w „Jutrzence” oraz „Izraelicie”. Zwolennik asymilacji, opublikował *Historię Żydów* z myślą o czytelnikach polskich, którym nie była dostatecznie znana. Doraźną działalnością na rzecz społeczności, zarówno żydowskiej jak polskiej, były liczne akcje charytatywne, które organizował lub w nich uczestniczył, a jednoznacznym świadectwem patriotyzmu – pomoc rodzinom powstańców styczniowych zesłanym przez władze carskie.

Syn Józef, przyjąwszy wiarę katolicką, zmienił (1907) nazwisko, dodając doń drugi człon od imienia dziadka.



Henryk Nusbaum

Henryk

Żyjący w latach 1849–1937 Henryk Nusbaum ukończył Wydział Lekarski Szkoły Głównej Warszawskiej, po czym uzupełniał studia w Dorpacie, gdzie otrzymał tytuł doktora medycyny



Józef Nusbaum-Hilarowicz

w roku 1875. Rok później odbył naukową podróż po Europie, podczas której słuchał m.in. wykładów Marcelego Nenckiego w Bernie. Wróciwszy do Warszawy pracował w uniwersyteckim Zakładzie Fizjologii, publikując prace głównie z dziedziny filozofii i logiki medycyny, co przyniosło mu w 1923 roku tytuł profesora honorowego.

Henryk Nusbaum swoimi zainteresowaniami i działalnością zajmuje, jak chciałoby się powiedzieć, pogranicze nauk przyrodniczych i humanistyki, a także pogranicze epok – rozbiorowej i niepodległości. W roku 1908, zostawszy członkiem zarządu Polskiej Macierzy Szkolnej, działał na rzecz najpowszechniejszego oświecenia społeczeństwa. Analogicznym zadaniem służył w Towarzystwie Naukowym Warszawskim i w redagowanym oraz wydawanym przez siebie miesięczniku literacko-społecznym „Rozwaga”.

Józef

Urodzony w 1859 roku w Warszawie, syn znanego humanisty, ukończył gimnazjum klasyczne, co w tamtym czasie było udziałem wielu późniejszych przedstawicieli nauk ścisłych i przyrodników. Studiował biologię w cesarskim Uniwersytecie Warszawskim, uzupełniając wyższe wykształcenie w Odesie. Doktorat (wówczas kandydatkę nauk) uzyskał w macierzystej uczelni z nauk zoologicznych, docenturę na Uniwersytecie Lwowskim z anatomii porównawczej. Ta specjalność stała się głównym nurtem pracy badawczej Józefa Nusbauma-Hila-

rowicza, rozpoczętej asystenturą w Katedrze Histologii, Embriologii i Anatomii Porównawczej w warszawskim uniwersytecie w latach 1886-1891, które to zajęcia dzielił z funkcją kierownika laboratorium w Ogrodzie Zoologicznym.

Jak wielu z jego pokolenia uczył biologii w jednej ze szkół realnych, na tajnych kursach żeńskich, w lwowskim gimnazjum i w Towarzystwie Szkoły Ludowej, o czym słyszałam kiedyś w domowej rozmowie, jako że jednym z założycieli TSL był mój stryjeczny dziadek Ernest Adam, obdarzany dużą rodzinną atencją.

Kariera akademicka Józefa Nusbauma-Hilarowicza biegła szybko. W latach 1894-1906 kierował Katedrą Anatomii Opisowej Zwierząt Domych w lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej. Profesorem zwyczajnym został w roku 1906 i wtedy objął Katedrę Zoologii na uniwersytecie, kierując nią do ostatniego roku życia (1917).

Zajmował się głównie badaniem kręgowców niższych i bezkręgowców, wyjaśniając wiele procesów zachodzących w ich organizmach, m.in. funkcje pęcherza pławnego u ryb. Niepodobna przybliżyć wielu odkrywczych konstatacji uczonemu, trzeba wiedzieć, że opierał się na prekursorsko interpretowanych podstawach ewolucjonizmu. Można się doszukać „przeczuć” ekologicznych w zainteresowaniu wzmiankami dawnych uczonych o wpływie środowiska na budowę i funkcje narządów u zwierząt.

Synowi humanisty przyszło pracować naukowo w czasie, gdy wiedza o życiu przechodziła radykalne zmiany perspektyw i metod badawczych. Profesor zaangażował się w krzewienie nowych idei. Napisał pierwszy, zarazem awangardowy (to określenie jest tutaj na miejscu), polski podręcznik anatomii porównawczej. Nowe podejście do zjawisk życia i rozwoju organizmów popularyzował szerzej, uważając za istotną część wyposażenia umysłowego szerokich kręgów współczesnych. Pomny zapewne dawniejszej pracy w laboratorium Ogrodu Zoologicznego, zorganizował prywatną pracownię zoologiczno-anatomiczną w budynkach zoo, mieszczących się za jego czasów w centrum miasta, gdzie mieszkam od pół wieku.

Zainicjował tworzenie limnologicznych stacji badawczych wzdłuż biegu Wisły, a także pierwszej w Polsce stacji biologicznej w okolicy Gródka Jagiellońskiego. W latach 1901-1903 był prezesem Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika.

Słuchając o niezliczonych pracach i działalnościach przedstawicieli rodzin inteligenckich, których głównym zajęciem było uprawianie nauki, myślę czasami, że wymuszała to epoka, w której żyli: najpierw czasy niewoli narodowej, kiedy warstwa inteligencji konsolidowała się spośród mieszkańców zubożałych dworów i zamożnych kamienic, wyjątkowo chat wiejskich, potem gorączkowe, acz bardzo racjonalne budowanie państwa na nowo. I zastanawiam się, czy w dziejach narodów, także wtedy, gdy jednoczą się w większą wspólnotę, bywa czas wolny od wysiłku, duchowego i myślowego. Nie znajduję twierdzącej odpowiedzi. Toteż staram się poznać i pokazywać wzory wysiłków owocnych.

Źródło: pl.wikipedia.org



Henryk Nusbaum-Hilarowicz

Henryk junior i Tadeusz

Syn wybitnego zoologa, urodzony w roku 1890 Henryk, kontynuował przyrodnicze zainteresowania. Jeśli były dziedziczne, to także po matce. Rozalia z Głębockich Nusbaum-Hilarowiczowa, rówieśnica swojego męża, którego poślubiła w roku 1886, by zamieszkać z nim we Lwowie, ukończyła studia przyrodnicze w Genewie, uzupełniając je na Uniwersytecie Lwowskim o filozofię pod kierunkiem wybitnego mistrza Kazimierza Twardowskiego. Obok zaangażowania w organizację polskiego szkolnictwa publikowała liczne prace z zakresu filozofii, pedagogiki, psychologii zwierząt, fizjologii porównawczej. Klimat domu, w którym wychowali się bracia Henryk i Tadeusz, nacechowany był ciekawością tego, co najnowsze w wiedzy o świecie, co było jeszcze tylko przewidywaniem, a nęciło umysł poznawczymi perspektywami, pobudzało intuicję, wskazując kierunek poszukiwań.

Henryk Nusbaum-Hilarowicz ukończył medycynę na Uniwersytecie Lwowskim. Specjalizował się w chirurgii, którą przyszło mu praktykować na początku pierwszej wielkiej wojny, w 1914 roku, w wojennych oddziałach szpitalnych, a później podczas obrony Lwowa w roku 1918.

Habilitował się w roku 1929 i wtedy został członkiem Międzynarodowego Towarzystwa Chirurgicznego w Brukseli. Dziesięć lat później otrzymał tytuł profesora w Katedrze Chirurgii Uniwersytetu Jana Kazimierza, na tym samym Wydziale Lekarskim, gdzie zaczęli drogi naukowe moi rodzice. Od nich usłyszałam nazwisko Henryka Nusbauma-Hilarowicza w dra-

matycznym kontekście jego śmierci z gronem lwowskich profesorów rozstrzelanych przez hitlerowców na Wzgórzach Wuleckich 4 lipca 1941 roku. Zginął wtedy także, często z żalem wspominany, mistrz mojego ojca, internista Roman Rencki.

W międzywojennym Lwowie krążyło powiedzenie: „Gdybym się miał operować, to tylko u Hilarowicza”. Poznawszy biografię profesora, wiem, że nie było w tych słowach nadmiaru uznania, jakim darzymy zmarłych, ale rzeczowa ocena przedwcześnie przerwane dorobku, naukowego i praktycznego.

Bo też Henryk Nusbaum-Hilarowicz uparcie poszukiwał nowych, zgoła awangardowych rozwiązań chirurgicznych, a dzięki ważnym w jego specjalności talentom manualnym znajdował je i z powodzeniem wypróbował, publikując wyniki. Znaną jego pracą były *Badania nad chyżością opadania krwinek. Zasady znieczulenia miejscowego*.

Starszy syn Józefa Nusbauma, urodzony w 1887 roku Tadeusz, pozostał wierny tradycji humanistycznej, kończąc studia prawnicze na Uniwersytecie Lwowskim w roku 1910, by dwa lata później uzyskać doktorat. Przed pierwszą wojną światową zdążył pogłębić wiedzę w Berlinie i Paryżu. W latach 1918-1920 był zastępcą profesora w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, następnie profesorem prawa administracyjnego Wolnej Wszec-

nicy Polskiej w Warszawie i Łodzi, aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Zajmował się również konstytucjonalizmem, prawem kościelnym i prawem autorskim, publikując prace z tych dziedzin. Wykładał w warszawskiej Wyższej Szkole Dziennikarskiej, SGGW oraz na uczelniach zagranicznych.

W Drugiej Rzeczypospolitej Tadeusz Nusbaum-Hilarowicz pełnił wiele funkcji publicznych, których niepodobna tu wylizczyć, pokazujących zaangażowanie w tworzenie nowoczesnego systemu prawnego w niepodległym państwie.

Podczas wojny brał udział w tajnym nauczaniu, zaś po jej zakończeniu znowu przyszło mu organizować instytucje życia publicznego, przede wszystkim te kształcące prawników, jak Wyższa Szkoła Nauk Administracyjnych w Łodzi, której był rektorem w latach 1945-1947. Na terenie Łodzi działał z ramienia Zrzeszenia Prawników Polskich, a także Koła Nauczycielskiego Stronnictwa Demokratycznego, którego to ugrupowania był członkiem od roku 1947. Tam też pracował jako adwokat. Zmarł w roku 1958.

Byli jeszcze inni Nusbaumowie i Nusbaumowie-Hilarowicze zasłużeni ojczyściej historii na polu cywilizacyjnym. Spośród przymiotów, jakimi się odznaczeni, wciąż aktualne pozostają: trafność ocen sytuacji społecznej i energiczne podejmowanie najpilniejszych zadań.

Twierdza za trzy grosze

Oceniano, iż rocznie potrzeba na KUL 600 tys. złotych, „co czyni po trzy grosze od każdego katolika”. Celem uniwersytetu było wykształcenie inteligencji katolickiej. KUL miał być „twierdzą katolicyzmu w Polsce”.

Bezpośrednio po rewolucji bolszewickiej Uniwersytet Lubelski przejął misję katolickiej Akademii Duchownej w Petersburgu. Arcybiskup mohylewski Edward Ropp, zwierzchnik akademii, przelał (23 X 1918) jej prawa do nadawania stopni licencjata i doktora nauk teologicznych na projektowane wydziały kościelne Uniwersytetu Lubelskiego. Od lutego 1918 roku działał w Petersburgu Komitet Organizacyjny uniwersytetu. Podstawą finansową działania były środki przekazane przez finansistę Karola Jaroszyńskiego. Przekazał on na potrzeby uniwersytetu około osiem milionów rubli z kont przechowywanych w bankach zachodnioeuropejskich.

Uniwersytet Lubelski miał formę filiae Ecclesiae, a tym samym uzyskał status instytucji długiego trwania. Działał jako jeden z tysiąca uniwersytetów katolickich, posiadał nie tylko wydziały duchowne, ale i świeckie. Kuratorium uniwersytetu stanowili: Karol Jaroszyński, Franciszek Skąpski, ks. Idzi Radziszewski oraz Konstanty Chyliński. Już 13 lipca 1920 roku bp Marian Leon Fulman skierował *List Episkopatu Katolickiego w Polsce* do Polaków w Ameryce. Apelował: „Budzi się duch religijny i czyn katolicki. Formuje się zwarty hufiec obroń-

ców Wiary i Kościoła przeciwko fali pogaństwa nowożytnego w postaci bolszewizmu i anarchji religijnej barbarzyńskiego Wschodu. Budujemy twierdze obronne przeciwko niewierze, w których byśmy mogli uchować największy depozyt naszej przyszłości wiekuiestej – naukę katolicką”. Ofiary pieniężne Polonii miał zbierać i przekazywać do Lublina ks. Wacław Kneblewski, były kierownik kursów pedagogicznych w Częstochowie, autor broszury *Wolny Uniwersytet Katolicki w Lublinie* (1920). Według ks. Kneblewskiego nowa placówka miała „kształcić młodzież polską i chrześcijańską, nie dopuszczając do siebie żywiołów obcych pochodzeniem”. Tu wymieniał Żydów, których dzieli od Polaków „względ na dwa odrębne światy pojęć etycznych i społecznych”.

W pierwszej wersji statutu podawano: „Uniwersytet pozostaje pod zwierzchnią władzą i opieką Episkopatu Polskiego”. To Episkopat mianował profesorów i docentów na wniosek Senatu. Początkowo nie stosowano określenia „Katolicki”. Delegata Episkopatu do spraw KUL nazwano (1928) kanclerzem, a od roku ak. 1933-1934 Wielkim Kanclerzem KUL. Uniwersytet nie był zamknięty w ramach wyznaniowych. W miesięczniku „Samo-



50. Widok na pawilon wschodni i południowy od strony dziedzińca, lata dwudzieste XX wieku, fotografia w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej KUL.

pomoc Akademicka” (nr 8-9, 1922) wskazywano: „Zastrzeżenie, iż do grona akademickiego przyjmowaną jest wyłącznie młodzież wyznań chrześcijańskich, nie wyklucza jednak tolerancji w stosunku do jej przekonania religijnych. Myślą, która przyswierała założycielom Uniwersytetu Lubelskiego, było, iż religia i nauka obiektywnie i każda w swoim zakresie pojęte, winny nie tylko nie przeczyć sobie, lecz, przeciwnie, nawzajem się uzupełniać. To też, jeżeli chodzi o dobór profesorów, stwierdzić należy, iż na poszczególne katedry Uniwersytetu, pomimo jego charakteru wyznaniowego, zaproszeni zostali ludzie o bardzo niekiedy pod względem religijnym różnych zapatrywaniach, że wymienię tutaj, jako przykład prof. Baudouin de Courtenay, założyciela gminy bezwyznaniowej w Warszawie. Charakter katolicki Uniwersytetu zaznacza się jednocześnie w pewnym jednolitym kierunku wychowawczym Uniwersytetu”.

W okazjonalnej broszurze *Oświata katolicka i uniwersytety katolickie* (1929), wydanej jako *Szkice kazań na „Dzień uniwersytecki”*, przypomniano: „sam honor Kościoła Katolickiego wymaga, aby Uniwersytet, który wywiesił sztandar wiedzy katolickiej, w niczem nie ustępował innym Uniwersytetom czy to państwowym, czy też społecznym”. KUL nie był więc postrzegany powszechnie jako „prywatny” (zgodnie z podziałem rzymskim na to, co publiczne i co prywatne), lecz właśnie jako społeczny. Oceniano, iż rocznie potrzeba na KUL 600 tys. złotych, „co czyni po trzy grosze od każdego katolika”. Celem uniwersytetu było wykształcenie inteligencji katolickiej. KUL miał być „twierdzą katolicyzmu w Polsce”.

Wśród ogółu studiujących na wydziałach świeckich KUL było 310 kobiet. Wobec konieczności wnoszenia opłat za studia i wysokich kosztów utrzymania aż połowa studiujących na KUL korzystała z Senackiego Funduszu Pomocy Młodzieży Akademickiej lub pożyczek z Bratniej Pomocy. Wysokość opłat była minimalna: w roku ak. 1931/1932 składały się z wpisowego (30 zł), czesnego (rocznie 90 zł), opłaty bibliotecznej (rocznie 15 zł) oraz opłaty na Senacki Fundusz Akademicki (rocznie 5 zł).

W realiach Polski Ludowej władze komunistyczne systematycznie starały się ograniczać możliwości działania Katolickiego

Uniwersytetu Lubelskiego. Forsowały rozbudowę konkurencyjnego, państwowego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Szczególne represje pojawiły się w okresie stalinizacji nauki polskiej. Pretekst do represji dały uroczystości Bożego Ciała (16 VI 1949) z udziałem około tysiąca studentów. Powodem czynnego protestu studentów było prowokacyjne wjechanie w tłum samochodu z szefem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie. Mimo represji KUL zachowywał – jako jedyny z ówczesnych uniwersytetów – własną tożsamość i ograniczoną autonomię. Wśród wykładowców i studentów przechowywano depozyt w postaci tradycji akademickiej.

Przyjęcia na studia wolne były od kontroli. Jak pisał Bohdan Królikowski (*Z naszego półwiecza. Wspomnienia absolwentów filologii polskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego rocznik 1951-1955*, 2005): „W latach poprzedzających nasze przyjęcie na KUL nie było tu egzaminów wstępnych. Przyjmowano każdego, kto okazał świadectwo dojrzałości i metrykę chrztu. Dla nas urządzono namiastkę egzaminów, bardzo łatwe »kolekwa sprawdzające«. Musieliśmy wysłuchać kilku wykładów, streścić je, a czystopis notatek złożyć do sprawdzenia. Potem siedliśmy grupami, w kilku salach, i pod nadzorem asystentów pisaliśmy »wypracowanie« na temat dowolnie wybranej książki (...). Autorów słabszych prac wezwano na sprawdzian ustny w początkach października”.

W kolejnych rocznikach limity przyjęć, ustalone ministerialnie, objęły także KUL. Mimo trudności, studenci KUL z dumą nosili białe czapki z dwoma czerwonymi paskami na otokach. We wspomnieniach (2005) Tadeusz Kłak podkreślał: „Gdy spoglądam z perspektywy (...) lepiej na ogół pamiętam nie sprawy związane z samym studiowaniem, lecz te, które stanowiły drugi nurt naszego życia – właśnie życie umysłowe, uczestnictwo w zebraniach różnych sekcji, w posiedzeniach naukowych i wieczorach autorskich. Ważne też były obfite lektury oraz koleżeńskie dyskusje”. Doceniał też „bliskie relacje naszych profesorów ze studentami. Odcięci przymusowo od uczestnictwa w ogólnopolskim życiu naukowym, poświęcali nam wiele czasu i kto chciał, korzystał z tego z ogromnym dla siebie pożytkiem”.

Henryk Grabowski

Pochwała przeciętności

Wszyscy jesteśmy skłonni podziwiać to, co rzadkie i wyjątkowe. Nie zawsze uświadamiamy sobie, że istniejemy głównie dzięki temu, co przeciętne i pospolite. Gdyby nie jednostki wybitne, torujące drogę postępowi, to pewnie nie wyszlibyśmy jeszcze z jaskiń. Jednak bez osób przeciętnych, których praca służy zaspokajaniu codziennych ludzkich potrzeb, nie przetrwalibyśmy na ziemskim padole.

Wolno darzyć uznaniem kobiety, które w obecności biskupów uroczą się ślubując dozoną czystość. Gdyby jednak wszystkie poszły tą drogą, to świat by się szybko wyludnił. Można wynosić na ołtarze pustelników, którzy dla chwały Bożej decydują się na życie w izolacji i celibacie. Gdyby jednak wszyscy dokonali takiego wyboru, to nie miałby kto produkować rzeczy, leczyć ludzi, uczyć dzieci. Nie

mówiąc o warunkującej przetrwanie gatunkowe prokreacji. Wolno gloryfikować twórców nauki i sztuki, ale ktoś musi im dostarczać środków do życia. Tak jak można zachwycać się smakiem i zapachem trufli, ale to chleb nasz powszedni zapewnia nam przetrwanie.

Wszystko to może się wydać tak oczywiste, że aż banalne. Jednak ze względu na osobotwórcze tego konsekwencje warto sobie czasem o tym przypomnieć. Tych, którzy przypisują sobie cechy ponadprzeciętne, świadomość, że wszyscy sobie wzajemnie jesteśmy jednakowo potrzebni, może uchronić przed żalną w społecznym odbiorze megalomanią. Tych, którzy uważają siebie za przeciętnych, może uwolnić od szkodliwych dla zdrowia psychicznego kompleksów.

O dialogu w trudnych czasach

Ludzie, w których od lat z pogardą wmawiano mylenie się co do władzy, mają w komputerach setki tysięcy zrzutów ekranowych, filmów i zdjęć związanych z polityką. To straszny materiał, to dowody na zły stan zarządzania ludnością i państwem. Dla władz sprzed 2015 roku dane te wyglądają wręcz fatalnie. Żadne zaklęcia nie mogą faktów zmienić, ale trwa dziwaczna dyskusja, która ma to odczarować.

Nasuwa się potrzeba przypomnienia sobie, czym w ogóle jest dialog. Dialog to nie zawsze rozmowa różnych osób. Dialog bywa paradoksalnie „własnym ciągiem myślowym”. Seria pytań i odpowiedzi, prób dowodzenia i ustalania prawdziwości, a także wyciągania wniosków dla zagadnień kontekstowych. Jest to także sposób zapamiętywania myśli, informacji, analiz i syntez, kształtowania pamięci. W sumie chodzi o wytyczanie własnej drogi bycia na tym świecie z Polską włącznie. To chyba typ dialogu najważniejszy, główny.

Kiedy pojawia się dialog wieloosobowy, sprawy stają się trudniejsze. Działają zwodnicze czynniki psychologiczne. A to ktoś gubi zdolność dyskusowania, kiedy widzi przed sobą mikrofon na statywie. A to ktoś traktuje dyskusję jako zobowiązanie do nadinterpretacji ważności swojej osoby. A to zniewolenie przez grupę i cenzura środowiskowa wykręcają mózg pod groźbą ostracyzmu. A to następuje nagły zanik umiejętności dyskusowania celowego, takiego bez dygresji, męczących dywagacji, nieuprawnionego kojarzenia pojęć różnogatunkowych i zrywania szlaku tematycznego. Jest też stosowanie całego wachlarza chwytów erystycznych, z najczęstszym argumentem typu *ad hominem*, *ad personam* lub *ad historiam*.

Wobec dekoncentrujących uwag i śmieciowych wtrętów, nieistotnych, nieobciętych lub niepoprawnie obciętych parametrów, szczegółów, skojarzeń, jednostkowych (i tym samym nienaukowych) spostrzeżeń, wreszcie wobec odrywania wypowiedzi od kontekstu – nie ma jak się bronić. Doszło do tego, że ludzie z tak zwanej elity z zasady nie odpowiadają na pytania czy argumenty, ale uciekają z linii sensu. Coś stało się z ich inteligencją? Nie, to cwaniactwo (które nie licuje z ich pozycją społeczną). W ciemno wygłaszają drastyczne opinie i nie liczą się z ewentualnymi sprostowaniami, bo są bezpieczni: wypowiedzi takie giną w chaosie dezinformacji i rozmywają się pod wpływem następnych.

Do perfekcji dochodzi umiejętność wykręcania kota ogonem. Króluje Jego Wysokość Sofizmat wespół z księżną Amfibolią. Maleńkie dzieci to potrafią, ale profesor powinien się stosowania takich metod wystrzeżać, bo myśląca młodzież przecież to wszystko dostrzeże i mówi: „niech się wstydy, kto nie widzi”. Niestety sporo przedstawicieli elit, profesorów, prezesów, laureatów nagród wypowiada się ostatnio w mediach na poziomie zenująco niskim. Mówią to, co każe przewodniczący

lub były prezes danej partii. Partiom zabrakło bowiem ekspertów własnych, wyplukali się.

Eksperci popełniają przy tym fatalny a znany od wieków błąd, polegający na tym, że zamiast wprowadzać różne formy fałszu, po prostu żywcem kłamią. Ja wiem, fałsz jest czymś bardzo nagannym, ale ponieważ trudno udowodnić, że ktoś coś fałszuje, to takie działanie można byłoby od biedy zrozumieć (bez akceptacji treści i moralności). Natomiast kłamstwo zawsze łatwo udowodnić. Kłamczuchów nie rozumiem. A wielu woli kłamać, bo ich mózg sofistyką już się zmęczył. Takiemu nic nie wytłumaczysz, nie zmusisz go do powrotu do tematu ani do argumentacji opartej na faktach. Będzie brnął i się okopywał, wyrzucając z siebie coraz bardziej kompromitujące wypowiedzi, manipulacje i krańcowe inwektywy „ad Hitlerum”.

Dodatkowym kłopotem jest ogólny zanik autorytetów. Profesorowie opowiedzieli się głównie (nie wszyscy, rzecz jasna, ale samodzielnych jest dużo mniej) po jednej stronie sporu politycznego i ideologicznego. Ktoś, czyje zdanie ongiś było decydujące, raz czy dwa skłamał, i już nikt z jego głosem się nie liczy, nawet uwielbiana partia. Wtedy próba dochodzenia do prawdy przeistacza się w metodę wkręcania sobie samemu rzekomej wiedzy i nieprawdziwej analizy. Oto autor (obecnie: były autorytet) ukrywa przed sobą, że kłamie.

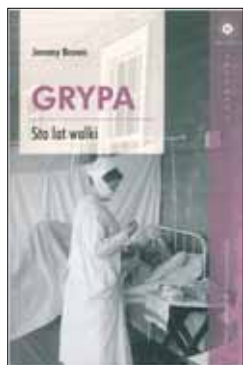
Niektórzy myślą myślenie z emocjami, albo odwrotnie, a przecież emocje wykazują wykrzywione podobieństwo do wadliwych myśli, są do nich podobne dzięki gwałtowności i nieuporządkowaniu.

Spontaniczne „myślenie w duchu” nie musi iść tą drogą. Zawsze, zanim podejmie się decyzję co do definicji, wniosków i doktryny, warto przeciwzyć wyszukiwanie własnych błędów rozumowania i stanąć po jasnej stronie mocy.

Chodzi tu między innymi o rewizję zakresu i słuszności użycia brzytwy Ockhama. Błąd w jej stosowaniu, szczególnie ten polegający na usuwaniu ważnych semantycznie kontekstów, powoduje takie zawężenie dowodzenia, że staje się ono przesmykiem między skałami, okienkiem w ścianie – bez opisu skał i ścian. Dyskutanci ostatnich lat chętnie okrajają zjawiska z odchyłem standardowych, czyli przypadków rzadkich i nietypowych, a w danej sytuacji właśnie decydujących. Szczególnie wtedy brak własnych mechanizmów kontrolnych myślenia powoduje dostosowywanie się do standardowych (tzw. środowiskowych albo dziedzinowych) modeli danego problemu oraz do nieuprawnionych przeświadczeń, co w dziedzinie jest możliwe, a co nie. Ten ostatni typ wadliwej standaryzacji wiedzy wykpił kiedyś Einstein, wygłaszając anegdotkę o młodzieńcu, który nie wiedział, że czegoś nie da się zrobić, i dlatego to zrobił.

e-mail: lpj@lpj.pl

Wróg czai(ł) się wszędzie



Z pozoru wygląda całkiem niewinnie. Swoim kształtem przypomina niewielką piłeczkę i rzeczywiście można spróbować użyć go do grania, ale będzie to gra na bardzo nierównych zasadach. Wirus grypy nie respektuje bowiem żadnych reguł, kiwając ludzi niczym wytrawny futbolista swoich boiskowych przeciwników. Wymykając się wszelkim prawidłowościom, od lat przyprawia lekarzy i naukowców o prawdziwy ból głowy. Umiejętność unicestwiania wielu ludzkich istnień w stosunkowo krótkim czasie wymusza nieustająco poważne traktowanie. Wydarzenia z 1918

r., kiedy z powodu epidemii hiszpańskiej grypy straciło życie od 50 do 100 mln osób na całym świecie, do dziś przypominają o niezwykłej sile rażenia patogenu.

Amerykański lekarz i dziennikarz Jeremy Brown postanowił przyjrzeć się bliżej szczegółom tragicznych zmagania człowieka z wirusem. Napisana wiek po pandemii *Grypa. Sto lat walki* jest nie tylko kolejną opowieścią o faktach mających miejsce w przeszłości, potraktować ją można jako rodzaj przewodnika po zagadnieniach medycznych. Autor przyglądając się zmianom, jakie zaszły w procedurach postępowania z chorymi, uświadamia, jak ważny jest nieustający rozwój wiedzy prowadzący w efekcie do podejmowania właściwych działań. Dziś możemy już z lekkim uśmiechem przyglądać się metodom wykorzystywanym przez lekarzy na początku XX w., kiedy na porządku dziennym były lewatywy, puszczanie krwi czy zapisywanie leków wytwarzanych z chlorku rtęci oraz aplikowanie wzięwów z toksycznych gazów. Ówczesni medycy poruszali się jednak po omacku, chwytając się wszelkich środków, by pomóc potrzebującym.

Mimo upływu lat wirus grypy jest nadal niebezpieczny, głównie dzięki umiejętnościom ciągłej zmiany wyglądu. Porównać go można do kameleona, który korzystając ze swoich zdolności, skutecznie myli wszelkie tropy. Ilekroć się wydaje, że wróg został już dokładnie rozpoznany, wirus przybiera nową postać i atakuje po raz kolejny. Brown uświadamia, że nie jesteśmy w tej walce całkiem bezradni. Mamy do dyspozycji zarówno szczepienia ochronne, jak i cały pakiet wiedzy, dzięki której możemy unikać niepożądanych zachowań, minimalizując w ten sposób ryzyko powikłań. A to one właśnie prowadzą do tragicznych często skutków. Hiszpanka na przykład powodowała tak gwałtowne zapalenie płuc, że nie radziły sobie z nim nawet najsilniejsze organizmy, konsekwencją czego była niespotykana liczba zgonów wśród młodych ludzi. Przypuszcza się, że właśnie u osób w sile wieku wystąpiło wówczas zjawisko nadreaktywności własnego układu odpornościowego, który w tym przypadku zamiast walczyć, przyspieszał rozwój choroby. Dodajmy do tego, mówi Brown, ówczesne okoliczności, czyli czas wojenny, powodujący przemieszczanie się wielkich mas ludzkich, brak wiedzy na temat etiologii wirusa oraz dezinformację i ukrywanie faktów na temat zagrożenia, a zrozumiemy, jak mogło dojść do tak ogromnej katastrofy w dziejach ludzkości.

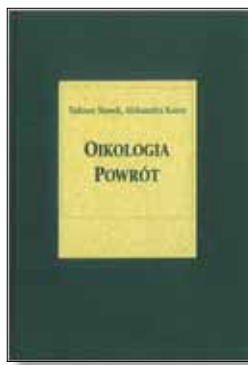
Dziś wiemy więcej o morderczym wirusie z 1918 r., podkreśla autor. Naukowcom udało się wyizolować go, dzięki czemu poznaliśmy jego kod genetyczny, wiemy, jak ulega mutacjom i w jaki sposób wywołuje chorobę. Nie znaczy to jednak, niestety, że na froncie walki z grypą możemy ogłosić sukces. Choroba ta bowiem, „wkłada kij w szprychy naszego eleganckiego systemu obrony”, a my, nie dysponując nawet dokładnym narzędziem pomiaru, nie możemy precyzyjnie przygotować się na jej kolejną odsłonę. Pojawiają się teorie, według których nasilenie występowania wirusa koreluje z czasem spędzonym w zamkniętych pomieszczeniach, występowaniem plam na słońcu czy z poziomem witaminy D w organizmie. Żadna koncepcja nie daje jednoznacznej odpowiedzi.

Tymczasem „Nasz aktualny plan przygotowań zakłada wybuch nowej pandemii na skalę 1918 roku i wielu ekspertów obawia się jej bardziej niż większości innych potencjalnych kryzysów zdrowotnych”.

Aneta Zawadzka

Jeremy BROWN, *Grypa. Sto lat walki*, tłum. Joanna Gilewicz, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2019, seria: Mundus. Fenomeny.

O domu raz jeszcze



Czym jest oikologia? W dużym skrócie, to nauka o domu. Ale nie tylko, również o miejscu, społeczności, lokalności. Dom jako konstrukcja w sensie technicznym, pojęcie filozoficzne, społeczne i jego twórcza realizacja w literaturze i psychologii. Definicja domu na poziomie ogólnym, powszechnym, rzekłbym nawet ogólnikowym oraz dom w sensie bardziej ścisłym, bo odnoszącym się nie tyle do społeczności i lokalności, ile przede wszystkim do pojedynczej ludzkiej indywidualności wyznaczającej granice domu głównie w (z)rozumieniu psychologicznego konstruktów jednostki.

Tytułowy „powrót” nasuwa skojarzenia z powrotem do domu, ale biorąc pod uwagę, że to już druga oikologiczna książka tandemu Sławek-Kunce, mamy do czynienia także z tematycznym powrotem i ponownym wejściem na oikologiczną drogę. Praca ma jasny podział, jej pierwszą połowę wyznaczają analityczne obserwacje Tadeusza Sławka, których bazą badacz uczynił zbiór opowiadań Italo Calvino *Marcovaldo czyli pory roku w mieście*. Tytułowy bohater, pochodzący ze wsi, a obecnie miejski proletariusz z szóstką dzieci, próbuje oswoić industrialną, zurbanizowaną przestrzeń, chociaż rytm jego życia nadal wyznaczają pory roku i być może dzięki temu widzi w mieście o wiele więcej niż tylko zaplanowaną przestrzeń, ciąg ulic, kamienic i skwerów. Miasto jest domem i jednocześnie daje asumpt do psychologiczno-społecznych obserwacji: dlaczego zachowujemy się tak, a nie inaczej, czy miejsce, w którym żyjemy wpływa na nasze życiowe wybory, codzienne decyzje, a może to my naszymi decyzjami kształtujemy rzeczywistość dookoła? Powstaje fundamentalne pytanie, czy to miejsce wpływa na moje wewnętrzne „ja”, czy też raczej człowiek stara się wpłynąć na miejsce, dostosowując je do swoich potrzeb. Oś wywodów Sławka stanowią fragmenty *Marcovaldo* i służą mu one jako baza do humanistyczno-społecznych koncepcji. Czy aby na pewno człowiek tworzy miejsce i nad nim panuje, czy żywa miejska tkanka oplata każdego mackami zależności i sprawia, że nawet detale architektoniczne, układ ulic i siatka budynków nas zniewalają?

Drugą połowę *Oikologii* zagospodarowuje Aleksandra Kunce, wzbogacając o ciąg zdjęć przestrzeni miejskiej, m.in. fotografie budynków składających się na śląski Szlak Zabytków Techniki. I właśnie ten fragment jej rozważań o szeroko rozumianej przestrzeni domu wypadła interesująco. Kunce zauważa, że dom nigdy nie oznacza statyczności, bezruchu, a wręcz przeciwnie, jest powiązany z ruchem rzeczy, zdarzeń i idei, jest zapowiedzią naszego przemijania i jednocześnie nadejścia nowego życia. Na pojęcie domu, a nawet na jego kształt w sensie ściśle budowlanym wpływają różnice etnograficzne, architektoniczne, bez wątpienia także odmienności geograficzne związane z klimatem. Jedynym niezniszczalnym domem może być ten w sensie niematerialnym, obejmujący niezbywalne wartości duchowe, konstytuujący i wyróżniający indywidualność naszego istnienia. *Oikos* śląski to według Kunce nieuchronna dwoistość, podwójność języka, kultury, ścieranie się lub raczej pokojowa koegzystencja polskości i niemieckości wymieszanej w jednym tyglu, tworzących lokalny i spójny konglomerat.

Dom to także rodzimy język, w którym myślimy nawet po wielu latach mieszkania za granicą lub do którego podświadomie wracamy w momentach dla nas traumatycznych. Może niemal za paradygmat uznać moglibyśmy stwierdzenie, że z domu nie wychodzimy nigdy, on jest w nas i wraz z upływem lat coraz bardziej marzymy, by do niego powrócić głównie fizycznie. Do zapachów, smaków, osób, które odeszły, ale także do namacalnych miejsc. Na szczęście dzięki pamięci dom będzie w nas zawsze, przede wszystkim jako idea.

Jacek Hnidiuk

Tadeusz SŁAWEK, Aleksandra KUNCE, *Oikologia. Powrót*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2020, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Historia najnowsza jako wyzwanie polonistyczne



Seria Edukacja Nauczycielska Polonisty niezmiennie podejmuje istotne i aktualne problemy, które w pierwszej chwili wydają się „tylko” dydaktyczne, a w istocie często mają charakter społeczno-kulturowy. Tak jest m.in. w przypadku jednej z ostatnich publikacji – tomu zbiorowego pt. *Historia najnowsza w literaturze i kulturze a edukacja polonistyczna*. Książkę tworzy osiemnaście artykułów i obszerny wstęp autorstwa redaktorek naukowych. Teksty są zgrupowane według następujących zagadnień: obraz przełomów politycznych w literaturze i filmie, PRL w najnowszej literaturze dla dzieci i młodzieży, relacje polsko-żydowskie, PRL w literaturze i kulturze na lekcjach języka polskiego oraz historii w języku (tylko jeden tekst).

Historia najnowsza naszej ojczyzny jest szczególnie wrażliwym tematem społeczno-kulturowym, który – niestety – mocno dzieli Polaków. Dlatego tak ważne jest podejmowanie prób dialogu i refleksji o tych wprawdzie minionych, ale wciąż na nas oddziałujących wydarzeniach. Wielość narracji o historii najnowszej nierzadko wywołuje zagubienie wśród dorosłych, a co dopiero dzieci i młodzieży. Z pomocą nauczycielom i de facto uczniom może przyjść właśnie rzeczona książka, współtworzona przez badaczy oraz czynnych i przyszłych nauczycieli.

Oczywiście nie sposób omówić tutaj każdego artykułu z osobna. Pozwolę sobie zatem na zasygnalizowanie wybranych – inspirujących – uwag i refleksji, które wywołuje ten pokazany tom. Po pierwsze, zasadniczą i przewodnią wydaje się myśl zwerbalizowana przez redaktorki naukowe: „celem pracy nauczyciela jest pomaganie uczniom w odkrywaniu i objaśnianiu świata, ale przede wszystkim przygotowanie ich do nadawania temu światu kształtu, do zmieniania go na lepsze”. Po drugie, lekcje polskiego dają szansę poznania różnych oblicz nieodległej przeszłości ze względu na możliwość pracy z odmiennymi tekstami kultury (autorzy artykułów podają wystarczająco dużo przykładów). Trzeci wniosek z lektury *Historii najnowszej* to asumpt do refleksji nad rolą nauczyciela języka polskiego jako nauczyciela nie tylko języka, literatury, filozofii czy kultury (to i tak dużo), lecz także historii i polityki, bez których nie można w pełni zrozumieć tekstów kultury. Być może to oczywiste, ale jeśli dodamy fakt, że na różnych przedmiotach często brakuje czasu na przybliżanie zagadnień po 1945 r., to wtedy się okazuje, że interdyscyplinarna lekcja polskiego jest nie lada wyzwaniem dla obu stron procesu dydaktycznego.

Czwarta myśl to pytanie, które powinno być ponawiane: jak dotrzeć do młodych odbiorców z tą tematyką? Jak przybliżyć te często bolesne sprawy, których doświadczali rodzice i dziadkowie uczniów? Autorzy tomu proponują pracę ze źródłami: z różnymi tekstami kultury (m.in. utworami literackimi, filmami, plakatami, gramami) prezentującymi nie tylko perspektywę dorosłych, ale też młodych, co wydaje mi się szczególnie cenne. Piąty główny wniosek płynący z omawianego tomu wskazuje na polifoniczność wypowiedzi o wydarzeniach z drugiej połowy XX w. Ta wielogłosowość może być tak samo atrakcyjna (wszak każdy uczeń znajdzie coś dla siebie), jak i groźna, jeśli nie jest odpowiednio skomentowana. Ponadto skrajność narracji o historii najnowszej – od demonizacji po mitologizację – prowadzi czasem do konstatacji, że nie warto zajmować się tą tematyką. Przyjęcie takiej postawy byłoby oddaniem pola różnym manipulatorom, którzy chcą wpłynąć na młodych ludzi.

W mojej ocenie książka nie tylko trafnie ukazuje problemy z historią najnowszą, ale też przekonująco dowodzi istotnego znaczenia edukacji polonistycznej w jej poznawaniu i rozumieniu.

Marcin Lutomiński

Historia najnowsza w literaturze i kulturze a edukacja polonistyczna, red.

Anna JANUS-SITARZ, Agnieszka KANIA, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2018, seria: Edukacja Nauczycielska Polonisty.

Strach chorować



To nie jest dobra książka na czas epidemii. Zmusza do myślenia o tym, na jakim poziomie rozwoju medycyny jesteśmy obecnie. W końcu dawni „medycy” też wierzyli w skuteczność własnych terapii... A może właśnie to jest dobra książka na czas epidemii, bo po prostu zmusza do myślenia?

Tonący brytawy się chwytła, więc w sumie nie powinnam się dziwić, że przy dawnym niedoborze lekarzy i wiedzy o ludzkim organizmie chwytałyśmy się przeróżnych terapii. Nasze polskie wygrzewanie Rozalki w piecu wcale nie byłoby na szczycie tych najbardziej dziwnych. Choć wiele z nich wiązało się właśnie z wysoką temperaturą. Na przykład ból głowy zwalczano rozgrzanym żelazem przykładanym do skroni albo skrapianiem czoła wrzącym olejem. Na pewno po takim zabiegu bólu głowy już się nie czuło.

Powszechnym sposobem leczenia wszelkich dolegliwości było wywołanie wymiotów. Według Herodota już starożytni Egipcjanie przynajmniej raz na miesiąc zażywali środki wymiotne dla „zachowania zdrowia”. Regularne wymioty zalecał też Hipokrates. Powszechnym środkiem wykorzystywanym w tej „terapii” był antymon – toksyczny pierwiastek chemiczny. W czasach największej popularności tego środka modne były również pięknie zdobione kielichy wymiotne w równie pięknych futerałach. Sam antymon należy do grupy metaloidów, więc się nie rozkładał. Po przejściu przez układ trawienny mógł być – i był – używany ponownie. Podobno pigułki z antymonem dziedzioczono z pokolenia na pokolenie...

A teraz zajmijmy się czymś szlachetniejszym. Przez tysiące lat próbowano uzyskać lekarstwo ze złota. To ono miało dać nieśmiertelność, stać się eliksirem życia. Problem był tylko z jego przyjmowaniem. Aż w końcu około roku 1300 alchemikowi zwanemu Gaberem udało się opracować metodę roztwarzania złota. Wprawdzie wyszła mu żrąca mieszanina kwasów azotowego i solnego, ale w wyniku dalszych reakcji powstawał chlorek złota, nadający się do picia po rozrzedzeniu wodą. Nawet sławny Paracelsus uważał, że pitne złoto może uleczyć wszelkie choroby. Ale się mylił, bo taki trunek był toksyczny. Mógł za to uszkodzić nerki oraz wywołać chorobę zwaną gorączką złota – wysoką temperaturę, wzmożoną produkcję śliny i częste oddawanie moczu.

W XVIII wieku leczenie złotem straciło swą popularność po krytyce niektórych chemików, ale wróciło do łask już w wieku XIX, kiedy to desperacko szukano środka zwalczającego syfilis. Tę chorobę jednak najczęściej traktowano ręką, promowaną wcześniej przez wspomnianego już Paracelsusa. Powstawały nawet specjalne łaźnie, w których wdychano opary rtęci. Ich ówczesnym zwolennikom nie wytłumaczylibyśmy, dlaczego dziś w aptece nie można kupić termometru rtęciowego. Współcześni klienci też często tego nie rozumieją.

Nie sposób nie wspomnieć o terapii, która powstała dzięki naszej rodaczce – Marii Curie. Razem z mężem odkryła ona i wyizolowała rad. Szybko się okazało, że pierwiastek ten ma niezwykle zdolności niszczenia komórek rakowych. Ale dlaczego zatrzymywać się na nowotworach? Radem próbowano leczyć nadciśnienie tętnicze, cukrzycę, artretyzm, reumatyzm, podagrę oraz gruźlicę. Co więcej, dodawano go do kremów i upiększających (hasło reklamowe z tamtego okresu, „Promieniuj radością i pięknem”, na pewno jest bardzo chwytliwe), balsamów, mydeł oraz pasty do zębów.

Jak jeszcze można leczyć? Oczywiście na przykład upuszczaniem krwi, lobotomią, lewatywami, zwłokami, głodówkami, seksem, narkotykami, truciznami, światłem. I oczywiście królewskim dotykiem. Terapii na czas epidemii mamy sporo do wyboru.

Na szczęście, mam nadzieję, większość z nas korzysta z wiedzy prawdziwych lekarzy, choć wyznawców leczenia w stylu „doktora” Ziemy niestety nietrudno znaleźć.

Justyna Jakubczyk

Lydia KANG, Nate PEDERSEN, **Szarlatani. Najgorsze pomysły w dziejach medycyny**, tłum. Maria Moskal, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2019, seria: #nauka.

Literuroznawstwo spacjologiczne



Zapewne czymś dobrym jest czytanie książek o Wacławie Berencie, ale bez wątpienia jeszcze lepszym osiągnięciem po *Żywe kamienie*, *Próchno* czy *Oziminie*. Lektura tych powieści nie jest karkołomnym przedsięwzięciem, które wymagałoby czegoś więcej niż zdrowy rozsądek, ogląda literacka i najogólniejsze rozeznanie w kulturze humanistycznej. Każdy jako tako wyposażony w ów arsenał upora się ze spuścizną naszego modernisty. Berenta nie tylko należy czytać, lecz także ciągle da się czytać, na przekór różnym literaturoznawcom, którzy uczynili wiele, aby odstraszyć od jego twórczości. Ostatecznym celem działalności literaturoznawczej winno być rozjaśnianie meandrow pisarstwa i zachęta do lektury. Jeżeli badacz tak bardzo skupia się na wymyślonych przez siebie teoriach, że nie starcza mu już czasu i chęci na analizę dzieła samego w sobie, to jest to działalność chybiona. Powtarzam: w takim wypadku zawsze lepiej czytać Berenta od wymysłów przysłowiowego Kowalskiego na temat pisarza.

Choć powyższe zastrzeżenie jest niezbędne, na szczęście nie odnosi się do pracy Aleksandry Wójtowicz *Przestrzeń „Oziminie” Wacława Berenta*. Autorka konsekwentnie realizuje swój projekt badawczy, nie kryjąc przy tym uwikłania w cały szereg koncepcji o określonej proveniencji, co nie przeszkadza jej jednak – nazwijmy to – trwać przy dziele. Warto przywołać następującą uwagę: „*Ozimina* Wacława Berenta jest dowodem na to, że kategoria przestrzeni odgrywa kluczową rolę w utworze epickim i ułatwia odczytanie sensów w nim obecnych, jednak analiza angażująca instrumentarium topograficzne musi współgrać z uważną, wnikliwą lekturą tekstu”. Zachowany zostaje właściwy porządek, a więc od szczegółu do ogółu, od faktów do ich interpretacji. Nie ma natrętnego doszukiwania się dowodów, które zaświadczałyby o prawdziwości z góry przyjętych tez. Nawet wieńczący pracę rozdział, w którym autorka nazywa *Oziminie* „fugą prozatorską”, choć najbardziej dyskusyjny, jest przekonująco uzasadniony. Rozważania o powinowactwach schematu powieści i utworu muzycznego poprzedzone są analizą spacjologiczną. Najpierw więc zrekonstruowany został warszawski kontekst przestrzenny z lat 1904-1910 (pierwsze wydanie *Oziminie* ukazało się w 1911 roku), a następnie skonfrontowany z przestrzenią wykreowaną w samym dziele. Autorka posługuje się z jednej strony terminem „przestrzeń *Oziminie*”, z drugiej „przestrzeń w *Oziminie*”.

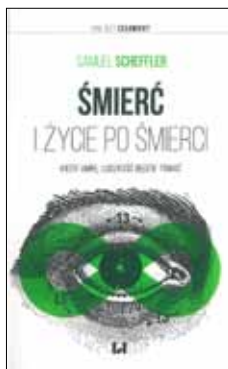
Nie miejsce tu na szczegółowe referowanie ustaleń Aleksandry Wójtowicz. Wystarczy powiedzieć, że jej praca mieści się w nurcie badań literaturoznawczych, w których fundamentalne znaczenie przypisuje się kategorii przestrzeni. Oczywiście spacjalność może być różnie rozumiana i interpretowana, ale pomijanie tej problematyki prowadzi do swoistego kaleczenia dzieła. Niech ktoś spróbuje czytać kryminały S.S. Van Dine'a bez dołączonych do nich szkiców topograficznych, z pominięciem kontekstu przestrzennego. Albo z wyższej półki... Przywołajmy Alaina Robbe-Grilleta i jego *Żaluzję*. Lekturze musi towarzyszyć szkic sytuacyjny posesji plantatora bananów. To tylko przykłady pierwsze z brzegu, które można by mnożyć. Na 369 stronie *Przestrzeni „Oziminie” Wacława Berenta* autorka dołączyła sporządzony przez siebie hipotetyczny układ domu Niemanów odtworzony na podstawie tekstu powieści. Dobrze byłoby, gdyby ów plan dołączony był teraz do wszystkich wznowień dzieła Berenta. Na pewno ułatwi lekturę i zrozumienie wszystkich wydarzeń owej zimowej nocy z 1904 roku w Warszawie.

Przed laty Henryk Markiewicz narzekał, że kategoria przestrzeni w o wiele mniejszym stopniu przyciąga uwagę teoretyków niż kategoria czasu. Spostrzeżenie uczonego wydaje się wciąż aktualne. Praca Aleksandry Wójtowicz wypełnia lukę w polskim literaturoznawstwie.

Tomasz Klusek

Aleksandra WÓJTOWICZ, *Przestrzeń „Oziminie” Wacława Berenta*, Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich PAN, Warszawa 2019.

Czy można nie umrzeć?



„Non omnis moriar” (Nie wszystek umrę) – pisał Horacy, wskazując, że jego dzieła, pieśni, poezja przeżyją i zapewnią mu nieśmiertelność. Topos pośmiertnej sławy poety, czy też nieśmiertelności zapewnianej przez wieczną poezję, przewija się przez wszystkie epoki i żywy jest aż do dziś (np. Szymborska, *Radość pisania*). Nie każdy jednak jest poetą. Czy każdy może liczyć na jakąś formę nieśmiertelności? Samuel Scheffler sugeruje, że w pewnym sensie tak.

Ten nieznanym szerzej w Polsce amerykański filozof wydał książkę, której tytuł nie ma nic wspólnego z chrześcijańską wizją życia po śmierci ani z kolejnymi wcieleniami. Nie jest to również praca z gatunku fantastyki. Tytułowe „życie po śmierci” odnosi się do motywów naszych działań, wyborów, aktywności – teraz, za życia.

Scheffler stoi na stanowisku, że przekonanie jednostki o nieprzerwanym istnieniu zbiorowości ludzkiej po jej śmierci ma ogromne znaczenie dla tego, co ta jednostka uznaje za wartościowe, sensowne i ważne w swoim jednostkowym życiu. Twierdzi, że wartość, jaką przypisujemy różnym aktywnościom (np. obcowaniu ze sztuką, literaturą, muzyką czy filozofią), determinowana jest przez ich miejsce w ludzkiej historii. Przynajmniej część tego typu działań, którym na co dzień przypisujemy immanentną wartość, uznałibyśmy za zdecydowanie mniej wartościowe, gdyby utraciły dla nas swój historyczny wymiar, pozwalający nam rozumieć je w kontekście rozwoju, pielęgnowania tradycji, przesuwania granic ludzkich możliwości.

Autor skłania do swoich ćwiczeń umysłowych, pytając, jak moglibyśmy się zachowywać na wieść o rychłym końcu świata albo jednoczesnej śmierci wszystkich osób, które kochamy lub na których nam zależy. Jak twierdzi, perspektywa końca świata wzbudziłaby depresyjne uczucia, smutek i przygnębienie, ale też oddziaływały na nasze motywacje i decyzje co do dalszych aktywności. W jakim stopniu byłibyśmy nadal zaangażowani w obecne przedsięwzięcia? Co z planami i marzeniami? Na ile bieżące aktywności wyglądałyby na warte kontynuowania? Scheffler twierdzi, że nieuchronny koniec świata wywołałby osłabienie motywacji, frustrację, a nawet apatię i odebranie wartości dotychczasowym przedsięwzięciom. Brakuje tu pogłębienia psychologicznego. Scheffler pomija takie reakcje, jak zaprzeczanie i euforia. Niemniej ten fragment, jak i cała książka, skłaniają czytelnika do refleksji nad własnym życiem, do uporządkowania w głowie różnych spraw, zdefiniowania własnych wartości. I to jest walor publikacji.

Książka ma oryginalną formę. Składa się z trzech wykładów, które Scheffler wygłosił w ramach tzw. Wykładów Tannera w Berkeley w Kalifornii. Są to wykłady wygłaszane co roku przez różnych uczonych na dziewięciu uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych i Anglii, zainicjowane przez amerykańskiego filantropa Oberta Clarka Tannera. Równie obszerną część książki stanowią komentarze czworga innych filozofów. Książkę zamyka odpowiedź autora na te komentarze.

Choć temat smutny, wydzwięk pracy jest w gruncie rzeczy pozytywny: „Możemy coś zrobić, by wesprzeć przetrwanie i rozwój ludzkości po naszej śmierci, podejmując na przykład działania zmierzające do rozwiązania problemu zmian klimatycznych i rozprzestrzeniania broni jądrowej. Nie ma natomiast niczego, co moglibyśmy zrobić, by wesprzeć nasze osobiste przetrwanie po własnej śmierci. Jeśli więc rozpoznamy skalę naszej zależności od przyszłych pokoleń, to być może wzmocni to naszą determinację, by działać na ich rzecz, oraz sprawi, że także w tym sensie będziemy mniej egoistyczni”.

Anna Jawor

Samuel SCHEFFLER, *Śmierć i życie po śmierci. Kiedy umrę, ludzkość będzie trwać*, tłum. Dawid Misztal, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź, 2019, seria: Kim jest człowiek?

Nie tylko punktoza

W zajmującym artykule *Wspólnota niezgody* na łamach „Tygodnika Powszechnego” (nr 10/2020) profesor Ryszard Koziołek pisze m.in.: „Sporządzenie efektywności i pożytków płynących z połączenia kilku tysięcy ponadprzeciętnych umysłów, technologii oraz sprzętu do punktów i pozycji uniwersytetu w rankingu jest groźnym objawem naukometrycznej choroby, która niszczy poczucie sensu pracy badawczej. Kiedy celem badań jest wyłącznie ich publikacja, powstaje akademicki nihilizm, czyli przekonanie, że punkty są jedyną miarą wartości badawczej”. Polemizowanie z tymi sądami może tylko chorobę spotęgować. Punktoza, jak ją się w środowisku nazywa, staje się – zwłaszcza w humanistyce – rakowatą naroślą. I choć taki guz niekoniecznie musi okazać się agresywny do tego stopnia, by pacjenta uśmiercić, to jednak jest groźny.

Rzecz w tym, że w humanistyce nie wszystko jest pochwytnie i da się zmierzyć oraz zważyć. Więcej: pojawiają się tu zjawiska i obiekty badawcze, których status nie do końca da się określić. Jako przykład szczególnie wyrazisty można wskazać tekst zatytułowany *Tryptyk rzymski* podpisany imieniem Jana Pawła II. Jako tak podpisany, jest ten poemat dokumentem papieskim. Nie byłby nim, gdyby został podpisany przez Karola Wojtyłę czy Andrzeja Jawienia, którego to pseudonimu papież używał publikując swe wiersze. Ten poemat atoli jest w dodatku napi-

sany po polsku, gdy oficjalnym językiem Watykanu pozostaje – wciąż uzupełniająca swój słownik – łacina. Tak czy inaczej nie jest to „tylko literatura” i jako obiekt badawczy ma postać nie do końca określoną. Lecz nie koniec na tym: *Tryptyk rzymski* albo – można – a może – nawet trzeba uznać za wykład nauki papieskiej, a zatem i nauki Kościoła. Dla teologów zatem ma on, czy tylko powinien mieć, rangę traktatu poznawczego, tak też zresztą bywa odczytywany. Lecz można z niewielką dozą prawdopodobieństwa, graniczącą z pewnością, domniemywać, że żadne gremium od wyceny naukowości tekstów nie byłoby skłonne do przyznania autorowi tego utworu jakichkolwiek punktów.

Idźmy jednak dalej. Czy, a jeśli tak, to w jakiej mierze, poezja jest nie tylko obiektem opracowań naukowych, lecz również sama jest sposobem – to prawda, że specyficznym – poznawania świata i dochodzenia o nim prawdy? Można wskazać wybitne autorytety, które na to pytanie odpowiadają twierdząco i są w stanie rzecz porządnie uzasadnić. Zresztą czy to przypadek, że poetom – jak choćby Tadeuszowi Różewiczowi – przyznaje się tytuły doktora honoris causa, co w życiu uniwersyteckim jest wyróżnieniem o bardzo wysokiej randze? To prawda, doktoraty takie, bywa, przyznaje się czasem i politykom, którzy raczej wartości nie tworzą, a co najwyżej nimi zarządzają, ale to już przypadłość naszych czasów i dowód ich marność. Można tylko powtórzyć za Friedrichem Hölderlinem: „cóż po poecie w czasie marnym?”. Poeci jednak to twórcy tekstów, których natura poznawcza wartość – by przywołać tylko *De rerum natura* Lukrecjusza jako dzieło w tej mierze najbardziej znane – nie tylko nie jest kwestionowana, lecz przeciwnie, podnoszona jako ich zaleta. Lukrecjusz jednak punktów by za swój traktacik nie dostał, podobnie jak Wergiliusz za odkrycie, że *sunt lacrimae rerum*, dostrzeżenie albowiem „łez rzeczy” w racjonalnym do bólu wymiarze naszego życia akademickiego uznano by zapewne za dziwactwo jakoweś. Tymczasem każdy poważny czytelnik poezji wie, że to do bólu prawdziwy opis rzeczywistości.

Nie chcę jednak twierdzić, że punkty są zupełnie pozbawione znaczenia. Problem w tym, by ich nie absolutyzować, gdyż to musi prędzej czy później prowadzić do prób instytucjonalizacji – ideologicznej bądź czysto użytkowej – działalności, której istotą jest, jak to wywodzono jeszcze w średniowieczu, bezinteresowne poszukiwanie prawdy. A tylko taka postawa sprzyja możliwości takiego pojmowania wspólnoty uniwersyteckiej, o jakiej pisze Koziołek: „Uniwersytet nie może być tylko fabryką wiedzy, ponieważ jest dziś jedyną instytucją publiczną, jaką dysponuje społeczeństwo, przygotowaną do tego, aby przejmując każdy spór lub konflikt i nadać mu postać cywilizowanej konwersacji. Różnice bez rzeczowej rozmowy stają się instrumentami walki ideowej lub politycznej, opiniami i wartościami w służbie gniewu i beczardności. Zadaniem ludzi uniwersytetu jest ćwiczenie się we »wspólnocie niezgody«, czyli w trudnym współzyciu z tymi, których poglądów nie podzielam, ale pracuję, myślę i rozmawiam w tym samym miejscu – w imię większego dobra”.

Że nie jest to sąd nieprawdziwy, przekonują te audycje telewizyjne, w których miast polityków reprezentujących zwąśnione obozy występują eksperci, naukowcy uniwersyteccy potrafiący nie skakać sobie do oczu, lecz poszukujący argumentów uzasadniających ich racje, w czym zresztą skutecznie przeszkadzają im prowadzący audycję dziennikarze, nie tylko przerywając w pół słowa zaczęte zdanie, lecz zamykając im ustami „i tutaj musimy postawić kropkę” w momencie, w którym dyskusja zaczyna wciągać słuchaczy. I teraz to, co najważniejsze: reklamy.



Foto: Sławomir Makiel